

SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA w Krakowie

poleca wydawaną od lat 18

najtańszą ze wszystkich publikacyj peryodycznych

NOWĄ BIBLIOTEKĘ UNIWERSALNĄ

„BIBLIOTEKA“ wychodzi co 2 tygodnie w zeszytach formatu 8-ki, o objętości 7 arkuszy, daje przeto rocznie
do 170 arkuszy druku.

Zamieszczą przeważnie niedrukowane dotąd prace — najpierwszych pisarzy polskich, tudzież obcych we wzorowym tłómaczeniu.

Druk staranny, czytelny — papier piękny i trwały.

Pamiętniki, dzieła historyczne i t. p. są dobranymi rycinami ilustrowane.

Każde dzieło ma własną paginację, stanowi więc osobny tom, który oddzielnie broszurowany lub oprawiony być może

„BIBLIOTEKA UNIWERSALNA“

jako wydająca dzieła przeważnie narodowej treści, jest pod zaborem rosyjskim zabroniona.

Przedpłata na „NOWĄ BIBLIOTEKĄ UNIWERSALNĄ“ w zeszytach wynosi:

w Krakowie:		w Austrii:	w Niemczech:
rocznie . . .	Koron 12.—	Koron 14.—	Marek 14.—
kwartalnie. . .	„ 3.—	„ 3 50	„ 3 50

W innych krajach europejskich rocznie franków 24,
w Ameryce rocznie dolarów 5.

W tomach oprawnych ozdobnie, z dwurazową przesyłką:

w Lipcu i Styczniu, tylko rocznie:

w Krakowie . . .	Koron 20.—	w Niemczech . . .	Marek 22.—
w Austrii	„ 22.—	w innych krajach eur.	Frank. 28.—
w Ameryce dolarów 7 —			

Zeszyt w Krakowie 50 gr. — w Austrii 60 gr. — w Niemczech 60 fen.
Prenumeratorowie składający z góry przedpłatę na cały nowy rocznik
otrzymują premię.

Bliższe wyjaśnienie co do premii podane w prospekcie, który na żądanie darmo przesyłamy.

Do każdego dzieła wydanego w „Nowej Bibliotece Uniwersalnej“
można mieć

ozdobne i trwałe okładki płócienne po 40 hal.

Kto nie ma introligatora na miejscu, może nam nadsyłać do oprawienia;
płacąc za każdy tom 70 halerzy.

Z wydanych dotąd 17 roczników Nowej Biblioteki Uniwersalnej posiadamy jeszcze niewielką ilość w zapasie i wysyłamy po następujących zniżonych cenach:

SERYA I. (złożona z roczników I. do IV., t. j. 1887—1890).

1. *Bałucki*. Mój pierwszy występ literacki (nowele). — 2. *Chołoniewski*. Sen w Podhorcach. — 3. *Gawalewicz*. Majster do wszystkiego (powieść). — 4. *Konarski ks.* O religii pociągłych ludzi. — 5. *Nagajkowski*. Hessa O'Grady (powieść). — 6. Rys kampanii polskiej w roku 1809. — 7 i 8. *Szajnocha*. Pisma historyczne 2 tomy. — 9. *Wodzicki hr.* Pamiętniki. — 10. *Wysocki*. Pamiętnik z kampanii roku 1848.

Razem 10 tomów broszurowanych koron 10—
lub 10 „ oprawnych w płótno . . „ 18—

SERYA II. (złożona z roczników V. do VIII., t. j. 1891—1894).

1. *Czajkowski*. Stefan Czarniecki (powieść). — 2. *Echegaray*. Galeotto (dramat). — 3. *Jełowicki ks.* Moje wspomnienia. — 4 do 7. *Kalinka*. Dzieła t. I. II. III. IV. (Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. 2 tomy, i Pisma pomniejszych. 2 tomy). 8. *Lichocki*. Pamiętniki prezydenta m. Krakowa z czasów Kościuszki. 9 i 10. *Macaulay*. Szkice historyczne. 2 tomy. — 11. *Szumski*. Wspomnienia o 3 pułku ułanów z roku 1831 (z rycinami). — 12. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya I. — 13. *Zagórski*. Nowele. Ser. III.

Razem 13 tomów broszurowanych koron 13—
lub 13 „ oprawnych w płótno . . „ 24—

SERYA III. (złożona z roczników IX. i X., t. j. 1895 i 1896).

1. *Iry*. Pod rodzinnem niebem (powieść). — 2 do 6. *Kalinka*. Sejm czteroletni 5 tomów. — 7. *Łoziński*. Tłum (studium społeczne). — 8 do 10. *Kontrymowicz-Ogiński*. Książę Holuba. 3 tomy (powieść z r. 1863). — 11. *Tegoż*. Z czeluści piekielnych (powieść). — 12. *Murawiew*. Pamiętniki z roku 1863 (ilustr.) — 13. *Sewer*. Na szerokim świecie (powieść). — 14 i 15. *Tarnowski*. Studya z literatury polskiej. Serya II. i III. — 16. *Wężyk*. Dzieje powstania r. 1831. — 17. *Włast*. Opowiadania histor. z dziejów Wołynia (z rycin.) — 18. *Wodzicka*. Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna (ilustr.) — 19. Ze wspomnień szlacheckich.

Razem 19 tomów broszurowanych koron 19—
lub 19 „ oprawnych w płótno . . „ 34—

SERYA IV. (rocznik XI., 1897).

1. *Jirasek*. Raj świata (powieść historyczna z r. 1815). — 2. *Kalinka ks.* Galicya i Kraków w r. 1850. — 3. *Kołaczkowski* generał. Pamiętniki. Tom I. (z ilustr.) — 4. *Lubiński hr.* Kwestya polska w Rosyi. 5. *Manteuffel*. Cywilizacya nad Bałtykiem (z ilustr.) — 6. *Sarnecki*. Historia literatury francuskiej. — 7. *Schnür-Pepłowski*. Dzieje legionów polskich (z ilustr.) — 8. *Sewer*. W kleszczach — Magdusia (powieści). — 9. *Sigurd*. Sprzedany sierota (powieść). — 10. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya IV.

Razem 10 tomów broszurowanych koron 10—
lub 10 „ oprawnych w płótno . . „ 18—

1. *Bąkowski*. Posażna panna (powieść). — 2. *Chołkowski ks.* Dzieje zniweczenia Unii. — 3. *Gloger*. Geografia historyczna Polski (z 64 rycinami). — 4 i 5. *Kołaczkowski*. Wspomnienia, tom II. i III. (z ilustr.)
6. *Korolenko*. Nowele Sybirskie. — 7. *Kostomarow*. Kudejar (powieść). — 8. *Kowerska*. Powieści. — 9. *Krzyżanowski*. Przełom i inne nowele. — 10. *Mickiewicz*. Wybór listów. — 11. *Neumanowa*. Legendy Wschodu. — 12. *Sokołowski M.* Szkice z dziedziny sztuki, obszerny tom z 47 ryc. — 13 do 15 *Tołstoj*. Anna Karenina (powieść), 3 znaczne tomy. — 16. *Wybranowski*. Ogi w dworkach szlacheckich (opowiadanie).

Razem 16 tomów broszurowanych koron 16—
 lub 16 „ oprawnych „ 28—

SERYA VI. (rocznik XIV., 1900)

1. *Czermak*. Studya histor. z XVII wieku. — 2. *Kalinka*. Dzieła, tom XI. (całość). — 3. *Kołaczkowski*. Henryk Dąbrowski (z ryc.) — 4. *Kołaczkowski*. Wspomnienia z r. 1831, tom IV. (ilustr.) — 5. *Korolenko*. Niewidomy muzyk (opowiad.) — 6. *Korolenko*. Szkice powieściowe. — 7. *Kowerska*. Z pamiętnika ornitologa (powieść). — 8. *Lejkin*. Pod hiszpańskim niebem, pow. humoryst. — 9. *Rostworowski*. Wspomnienia z r. 1863 — 10. *Sizeranne*. Malarstwo angielskie. — 11. *Tretiak*. Studya literackie.

Razem 11 tomów broszurowanych koron 12—
 lub 11 „ oprawnych „ 20—

SERYA VII. (rocznik XV., 1901).

1. *Abgar-Soltan*. Nea. — 2. *Brodziński K.* Wspomnienia mej młodości. — 3. *Dostojewski T.* Wspomnienia z katorgi. — 4 do 6. *Gadon L.* Emigracya polska, 3 tomy. — 7. *Klaczko J.* Unia Litwy z Polską. — 8. *Kołaczkowski generał*. Wspomnienia z r. 1830/1, tom 5-ty. — 9 do 10. *Lejkin*. Nasi za granicą (opow. humor.) 2 tomy. — 11. *Morawski K.* Wiersze i proza. — 12 do 13. *Zacharyasiewicz*. Tajemnica Stefanii, 2 tomy.

Razem 13 tomów broszurowanych koron 12—
 lub 13 „ oprawionych „ 20—

SERYA VIII. (rocznik XVI., 1902).

1. *Benedyktowicz*. Witkiewicz (studyum estetyczne). — 2. *Bystrzycki*. O poezjach i mowach Ks. Kajsiewicza. — 3. *Hamsun K.* Pan, powieść. — 4. *Kalinka W.* Dzieła tom XII. (stanowi dla siebie całość)
5. *Klaczko J.* Studya dyplomatyczne, tom I. (Całość: Sprawa polska w roku 1863). — 6. *Kowerska* Podlotek, powieść. — 7. *Rostworowska J.* Czy są nowe dla kobiet zadania (tylko broszurowane). — 8. Rosya w przededniu XX. stulecia. — 9 do 10. *Tomek*. Dzieje Czech, 2 tomy. — 11 do 12. Upiory, powieść z roku 1863, 2 tomy. — 13. *Zacharyasiewicz*. Po ślubie, powieść.

Razem 13 tomów broszurowanych koron 12—
 lub 12 „ oprawionych i 1 brosz. . . „ 20—

OKOŁO TEATRU

Dr. H. 2169
WINCENTY RAPACKI

OKOŁO TEATRU

SZKICE,
OBRAZKI, WSPOMNIENIA



PBW KRAKÓW
DRUKI ZBĘDNE
Nr *1542/0*

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1905

392645

II

H-73/10614

24.09.



10,-

Z drukarni »Czasu« w Krakowie
pod zarządem A. Świerzyńskiego.

S E R Y A I.



AKTOR-KSIAŻĘ

Teatr nasz, od pierwszej doby swego istnienia, składał się przeważnie z indywiduów wykolejonych. Niemal każde z nich miało jakąś ranę w duszy. Były to po większej części odpadki, szukające schronienia pod dachem muz. Dosyć przeczytać biografie aktorów Wojciecha Bugusławskiego.

Były to legiony zrozpaczonych.

— Wstąpił do teatru — mawiano o takim, jak gdyby powiedziano: rozstał się ze światem, wykoleił się z życia społecznego.

Śmiała się łatwa sława, a wyczulone cierpieniem nerwy kazały wróżyć, że sławę tę łatwo zdobyć. A potem, cóż to za rozkosz przelać swoje łzy, żale, rozpacz w jakiegoś bohatera albo bohaterkę dramatu?

Wyłaniali się też z podobnych indywiduów znamiennicy artyści, a ci, co szli prawidłową ścieżką, pozostawali prawie zawsze miernotami.

Widziałem ich wielu, bardzo wielu w moim zawodzie.

Oto pan January Wrzos.

Był to typ klasycznie pięknego mężczyzny. Gdy go poznałem, miał już przeszło trzydziestkę. Jego szlachetną i ściągłą twarz powlekał dziwny wyraz smutku i zadumy; zrzadka tylko widziano na niej uśmiech. Zam

knięty zawsze w sobie, mało mówił, a jeżeli się odezwał, to bryztał sarkazmem jakimś albo wysoce poważną sentencyą. Miał piękny organ o szlachetnem męskiem brzmieniu. Wykształcony, salonowiec, dobrze grał na fortepianie i śpiewał z wdziękiem.

Pierwszą rolą, w której go widziałem, był Fra-Diavolo, przetransponowany przez naszego kapelmistrza na baryton.

Postać Fra-Diavola pana Januarego trąciła dżentlemenem, tak demonicznie pięknym zbójem, że w zachwytyt wprowadzał lubelskie panie. Sypały się też liściki, wierszyki, a operę powtarzano po kilkakroć.

Hołdy przyjmował obojętnie, jak i z nagan nie robił sobie wiele, bo gdy go skrytykowano w fredrowskim »Geldhabie« nie stracił ani na jotę swego zwykłego spokoju. Bo też co za przepaść dzieli te dwie kreacye: Fra-Diavola — od Geldhaba. Ale na prowincyi gra się wszystko. »Dziś się jest Tereferciem, a jutro Augustem«.

O panu Januarym opowiadała dziwy aktorska rzecz. Miał on być naturalnym synem jakiegoś hrabiego, wychowanym nader starannie, a jednak nie przyznanym przez ojca. Zakochał się w jakiejś księżniczce; odepchnięty przez jej rodzinę, został aktorem, podczas gdy ona wstąpiła do klasztoru. Nazwisko, którem się mienił na afiszu, było przybranem.

Nosił się zawsze elegancko, a bielizna jego była nieposzlakowanej czystości. Nie widziano go nigdy z kolegami w knajpie, siedział w domu szczelnie zamknięty. Dla dam naszych uprzejmy, ale trzymający się od nich niezbyt blisko, lubo wszystkie prawie wabiły go do siebie.

Mieszkał zwykle na jakiejś ustronnej ulicy, zdala od gwaru i ciekawych oczu; mimo to szpiegowano go i podpatrywano skrycie.

Razu jednego para takich oczu zobaczyła przez otwór klucza coś bardzo dziwnego i ciekawego. Oto ni mniej ni więcej, tylko pan January stał przed balią i prał sobie koszulę! Co za skandal! co za zgroza! Inną razą widziano jak ją prasował, a dalej cerował.

— A to kutwa jakiś obrzydliwy! Przecież inni mają mniejszą gażę od niego, a jeszcze ich stać na praczkę — a potem od czegoż kredyt?

Ten »kredyt« — to wielkie słowo w ustach prowincjonalnego aktora. Czegoż się to nie brało na kredyt! A początek dawał zwykle sam dyrektor, który na kredyt grać im kazał...

Dziwne działy się rzeczy z wierzycielami przy wyjeździe. Aktorzy zaułkami, przez podwórza, płoty i parkany wynosili się z miasta, aby się złączyć dopiero gdzieś o pół mili z resztą wędrowniej trupy. Pamiętam nawet, że pewien szewc urządził kompletną obławę, rozstawiwszy swą czeladź dla chwytania niesumiennych dłużników; jednego zaś tak przycisnęło do muru, że musiał zdjąć buty i kłapać zębami w porze dżdżystej.

Tylko pan January wyjeżdżał zimny i spokojny, niekiedy uśmiechnięty sarkastycznie, a częściej zamyślony i smutny.

A ile to docinków i szyderstw znieść musiał, bo rzesza aktorska jest w nich niewyczerpaną! Ale trafiła kosa na kamień. Pan January niby na rój komarów patrzył z góry, a niekiedy kolnął tak zjadliwie, że najśmielszym odbierał ochotę do żartów.

Zdarzyło się raz, że w Kaliszu podczas najbardziej ożywionego sezonu, gdy się tłoczono do teatru, pan January oświadczył dyrektorowi krótko i stanowczo, że wyjechać musi w interesach familijnych na parę miesięcy.

— W interesach familijnych — a nuż to spadek jaki? I zapewne spadek! Jakże tu takiego zatrzymać?

Choć stanowił podporę trupy, należało go puścić. W perspektywie panu dyrektorowi uśmiechała się — pożyczka.

Wrócił takim samym; tylko piękna twarz jego przeciągnęła się nieco, ale zato zapał i energia dla sztuki wzrosły w dwójnasób.

Przywiózł z sobą sztukę francuską, sam ją przetłómaczył, bo językiem władał jak rodowitym, i grał główną rolę. Sztuka zrobiła wielką sensację w Kaliszu. W roli bohatera feuilletonowego romansu, odgadywano reminiscencye własnej jego doli. Grał »Miłość ubogiego młodzieńca«.

Chciał próbować sił swoich na warszawskiej scenie, ale w owe czasy łatwiej było przejść biblijnemu wielbłądowi przez igielne ucho, aniżeli uzyskać debiut, a do tego jeszcze w nowej sztuce. Na scenie warszawskiej królował wtedy jako amant — Komorowski. Daremnie pan January kołatał — kazano mu złożyć manuskrypt, i jeżeli sztuka okaże się możliwą do grania, to po jej sześciokrotnem wystawieniu może przyjechać, ażeby debiutować. Co do innych ról, oświadczono, że debiuty takie żadnego interesu w publiczności nie budzą.

Wszelkie aspiracye, porywy ducha, marzenia górnolotne, gdy je opromienia choć cień nadziei, utrzymują siły w rzeźkości i wśród powszedniej, monotonnej drogi życia nie dają artyście zejść na bezdroża. Ale gdy duszą owładnie ciemność i wypali się w niej do iskry ogień boży, artysta staje się rzemieślnikiem i poczynają... pić. Boć trzeba zapomnienia, trzeba wreszcie i pobudzenia. Przedtem pobudzał go własny ogień, teraz tę funkcję spełniać musi — spirytus. Tak kończą wszystkie słabe i pospolite dusze, ale nie pan January...

On sobie powiedział: Ten swój płaszcz hidalga, choć wyszarpany i podarty, nośmy z godnością. Niema na nim dotąd żadnej plamy i da Bóg nie będzie nigdy.

I dotrzymał!

Pomogły mu w tem niemało okoliczności. Najprzód wieść, że odebrał wielkie dziedzictwo, i że pieniądze te ulokował w banku, a aktorem jest dalej ot dla fantazyi pańskiej, postawiła go w oczach publiczności na odrębnem zupełnie stanowisku. Był człowiekiem ważnym, z którym trzeba być na innej stopie, niż ze zwyčajnym aktorem. Powtóre, jego urodzenie zagadkowe, jego szlachetna postawa i obejście pańskie, kazały w nim przypuszczać conajmniej księcia, a po trzecie jego życie tajemnicze, odosobnione, zamknięte — drażniło, rozciekawiało, słowem interesowało niezmiernie.

To też każdy występ pana Januarego był zapełniony śmietanką publiczności, a na benefis brakowało biletów.

Z tytułu księcia, jakim go już powszechnie nazywano, i pogłosek o jego majątku i zagadkowem pochodzeniu, był dosyć zadowolony.

Zdziwaczał bardzo.

Od kolegów usunął się prawie zupełnie, co ich irytowało w najwyższym stopniu, a lubo książę, gdy było nieraz potrzeba czy to wsparcia jakiegoś, czy składki, otwierał swój worek hojnie, nazywano go zwyczajnie skąpcem, dusigroszem, kutwą.

Wstawał bardzo rano i wymykał się gdzieś na przedmieścia, wstępując do ubogiej izby rzemieślnika, czy to szewca, czy krawca lub stolarza. Przesiadywał tam godzin parę, potem wracał na próbę, po której ukończeniu szedł do domu na skromny obiad i zostawał zamknięty aż do widowiska, a gdy nie było przedstawienia, brał w kieszeń rolę, aby się jej uczyć na przechadzce. Potem znów wracał do domu i pracował zamknięty...

Wszelkich znajomości starannie unikał, a gdy raz jakiś mościpan ze złotej młodzieży chciał go gwałtem zmusić, aby zjadł z nim wieczerzę, a książę odmówił,

i gdy przytem dość ostro się starli, tak, że tamten mu ubliżył, wyzwiał szlachetkę i gwizdnął kulą ponad uchem tak dobrze, że mu przedziurawił kapelusz. Odtąd miano dlań większy szacunek i nie ważono się zaczepiać.

Raz tylko widziano księcia na balu w miejscowej resursie, gdzie także zaproszono, za jego wstawieniem się, naszą primadonnę, pannę Julię N. i paru kolegów. Wieczór ten stał się głośnym przez skandal, bo gdy ksiązę wprowadził swoją koleżankę na salę, wszystkie panie, oburzone w najwyższym stopniu, opuściły resursę. Płeć piękną reprezentowała jedyna nasza bohaterka. Ksiązę był w szalenie wesołym usposobieniu, tak że nas rozruszał wszystkich... Bawiliśmy się do białego dnia.

Był to jednak jego ostatni występ na scenie świata.

— Publiczność stwarza teatr i aktorów — mawiał — a nasza nie dorosła jeszcze do tego: ona chce mieć w aktorze tylko włóczęgę i parjasa.

I zamknął się jeszcze więcej przed światem i zdziwaczał bardziej. Ci, którzy go śledzili przez szpary, widzieli jak szył buty, wywijając dratwę. Posługacz teatralny kłął się, że go widział jak łątał surdut, a innym razem heblował coś heblem jak stolarz. Mieszkanie jego to istny warsztat.

— Pańskie fantazye! — mawiano.

Tymczasem zdarzył się drobny napozór wypadek, który jednak zupełnie zwichnął i złamał życie naszego bohatera.

Przyniesiono na próbę list z czarną pieczętką. Pieczętka czarna była wówczas konieczną, jeżeli list miał zwiastować bolesną nowinę.

Ksiązę go rozłamał drżący, odczytał i wyszedł zaraz z próby.

Postarzał się o lat dwadzieścia. Zapał do pracy, który go krzepił w ciężkiej walce, gdzieś się rozwiął. Powtarzał rolę za suflerem i mylił się ciągle. Nareszcie

pewnego ranka daremnie posługacz teatralny stukał do drzwi jego. Musiano je otworzyć przemocą. Książę January leżał w łóżku bez ducha.

Izdebka ogołoconą była prawie ze sprzętów, z każdego kąta wyglądał niedostatek.

Na stole znaleziono jego pismo.

»Niech koledzy nie robią składki na mój pogrzeb, miasto powinno mnie pochować swoim kosztem, położyłem tu pewne zasługi«.

Za trumną szła staruszka i płakała rzewnie; mieniła się ona piastunką zmarłego panicza, którą on ze swych skromnych dochodów utrzymywał.

Koledzy oddali mu ostatnią posługę, ale nie mogli darować sobie, że się tak dali wziąć na kawał.

Jaki tam dramat głęboki a tajemniczy krył się na spodzie tej duszy? dowiedzieć się nie mogliśmy. Pozostanie on tajemnicą. A co pewna, to, że ten legendowy książę był księciem nietylko z przezwiska.





KWIATEK Z CMENTARZA

Pprzed laty dwudziestu chowaliśmy na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie jednego z kolegów.

Pogrzeb był wspaniały, nie brakło na nim wieńców, chorągwi, czarnej krepy i mów — ale nie było smutku, nie było łez.

Nieboszczyk nie miał nikogo z rodziny...

Był sam, nie było komu zamknąć mu oczu w godzinie konania.

Musiał liczyć na życzliwe serca kolegów. Ci go nie zawiedli; stawili się wszyscy dla oddania mu ostatniej posługi.

Obrzęd się skończył.

Parę tysięcy dłoni rzuciło po garści ziemi i rozeszło się.

Zostało nas kilku z grabarzem.

A był między nami Artur K..., obecnie amant lwowskiej trupy; mówię obecnie, bo teatr lwowski, jak i każda w tych czasach instytucja czy korporacja, przechodził ciężkie chwile dezorganizacji. Aktorzy zmieniali się jak w domu zajezdnym. Dziś ten przybył, jutro ten ubył, pojutrze dwóch się zjawilo i tak dalej.

Starzy dyrektorowie Smochowski i Nowakowski zapychali dziury tymi improwizowanymi komedyantami, aby znów pewnego pięknego poranku nie zobaczyć ich więcej.

Otóż do takich efemerycznych aktorów należał nasz Artur. Był to mężczyzna przystojny w całym tego słowa znaczeniu. Jedną z tych postaci, w których streszczała się cała doskonałość polskiego, szlacheckiego typu. — »Rasowy« — jak powiadają.

Wlaźł do teatru, jakby się weszło do jakiegoś gościnnego domu, będąc bez dachu i mówiąc:

— Panie bracie! Jak mnie widzisz, tak mnie pisz. Mam głębię urodziwą, wzrok i bary Herkulesa, umiem chodzić i ruszać się przyzwoicie. Organ taki, że mnie o miłą usłyszysz. Ze szkolnych czasów zapamiętałem jak się deklamuje »Śpiewy historyczne Niemcewicza«. Już cię przydać się na coś mogę... a przy pracy...

— Dobrze, dobrze — odpowiadał takiemu gospodarz, a właściwie dyrektor teatru. — Proszę asindzieja, nie święci garnki lepią, poradzimy sobie.

Takich egzemplarzy przed rokiem 1860 liczyły nasze teatry na setki.

Panicz wypędzony ze szkół, bo ktoby się tam każał uczyć wówczas szlachcicowi, po stracie fortuny pozostając pełnym buty i animuszu, cóż miał robić? Jeden został pieczeniarem tych, co jeszcze coś mieli, drugi wstąpił do wojska, inny ożenił się z jakąś ciepłą babą; co rozumniejsi a uczciwsi, rzucali się do biur na aplikację, a reszta pod przybranem nazwiskiem zawałała prowincjonalne sceny. Surowa droga życia i obowiązku — to nieznane wówczas rzeczy.

Nasz Artur odznaczał się przynajmniej tem, że miał prawdziwy zapał do sztuki, ale tak bywał pocieszny na scenie, że psuł zawsze wrażenie, zwłaszcza patetycznej sytuacji. — Zato na świecie był amantem co się zowie, a właściwie »kobieciarzem« podług utartego terminu. Nie było chórzystki, pokojówki, szwaczki lub tym podobnej istoty, żeby Artur nie miał z nią jakichś miłych konszachtów.

Było to głównem zadaniem jego życia.

— Talent, geniusz — mawiano wówczas — to tężyzna, to powodzenie u płci białej, to życie hulank i rozkoszy. Każdy taki amant nosił pod pachą rolę z dumasowskiego dramatu pod tytułem »Kean, czyli geniusz i rozpusta«.

Pan Artur, dla kontenansu uzbrojony w binokle na nosie, bo wzrok miał taki, że o dwieście kroków każdego wierzyciela poznał, rzucał oczami na wszystkie strony, czy nie zdybie jakiejsz spodniczki.

I stało się oto, że rzucił okiem nieuzbrojonym właśnie w binokle w szybkę okienka domku grabarza... spojrzał i stanął osłupiały. I my poszliśmy za jego przykładem.

W szybie tej ujrzeliśmy coś takiego, co można było wziąć za obrazek albo wizję.

Była to twarzyczka murillowskiej Madonny, powleczone tylko większym smutkiem. Patrzyła na nas ciekawa i zdziwiona trochę.

— Co u diabła — powiada nam Artur — czyż to dusza jakiej pokutującej heroiny, tu w domu grabarza?

I w jednej chwili znalazł się w izbie, a my za nim.

Dziewczę jak siedziało przy oknie, tak pozostało przy niem, tylko zwróciło głowę ku przybyłym.

— Pani daruje, chcieliśmy się widzieć z grabarzem.

— Ojciec jeszcze nie wrócił z cmentarza — rzekła, powstając z ukłonem.

Było to dziewczę szesnastoletnie, drobnej i wątłej postaci, choć twarz jej, pełna smutku i zadumy, wydawała się starszą.

— A no — to zaczekamy.

Prosiła, byśmy usiedli.

Zawinęła się po izdebce, oczyszczając stołki zajęte przez jakieś graciki, aby nam je podać, a czyniła to z wdziękiem i gracyą taką, że nas wprowadzała w podziw.

Perkalikowa sukienka, ładnie skrojona, na gorsku uwydatniała i podnosiła jej talijkę.

Gdzie ona się nauczyła tych ruchów i tego wdzięku? — zapytywaliśmy siebie. Córka grabarza!

Pan Artur począł ją kokietować.

A miał już swoje stereotypowe sposoby, które go nigdy nie zawodziły.

Patrząc na nie, my młodzi zazdrościliśmy mu tej wprawy i starali naśladować, starsi tylko a chłodniejsi ruszali ramionami i mówili do siebie:

— Mój Boże, jakie te kobiety naiwne, że się łapią na takie plewy.

Pierwszym pociskiem pana Artura był jego timbre głosu miękki, któremu umiał nadawać dziwną giętkość. Słowa wychodziły mu z ust pieszczotliwie, jedwabisto. Drugim były oczy połyskliwe, uzbrojone kiedy niekiedy dla efektu binoklem. Trzecim, ręce ubrane zawsze w rękawiczki niepokalanej czystości, obcisłe, woniejące. Reszty dopełniała cała jego figura i twarz posypana lekko pudrem.

Tę twarz pielęgnował pan Artur z dziwnem zamiłowaniem. Okładał ją kiedy niekiedy na noc świeżą cieplciną. Miało to właściwość wyciągania z niej zbytecznej czerwoności, bo bladość była interesującą i w modzie. Pamiętam nawet raz, jak jadąc chłopskim wózkiem w dzień upalny, zagrzebał głowę w siano, aby się nie opalić. A cóż powiedzieć o wąsach wyczernionych i spomadowanych!

Takie to przymioty jednały mu serca kobiet.

— Jakże tu smutne musi być życie — odezwał się pieszczotliwym głosem.

Dziewczę spłonęło lekkim rumieńcem.

— Tak jak i wszędzie. Wszakże życie składa się nietylko z samych smutków. Co do mnie, przywykłam do niego tak, iż wcale nie tęsknię za innem.

— Czy być może? patrzeć ciągle na groby, na żal, smutek i rozpacz.

— To tylko człowieka usposabia poważnie i uczy pogardy doczesnych rzeczy.

— Ale dla pani jeszcze zawczasie na powagę i na pogardę tej doczesności. Ażeby niemi gardzić, trzeba ich wprzód skosztować.

Dziewczę jak gdyby nie chciało zrozumieć tej sentencji pana Artura, bo zakręciło się po izbie, potem wyjrzało oknem.

— Ojciec nie wie zapewne, że panowie tu na niego czekają, pójdę mu powiedzieć.

— O pani, nie czyn tego, nam tak przyjemnie...

Ale już nie słyszała reszty, bo wybiegła.

— Wiecie, że to cudowne zjawisko, jak honor, ko-
cham! Ktoby się spodziewał, aby córka grabarza?...
Toż to piękność pierwszorzędną. A jaki wdzięk! Ubrać
to, wypieścić, wycackać... I nie głupia, prawda?

— Wcale nie.

— Kwiatek z cmentarza! — dorzucił ktoś.

— Dobrześ powiedział: kwiatek z cmentarza! —
pochwycił pan Artur — takiego jeszcze nie widział.
W progu ukazał się grabarz z córką.

Był to typ przeciętnego mieszczanina ze sfery wy-
robniczej, nie mający w sobie nic szczególnego, z nosem
czerwonym, co zdradzało, że kieliszkiem nie gardził.

— A czego panowie sobie życzą? — spytał.

Teraz dopiero przypomnieliśmy sobie, żeśmy tu
właściwie weszli bez celu, jedynie aby zawiązać roz-
mowę z jego córką.

Zwróciliśmy się do pana Artura, aby nas wybawił
z kłopotu, ale on gruchał do dziewczyny i nic go re-
szta nie obchodziła.

— Ot, chcielibyśmy się was zapytać, co by koszto-
wało obłożenie darniną grobu i ubranie go w kwiaty.

— A przecież tam ma stać pomnik.

— Tak, ale nim pomnik postawią, trzeba mieć staranie o grobie — odezwał się wreszcie pan Artur i jakby dopiero teraz spostrzegł grabarza, zaczął mu się uważnie przypatrywać.

— To zależy od ubrania. Jak panowie sobie życzą? Czy mają być kwiaty w deseń sadzone, czy też zwykajne?

I począł wyliczać gatunki, ceny i sposoby z miną kupca sklepowego.

Gdy stanęła ugoda i zabieraliśmy się do odejścia, pan Artur pożegnał się z dziewczyną, jakby już z dobrą znajomą.

*

*

*

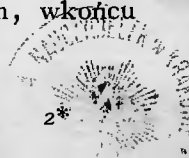
W lat parę przejeżdżałem przez Sambor z Czernowiec do Lwowa. Trzeba było zanocować w miasteczku. Dom zajezdny, gdzieśmy stanęli, był zarazem teatrem i jakaś wędrowną trupa dawała przedstawienia. Trzeba iść. Grano »Śluby pańskie«.

Gdy Guccio nie wleciał, ale wgramolił się na scenę przez okno, poznałem pana Artura. Te same niezgrabne chłopisko na scenicznych deskach, które zdaje się były dla niego żarzącymi węglami, mówiący wiersze Fredry jak wyuczoną lekcję. Stryjaszek z zachrypłym, pijackim głosem, kobiety poubierane jak czupiradła.

Ależ Aniela! Tak, to ona! Córka grabarza! To jej smutne oczy, które mnie tak uderzyły, to owa twarzyczka murillowskiej Madonny.

— Słuchajmy — mówi. Głosik dźwięczny, metaliczny i mówi dobrze, rozumie co mówi, stara się być osobą, którą przedstawia. Publika, acz jej garstka mała, słucha uważnie, nie krzaka jak przy tamtych, wkońcu aplauduje.

Więc to primadonna, podpora trupy!



Po przedstawieniu byłem z nimi na kolacyi.

— Poznałeś ją? — rzekł do mnie pan Artur. To moje dzieło. Talent! Kolosalny talent, zakasuje wkrótce waszą Modrzejewską. Kasiu, to nasz kolega R...

— Poznałam pana odrazu.

— To pani ma dobrą pamięć.

— Oh, gdy raz kogo widzę, już go nie zapominam.

Przy kieliszku rozmowa się rozgrzała.

Kasia siedziała smutna.

— O czym pani myśli? — zapytałem.

— Ja? o niczem.

Pan Artur groźnie spojrzał na nią i pięścią ścisnął kufel.

Kasia starała się uśmiechnąć i ożywić.

Reszty dowiedziałem się od kolegów.

Pan Artur coraz częściej oddawał się Bachusowi. Miłostki już mu się nie udawały, więc bił ją, a nawet parę razy wypędził, ale Kasia wracała jak pies wierny do swego pana.

Potem dalekie echa przynosiły mi o nich wieści.

Pan Artur upadał coraz niżej, tak, że go już żaden teatr przyjąć nie chciał i musiał w końcu wyciągać dłoń żebraka. Smętna Kasia nie opuściła go, ale pracowała dlań czem mogła i jak mogła, a gdy wreszcie padł w rynsztoku rażony apopleksyą, oddała mu ostatnią posługę.

I spotykałem potem Kasię dość często, grywałem z nią nawet na krakowskiej scenie. Było to dziwne zjawisko. Humoru, uśmiechu, szczerości i zapału nie odzywała i nie miała nigdy; zdaje się, że atmosfera cmentarza wychowywała ją tylko na kwiat smutku.

Gdyby jej losy zawistne nie postawiły na drodze pana Artura, byłaby może śmiać się nauczyła...





LICHWIARZ TEATRALNY

Pragnąłbym skreślić sylwetkę, wartą upamiętnienia w teatralnych kronikach.

Lecz proszę nie brać słów moich za ironię, albo spodziewać się portretu jakiegoś nowoczesnego Harpagona o lisim profilu, rudej brodzie, małych świdrujących oczkach i t. p. wyszarzanych już znamionach, któremi tuzinkowa sztuka posługiwać się lubi. Nie. Będę mówił szczerą prawdę, a prawda ma oblicze nieraz tak dziwne na pierwszy rzut oka, tak mało mówiące, a tak jednak wyraźne... Może z niej wyłonią się kontury typu...

A typem był Mordko.

Kiedym go poznał przed 25 laty, był w sile wieku. Wzrostu więcej niż średniego, barczysty i zażywny, o dużej trochę głowie, pokrytej kędzierzawym, czarnym włosiem, o twarzy nadętej, z brodą trochę jaśniejszą od włosów, przystrzyganą. Miał nos dość gruby i oczy ciemne, połyskliwe, z dziwnym wyrazem zadumy i pewnej jakby melancholii. Nosił się po niemiecku (tak nazywają u Żydów ubiór, który nie różni się niczem od sukni każdego przeciętnego obywatela).

Mordko trudnił się lichwą i uchodził za strasznie twardego i zdzierczego »dyskontera« — brał po trzy i cztery, a czasem nawet i pięć od sta na miesiąc.

Lichwiarz ten dotąd pożyczzał głównie urzędnikom, ofycyalistom, subjektom, służącym — słowem ludziom

o pewnych, stałych, określonych dochodach. Z innymi się nie wdawał.

Pierwszy swój debiut w teatralnym świecie rozpoczął — odemnie. Zaprowadził mnie do niego nasz teatralny faktor — Aronek.

Mieszkał na Kazimierzu w domu własnym. Wchodziło się doń po wschodach ciemnych, wilgotnych, jak we wszystkich domach żydowskich.

Gdyśmy jednak wdrapali się na drugie piętro do jego mieszkania, uderzyła mnie pewna schludność, symetria w meblach i sprzętach, dobre powietrze, czegom się wcale nie spodziewał. Na ścianach wisiało parę ładnych sztychów w porządnym ramach — okurzonych, świecących się czystością. Sprawiało to wrażenie bardzo przyjemne.

Zastaliśmy Mordka siedzącego nad jakąś książką i głęboko zaczytanego. Gdy Aronek ku niemu podbiegł prędko, Mordko jakby się wzdrygnął, podniósł głowę i popatrzył wilgotnemi oczami.

Te oczy uderzyły mnie odrazu.

Mordko powoli podniósł się ze stołka, wskazał mi krzesło abym usiadł, sam przysiadł przy mnie, i po niejakej chwili, niby skupiając rozpierzchłe myśli, zapytał mnie ile chcę pożyczyć, będąc już poprzednio uprzedzonym odpowiednio przez Aronka.

— Dwieście guldenów — odpowiedziałem.

— Na ile rat?

— Na dziesięć.

— Jakie poręczenie?

— Żadnego.

— Jakto żadnego?

— Nie potrzebuję poręczenia. Gdy panu nie zapłacę jednej raty, możesz mi pan położyć areszt na pensyi. Pensya moja czysta, nie obciążona żadnym długiem. Musiał panu już Aronek przecież powiedzieć.

— No, jakże? — powiedziałem, ale on nie chce...

— Nie chce? to pocóżes mnie tu prowadzić — odrzekłem zgniewany, podnosząc się ze stołka.

— Niechno pan nie będzie taki prędko — rzekł Aronek — niech pan siądzie. Poco tak zaraz się gniewać. Przecie poręczenie to nie takie wielkie rzeczy.

— Nie wielkie, jednak ja tego nie lubię. Prosić kogoś o poręczenie znaczy tyle, co prosić go o pożyczkę, to przecież nie potrzebuję do tego pośrednictwa twojego, ani tego pana.

Mordko milczał; jam się zabierał do wyjścia.

— Niechno pan zaczeka — nastawał Aronek i przemówił kilka słów po żydowsku.

Mordko rzekł zwolna:

— Poręczenie ma u nas cel dwojaki; naprzód zabezpieczenie się, a potem i zbadanie sytuacji dłużnika, czyli ma przyjaciół i jakich. Zresztą poręczenie może być dane i przez pańskich kolegów, albo koleżanki, to przecież niewielka rzecz — a ja mam taki zwyczaj, że bez poręczenia nie daję.

Żyd dziwił mnie gładkością wysłowienia, a potem ton jego mowy był stanowczy, zdawało się, że już tam żadne perswazyje nie pomogą.

Cóż było robić? wytargowałem jednak tyle, że zamiast kolegów, podpisały żona moja i jej siostra. Procentu wziął odemnie Mordko trzy.

Po upłaceniu trzech czy czterech rat, przyszedł do mnie Aronek, prosząc, abym Mordkowi posłał dwa bilety do teatru.

Odpowiedziałem mu niechętnie.

— No, co to panu szkodzi, mój panie? Niech jemu pan poszle. On jeszcze w teatrze nie był, jak żyje. Niech on pana zobaczy, mój panie. Aj waj! jakie on oczy zrobi jak pana zobaczy — a jak ja się będę śmiał! Niech pan będzie tak łaskawy.

Lubiliśmy Aronka, bo był uczynny i nie bardzo interesowny, a wielki wielbiciel teatru. Mordko więc dostał bilety. Żałuję, że nie zapisał dnia tego w kalendarzu, bo niewątpliwie był to dzień epokowy w życiu Mordki. Pamiętam tylko, żeśmy grali sensacyjną komedię francuską »Ulicznik paryski«.

Na drugi dzień przyleciał do mnie Aronek.

— Aj panie, panie! gdybyś pan go widział, to jest warte tysiąc reńskich, jak szczęścia pragnę. On pana nie poznał. Jak Pana Boga kocham nie poznał... i tylko się ciągle dopytywał: A kto jest ten pan generał? a jaki to dobry człowiek. A kto jest ten chłopak taki mądry? Co on wyrabiał — on się śmiał — on płakał. Jak pan mnie żywego widzisz, tak płakał. Pan nie wie, co pan za awanturę z niego zrobił.

I Aronek nie miał słów, aby określić wrażenie, jakie teatr sprawił na Mordka.

Od tej chwili Mordko zaczął uczęszczać codziennie do teatru. Stało się to jego potrzebą. Teraz trzeba go było widzieć, kiedy przyszedł do mnie, jak zwykle, po ratę.

Oczy mu się świeciły, patrzył na mnie z pewnem niedowierzaniem. Słuchał dźwięku mego głosu, który mu przypominał pewne zapamiętane akcenta na scenie, i dziwił się i kiwał niedowierzająco głową... Uśmiechał się i znów spoglądał poważnie.

— Co pan z sobą wyrabiarz... aj aj! a jak pan potrafi to wszystko.

Lubo otrząskany z tego rodzaju podziwem, jakim mnie nieraz darzyły proste, niewykwintne umysły niektórych widzów, wyznam jednak, że ten zachwyt lichwiarza zdumiał mnie nie pomału.

Skąd się naraz wzięło w tym żydzie, który całe życie obliczał tylko i kombinował lichwiarskie swoje obroty, to zamiłowanie dla dramatycznej sztuki? Mordko

sztuką przejmował się do głębi, teatr stał się jego potrzebą — wkrótce też wszedł z aktorami w interesa.

Nie upłynęło parę miesięcy, gdy wszystkich członków krakowskiego teatru płci obojej miał już w swoim pugilarzesie, czyli, że banknoty z jego pugilaresu były w naszych kieszeniach, a nasze weksle w jego.

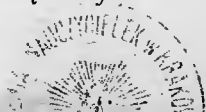
Zaczęło się dlań nowe życie.

To ciekawe koło komedyantów, dla niektórych umysłów zapalnych, ma urok niewysłowiony, i nie może być inaczej.

Żadna sztuka nie splata się tak ściśle z życiem aktora. Można być twórcą w każdej innej, zamknawszy się między czterema ścianami, i tworzyć arcydzieła, a po wyjściu z pracowni być sobie najzwyczajniejszym filistrem, który nie zwróci uwagi niczyjej... Ale aktor jest zawsze aktorem.

Przyzwyczajony grać na swoich nerwach, być panem swego głosu, gestu, spojrzenia, będzie on zawsze pozował, nie będzie nigdy sobą, to jest poza sztuką zwyczajnym sobie człowiekiem, ale czemś niezwykłym, bo nie da on się nawet starości. Przyzwyczajony jak frontowy żołnierz być zawsze gotowym do ataku, nie pozwoli zgarbić się plecom, ani zeszywnić nogom i rękom. Zawsze prosty, zwinny, gibki, z okiem błyszczącym życiem i twarzą pełną wyrazu, pomimo że czas i praca popisały na niej dużo hieroglifów; a stąd też i to wrażenie nieokreślone, które działa na ludzi, i którem pociąga do siebie.

Być w gronie aktorów, to znaczy tyle, jakby być w pośrodku sztuki, której oni są reprezentantami. Bo czyż ten zapal, to ciepło, to życie, którem tchnie każde ich słowo, każdy gest, wyraz twarzy, oczu, mięśni — nie są to wszystko środki, którymi stwarzają sztukę — a czyż tymi samymi środkami nie posiłkują się w życiu nie fikcyjnym?



Znane to są rzeczy dla nas, powie niejeden z czytelników.

Ale to były rzeczy nowe dla Mordka, i będą jeszcze po wszystkie czasy nowe dla podobnych jemu.

Mordko stał się domownikiem w teatrze.

Można go było widzieć na próbach, w garderobie, za kulisami.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że Mordko, porwany zapałem dla sztuki, nieopatrnie rozwiązywał worek i wyrzucał z niego pieniądze. Nie. Mordko od swoich zwyczajów lichwiarskich ani na jotę nie odstąpił. Poręczenie na wekslu było zawsze ściśle przestrzegane; procenta podskoczyły na cztery, a nawet na pięć, bo w dziwnej tej organizacyi moralnej znalazło się miejsce i dla entuzyasty i dla — lichwiarza!

Wielbiciel rozkoszował się i podziwiał, lichwiarz w tej samej chwili obliczał. I kiedy panna N... ze swoim najczulszym uśmiechem głaskała jego brodę i wynurzała mu swoje gwałtowne potrzeby — dał; ale ze względu właśnie na te gwałtowne potrzeby, kazał sobie zapłacić — pięć procent.

Przy ratach Mordko był nieubłagany.

Bywało, że nieopatrna komedyancka dziatwa powstawała na jego zdzierstwo, groziła mu procesem, sypała obelgi, wówczas Mordko prolongował, kontentując się na razie procentem.

I tak Mordko pędził dni najszcześniejsze.

Zapraszał nas do siebie w szabas na ryby — ryby były wyśmienite — a i miód doskonały.

Lubił się popisywać przed nami swoją żoną, ładną kobietą, ale żydówką z pod ciemnej gwiazdy, źle nawet mówiącą po polsku, i dwoma synami, których posyłał do szkół publicznych.

Przez cały czas naszego pobytu w jego domu, sam gadał prawie, a gadał o — sztuce.

— A jak ten pan gra w tej sztuce, a ta pani w tej. Pamiętasz żoneczko tę scenę?... aj! aj! jak to pięknie było grane.

Czasem wymknęła mu się i krytyka.

Mordko doszedł już do pewnej wprawy i potrafił wykryć fuszerkę. Wówczas odzywał się: To było ładne, niema co powiedzieć, ale pan X. zagrałby lepiej.

Miał już Mordko swoje uprzywilejowane miejsce na galeryi, gdzie siadywał z żoną, a czasem z którymś z synów. Poznawaliśmy go po mocnym głosie i po tęgiem klaskaniu, bo ręce miał duże i tłuste.

Niewprawny w czytanie polskie, zachęcił się do niego krytykami *Czasu*, które począł skwapliwie i uważnie odczytywać.

Drażniła go każda ostra przygana. Wówczas nazywał recenzenta gburem, niegrzecznym, ordynarnym.

I jak dotąd szło wszystko bardzo dobrze, gdy nagle na niezamąconym horyzoncie Mordkowego życia wśród teatralnej drużyny, pokazała się — chmura.

Było to w czasie jakiegoś wieczorku, który dawał dla nas w swym domu *ex re* narodzin córki.

Zgromadziliśmy się nielicznie, bo Mordko począł mieć coraz więcej między nami malkontentów, gdy wtępn nadbiega Aronek i przynosi złowrogą wiadomość, że pan B., pan W. i panna D. wyjechali.

— Dokąd wyjechali?

— Do Królestwa.

— A moje pieniądze! — krzyknął Mordko tak przeraźliwym głosem, że aż się mury zatrzęsły.

— Ja im nie daruję! ja ich znajdę, ja ich dogonię!

Zaczerwienił się cały okrutnie; myśleliśmy, że padnie rażony apopleksyą, bo żyd był krótkiego karku i nadzwyczaj otyły.

I wtenczas to poznaliśmy czem dla Mordka była strata pieniężna. Zapomniał o wszystkim. Od tej chwili



myśmy dlań nie istnieli, szwargotał ze żoną i Aronkiem, nareszcie porwawszy go za ramię, wybiegł z nim spiesznie z izby.

Nazajutrz nie widzieliśmy Mordka w teatrze.

Trzeciego dnia dopiero zjawił się blady i bardzo przygnębiony.

Stratę swoją obliczał na kilka tysięcy reńskich.

— Złe aktory, złe ludzie — mawiał. — Niech ich wszystkie dyabli wezmą za moją krzywdę.

Pierwszy cios bywa najmocniejszy, to też Mordko długo się po nim wylizać nie mógł.

Potem przyszedł niestety drugi i trzeci.

Mordko się wyprzysięgał, że już z aktorami w interesu nie wejdzie, ale po staremu do teatru chodził i klaskał, a chociaż z większą ostrożnością i zastrzeżeniami, ale znów aktorom pożyczął. Amator sztuki zatryumfował w Mordku nad lichwiarzem.

Gdym opuszczał Kraków, ostatnim z żegnających mnie był Mordko.

Zbliżył się do wagonu, już przed wyruszeniem pociągu, i ściskając mnie za rękę, rzekł wzruszony:

— Co my bez pana będziemy robić? A dlaczego pan nas opuszcza? Taki dobry człowiek i taki dobry artysta. No, niech pana Pan Bóg prowadzi. A niech pan też o nas nie zapomni.

* * *

Z każdym rokiem Mordko ponosił straty, ale już z zaczarowanego koła wyjść nie mógł.

Za każdym razem, gdym odwiedzał Kraków, spotykałem go w coraz większym opuszczeniu. Posiwiak i postarzał się bardzo. Wkońcu zbankrutował zupełnie.

Prowadził już tylko handel bławatnemi towarami, które brał na kredyt od swoich współwyznawców i sprzedawał je na wypłat artystkom.

Witał mnie zawsze rozrzuwiony. Z tego samego miejsca na galeryi słyszałem najgłośniejsze brawo i najhałaśliwsze oklaski.

Pewnego razu zaprosił mnie do siebie na zwykłą dawną rybę podczas szabasu i lampkę miodu.

Żona mu umarła przed kilku laty. Synowie go opuścili; jeden wyemigrował do Ameryki, drugi był w Wiedniu na praktyce u adwokata, została mu tylko córka i ta nam czyniła honory domu.

Było to wówczas dziewczę szesnastoletnie, ale już zapowiadało niepospolitą piękność. Grała ładnie na fortepianie i uczyła się śpiewać u Mireckiego.

W tej córce widział Mordko całe swoje szczęście, i na niej opierał nadzieję lepszej doli. Aspiracye artystyczne upominały się gwałtownie o swe prawa...

* * *

Zapomniałem już o Mordku w nawale pracy i wrażeń późniejszego mego życia.

Naraz przeglądając feljeton teatralny gazety *Neue freie Presse*, spotkałem się z nazwiskiem, które mnie uderzyło. Recenzent podnosił tam głos i grę młodej śpiewaczki zaangażowanej niedawno do cesarskiej opery, panny Racheli Riter. Potem wspomniał krótko o jej pochodzeniu z Krakowa, i dodał z rzadką w tej gazecie dla nas życzliwością, że Krakowowi świat muzyczny wiele zawdzięcza talentów.

Czyżby to miała być córka Mordki? — pomyślałem sobie.

Piszę doń list z powinszowaniem i oto jaką odbieram odpowiedź.

»Szanowny Panie! Dziękuję za »rzyczenie«. Ja wiem co pan zawsze był mój przyjaciel. Pan jest dobry człowiek i dobry artysta, bo tylko dobry człowiek może być dobrym artystą. Widzi pan co ja mój kapitał umie-

ściłem na dobry procent, bo choć złe aktory zabrali wszystko, to przecie Pan Bóg dał mi córkę, która jest pociechą i podporą mojej starości.

Ja pana serdecznie ściskam i pozdrawiam.
Sługa i wielbiciel pański.

Mordko Riter«.





DYREKTOR-OBYWATEL

Było to w roku 1857.

Do Płocka zjechało towarzystwo artystów dramatycznych pod dyрекcyą Juliusza Pfeifra z Krakowa.

Jest to epoka w dziejach teatru płockiego.

Dotychczas widziało miasto trupy aktorskiej cygany, co się rok rocznie przesuwawała jak szarańcza, pozostawiając po sobie całe legiony niezadowolonych, i... ogromną moc długów.

Widywano zwykle tę szarańczę odzianą i obutą licho, z pewną pstrociną cygańską, niby arlekinów, w długich włosach, skrzydlatych kapeluszach, udrapowanych w almayvivy — hulaków, wykolejonych, szyczących z bogów i ludzi, mówiących żargonem jakimś niezrozumiałym dla porządnego filistra.

Aż tu naraz zjawiają się ludzie ubrani podług ostatniej mody, o której dopiero słabe przecucie mają płoczenie, w lakierowanych butach, świecących lustralnie cylindrach!

Na ich twarzach widać zadowolenie i humor dobrego bytu. Prowadzą się pod rękę z kobietami pięknymi jak Wenery, postrojonemi jak księżniczki.

Gdzie się pokażą, płacą i jak płacą, nie pytając naprzód o cenę, i nie targując się!

Pan dyrektor, to nie jakiś tam wychudły błądy gżemość z czerwonym nosem, zjadliwym uśmiechem



lisa, w wyszarzanem palcie, owinięty szalem, ale persona, na którą spojrzeć miło.

Cała jego postać zaokrąglona, pulchna, ręce ubrane w pierścienie. Twarz starannie wygolona, dobrotliwie uśmiechnięta, patrząca z pewnem pobbazaniem na przypatrujących mu się ciekawie ploczan.

— I to taki teatr w Krakowie? Tacy artyści, jaki dyrektor, mój Boże!

Miasto patrzy, admiruje i w duszy już cieszy się jak dziecko, że tych wszystkich pięknie poubieranych panów i panie zobaczy wkrótce na scenie.

Co za radość! — Przyjechali wczoraj, nie żadnemi żydowskiemi budami na kredyt, ale pocztą, pocztą, słuchajcie! jak jacy wysocy urzędnicy, albo dziedzice wioskowi; niektórzy znowu statkiem parowym.

Wszystko to rozlokowało się w pryncypalnym hotelu na starym rynku, gdzie drogo za wszystko płacić trzeba. Dziś rozglądają się po mieście, na jutro jest zamówione nabożeństwo w tumie, a pojutrze rozpoczynają przedstawienia.

Nabożeństwo w tumie!

Cóż to za ludzie!

Cały Płock jak jeden mąż śpieszy na wotywę. Nigdy katedra plocka nie pomieściła tylu pobożnych.

Na rogach ulic poprzylepiano afisze, gdzie możesz czytać repertoar na całe trzydzieści przedstawień, bo tyle dać mają w ciągu miesiąca.

Karpaccy górale, Żydzi, Zemsta, Dożywocie, Od-ludki i poeta, Izabella d'Ayomonte, Umarli i żywi, Pan Jowialski, Krakowiacy, Matka rodu, Mazepa, Śluby panieńskie, Lwy i lwice, Pożar miasta Krakowa (senzacyjna i będąca na czasie).

— Gwałtu! myśmy o takich sztukach nigdy nie słyszeli. Skąd się wzięły te sztuki? U nas na afiszach od wiek wieków bywały takie sztuki, jak:

14 14
19 14
— 2

Rinaldini, Bratobójca Aldini, Zbrodnia w zamku i t. d., a przy każdym tytule stało nieodstępne »czyli«, bo gdy było »Zbrodnia w zamku« musiało być: czyli »Niewinna dziewczyna«, a gdy był »Zbieg węgierski«, dodawano czyli »Głowa brązowa«, i t. d. i t. d.

I mają grywać co dzień.

Co za radość! co za radość!

Nastąpiło otwarcie widowiska.

— Patrzcie, patrzcie, jakaż to cudna kobieta.

— To Szynglarska.

— A ta, co tak gra znakomicie, ach jak ona gra!

— To Radzyńska.

— A ten młody, jakiż to śliczny chłopiec.

— To Benda! A ta milutka, śliczniutka, to panna Zagorska... a to Krajewski... a to Królikowski, brat tego z Warszawy... to Wisłocki, jakiż to komik znakomity!


— Teraz, teraz patrzcie! Wszedł na scenę dyrektor jako pułkownik w komedyi Bogusławskiego »Lwy i Lwice«. Jakaż to godność w tej postawie, ile tu szlachetnej powagi i rozumu. Jaki ogień bije z tych słów i z tej twarzy!

— Co za teatr... co za artyści! A jak ta scena wygląda — jak pudełko, jakie śliczne meble i akcesorya. Zupełnie jak w salonie u pana mecenasa!...

Brawa, przywoływania, szal prawdziwy, nigdy nie słyszany w tych murach. Niejeden nerwowo, nie przyzwyczajony do tych wrzasków, wystraszony pyta: czy się gdzie pali? Dopieroż śmiech z niego i większa jeszcze wrzawa.

Płock żyje, oddycha, mówi, krzyczy teatrem Pfeifera. Miasto się roi od przybywających co chwila panów ze wsi. Teatr nie może pomieścić widzów.

W połowie przedstawień, co było biedniejszego, już się pozastawiało, posprzedawało, aby być na każdym przedstawieniu — a tu dopiero połowa.

 Pan dyrektor stoi przed teatrem i patrzy z dobrotliwym uśmiechem na zbitych w kupkę studencików nie mających śmiałości przystąpić bliżej.

— A co to panowie tacy smutni? — pyta.

— Chcielibyśmy do teatru, ale już nie mamy zaco.

— A to ja proszę kawalerów, proszę na parter. Panie Stachurski, dla młodzieży uczącej się, posyłać po sto biletów do uznania inspektora.

Zdawało nam się, że niebiosa rozwarły swoje wnętrze, a ten pocziwy dyrektor niby w gloryi nadziejskiej objawił się oczom naszym.

To też, gdy opuścili nasz gród, nie mogliśmy powstrzymać się z żalu rzewnego, powtarzaliśmy tylko ów znany wiersz z Malczewskiego:

I ciche puste pola — znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żał za nimi bierze!

Byli to dla nas rzeczywiście rycerze światła. Przez nich bowiem dowiedzieliśmy się, jak to porządnie prowadzony teatr wyglądać może, jakie to sztuki zawiera skarbiec naszej literatury.

I stało się oto, że jeden z tych studencików rzucił mundurek szkolny, rzucił rodzinę i powędrował w świat daleki, aby być sługą tej sztuki, którą oni tak dzielnie reprezentowali. Zbudzili w nim uspiońy talent, który może byłby się nigdy nie rozbudził...

* * *

Takie to uczty sprawiał polskiej publice, gdzie się tylko pokazał, pan Juliusz Pfeifer.

To też na długi czas zadał dotkliwe ciosy naszym prowincjonalnym trupom.

Nie były one jednak bez wielkiego wpływu, bo niebawem poznikały z afiszów owe potworne sztuki i ty

tuły, a zaczęły się pojawiać coraz częściej dzieła naszych pisarzy, a z obcych — rzeczy doborowe.

Z każdego miasta wywoził pan Juliusz tysiące, ale te tysiące topniały w jego rękach z dziwną szybkością, bo płacił niemi, karmił i poił swoich aktorów.

Naraz zachciało mu się, aby i Niemcy podziwiali polską sztukę i polskie utwory, i oto jedzie z trupą do Wiednia, nie będąc pewnym, jak go tam przyjmą. Ale gwiazda szczęścia nie opuszczała go nigdy. Wiedeńczycy z zapałem niebywałym słuchają polskich melodyi w »Krakowiakach«, podziwiają naturalność gry i dystrynkcyę w polskich komedych, i każą sobie je tłómaczyć (»Okreżne«, »Pierwej mama«, »Okno na pierwszym piętrze«). Wysyłają do artystów agentów, czyby nie chcieli zagrać na niemieckiej scenie (Rakiewiczowa, Miłaszewski, Benda).

Powodzenie niesłychane!

I byłby ten bojownik prowadził w dalszym ciągu swoją zwycięską kampanię, gdyby... gdyby nie jego achillesowa pięta.

Piętą pana Juliusza była rola Napoleona, którą grał rzeczywiście bardzo dobrze, główną jednak jej siłą było podobieństwo do portretu cesarza francuzów.

Rolą tą musiał pan Juliusz popisywać się wszędzie zdumionym widzom w rozmaitych sztukach, które każał tłómaczyć. Były to naturalnie ramoty bez żadnej wartości.

Teraz przyszła kolej na Wiedeń.

Pocziwy pan Juliusz politykiem nigdy nie był, a historyi ubiegłej połowy naszego stulecia musiał zapomnieć, bo byłby przecie wiedział, czem to dla Wiednia Napoleon.

To też jak gdyby ich kto zimną wodą oblał, cały zapał i sympatya ostygły, a pan Juliusz z nosem na kwintę opuścił gościnne dotąd miasto.

Powiedział sobie jednak: Co się tak dobrze nie udało w Wiedniu, uda się w Berlinie.

Jazda tedy do Berlina.

Wyrobiono mu audyencyę u króla.

Do audyencyi tej pan Juliusz przygotowywał się tydzień cały, bo musiał się nauczyć po niemiecku krótko ułożonej przemowy.

Szcześnie jednak dla sztuki polskiej i dla naszego dyrektora, okoliczności inaczej wypadły, bo gdy zapomniawszy przemowy, odezwał się łamaną niemczyzną do Fryderyka Wilhelma:

— *Ich ersuche Seine Majestät mir gestatten zu wollen polnische Comödie zu geben.*

A król mu odpowiedział:

— *Lassen sie mich in Ruhe! Ich habe schon genug der polnischen Comödie...*

Na taką odpowiedź nie można było dłużej popasać w nadsprejskiej stolicy.

Pan Juliusz był postacią bardzo sympatyczną i bardzo szanowaną w teatralnym świecie.

Dobroduszość jego wyzyskiwali wszyscy filuci; nie gniewał się bardzo o to, tylko gdy się dowiedział o jakimś szwindlu na swoją kieszeń, mawiał:

— Jezus Marya, jacy ci ludzie niegodziwi!

To »Jezus Marya« było tak charakterystycznem w ustach pana Juliusza, jak »Rewera« w ustach Potockiego, albo »panie kochanku« u Radziwiłła.

Słyszano je nieraz na scenie, i to w miejscach nie nadających się wcale do tego wykrzyknika.

W »Judycie« Hebla grywał pan Juliusz Holofernesa. Trzebaż nieszczęścia, że w kulminacyjnej scenie dramatu, kiedy leży uśpiony w namiocie, a Judyta się podsuwa, aby go zabić, spada mu na głowę jakaś żerdź źle umieszczona przez maszynistę.

— Jezus Marya! — wykrzyknął Holofernes...

Cały teatr w śmiech, a pan Juliusz oprzytomniawszy, widząc że nie poniósł żadnego szwanku, odzywa się spokojnie do widzów:

— Śniło mi się, że jestem chrześcianinem...

I pan Juliusz układa się ponownie, aby zasnąć i dokończyć sceny.

Raz tylko jeden widziano pana Juliusza rozgniewanym.

Było to na wyjeździe z Lublina do Kielc.

Trzeba było jechać żydowskiemi brykami.

Furman nie chciał inaczej podjąć się jazdy, dopóki mu dyrektor naprzód nie zapłaci.

— Jezus Marya! poganinie ty jeden! Czyś słyszał kiedy, ażeby dyrektor Pfeifer kogo pokrzywdził?

Na to Żyd:

— Wszyscy aktorzy są nierzetelne. Niech mi pan naprzód zapłaci, bo inaczej nie pojedę.

Na stole leżało kilka woreczków płóciennych z monetą, bo papierowe pieniądze były wówczas rzadkością.

— Patrz Judaszu, widzisz, że mam czem płacić, ale dostaniesz dopiero na miejscu.

— Albo to pieniądze, to skorupy — mówi Żyd.

— Jezus Marya! — wrzasnął pan Juliusz w najwyższej pasyi — i nuż rzucać na żyda ciężkimi workami z pieniędzmi, które się rozsypały po całym pokoju.

— Gwałt! rozbój!

Żyd nie wiedział, czy zbierać rozsypane pieniądze, czy się bronić przed ciosami, które bez ustanku jak grad padały na niego.

— Przykryję cię tem srebrem, gałganie, do gardła ci je wtłoczę!

Zbitego i prawie omdlałego Szmula, wyprowadzono z izby.

Z wiekiem traci pan Juliusz dawny hart i dawną przedsiębiorczość.

Staje się coraz więcej nabożnym.

Wielej go zajmuje kościół, niż scena.

Złośliwi szeptali, że pan Juliusz w młodości bardzo grzeszył...

Z Krakowa już się nie rusza, oddaje wodze w ręce Karola Królikowskiego, a gdy mu się kończy termin prowadzenia krakowskiej sceny, nie stara się o przedłużenie i ustępuje Miłaszewskiemu.

Odtąd widzi go Kraków coraz więcej przygarbionym i starym, wędrującym od kościoła do kościoła.

Wkrótce zapomniano o nim i nigdzie najmniejszą wzmianką nie uczczono zasług tego prawdziwego dyrektora-obywatela, który z taką godnością niósł sztandar sztuki.

Znalazłszy się w trupie krakowskiej za dyrekcji Skorupki, odwiedziłem staruszkę i przypomniałem mu się jako ów studencik z Płocka, który tyle pięknych wrażeń wyniósł z jego tam pobytu i które ostatecznie tak nań podziałały, że obrał sobie zawód aktora.

— Bóg cię błogosław, moje dziecko, żeś nie zapomniał o starym. Pracuj i idź dalej w imię Boże. Ciężki to zawód, ale też daje tyle szczęścia, jak żaden inny...





N A I W N A

Jakże ją tu opisać?

Nie umiem rysować, bo bym dał jej dokładny wizerunek w drzeworycie, a pod nim komentarz, i byłoby wszystko w porządku.

Trzeba sobie jednak radzić w inny sposób.

Wszelkie moje opisy nie dałyby tego, czego chcę. Pragnę ją uplastyczyć w waszej wyobraźni, bo warta tego, jak to zaraz zobaczycie.

Szukajmy analogii jej w sztuce. Tyle się pięknych twarzy namalowanych widziało, że niepodobna, aby nie posłużyła mi która za jaką taką podobiznę.

Jest!

Znacie zapewne główkę Greuz'a, tę główkę przechyloną trochę, z jasnymi kędzierzawymi włosami, z tym uśmiechem dziecinnej naiwności. Znacie?

Otóż gdy wam tę główkę nieco dopełnię pewnymi szczegółami, będziecie mieli niejaki wizerunek mojej bohaterki.

Najprzód miała piękniejszy nosek, niż na obrazach Greuz'a: był to nosek paryskiej kokotki. Usteczka trochę mniejsze i piękniej zarysowane, a nadewszystko jednostajną cerę bez rumieńców, o błądności owej, zwykłej temperamentom suchym, sangwinicznym, o białości kości słoniowej. Główka cała w loczkach. Wzrost miała średni, figurkę zachwycającą.



Była córką właścicielki kamienicy, w której mieszkaliśmy. Miała lat siedemnaście, zwano ją Tonia.

Że był to dyabełek wesoły, ciekawy, zwinny, wiecznie szczebiocący, śmiejący się i o wszystko pytający, więc znajomość z nią zawierała się tak prędko, że ani się człowiek spostrzegł, jak naraz stawał się z nią w zupełnej zażyłości.

Tylko cośmy się wprowadzili, gdy Tonia, biegnąc po schodach, zobaczyła drzwi niedomknięte — pobiedz do nich, zajrzeć, zapytać czy czego nie potrzebujemy, było dziełem jednej chwili — a że zaraz na pierwszy rzut oka stawała się tak miłym i rozkosznym zjawiskiem, więc trzebaby było chyba jakiegoś hypochondryka lub mizantropa, aby się do niej mile nie uśmiechnął, nie wziął za rączkę i nie poprosił bliżej.

Tonia wbiegła, obróciła się po pokoju, roześmiała srebrnym głosikiem i odrazu zbadła sytuację.

W nakryciu do kawy brak było niektórych utensyliów, jak spodeczków do filiżanek, maszynka źle przeciekała, bułki były nieświeże.

Wszystkie te uwagi czyniła z nieopisanym wdziękiem, szczebiocąc i śmiejąc się... i zanim moja żona poczęła się wymawiać, Tonia już znikła, a w parę sekund znalazło się wszystko, czego brakło w zastawie.

Nie znacie koczującego życia trup wędrownych?

Porzuca się niedawno co zawiązane stosunki, życziwą kompanijkę, cały szereg wielbicieli, mecenasów i protektorów, aby powędrować gdzieś w obce strony i znowu gdzieindziej stworzyć sobie coś podobnego.

Nie rzadko się jednak zdarza, że nowi ludzie nie potrafią zastąpić dawnych. Wtenczas tęskni się za Stanisławowem, Kołomyją lub Przemyślem i mówi: tam było inaczej.

To też gdyśmy na wstępie do nowego miasta spotykali taką Tonie, wprzęgliśmy ją odrazu w szereg mi-

łych postaci i już ona jedna nie pozwoliła nam bardzo wzdychać za Przemyślem lub Kołomyją.

Tonia była szczytem dziecięcej naiwności i nieporównanego wdzięku.

Patrzac na nią, mawialiśmy:

— To jest typ naiwnej! Patrzeć na nią i studyować.

Niechby nasza Myszka uczyła się od niej tej prostoty!

Myszka, była to panna Myszkowska, nasza naiwna.

Do heroldów trąbiących o powabach i cnotach, a przytem największych wielbicieli Toni, należeliśmy ja i moja żona.

— To aniołek! Jakiż szczęśliwy będzie ten, który potrafi w jej serduszkę zapanować.

— Prawda! prawda! — potwierdzili mi koledzy chórem, i koleżanki. Jedna tylko Myszka krzywiła nosem i robiła taką minkę jak w »Broni niewieściej«, wobec umizgów starego archiwisty.

Znaliśmy ten jej stereotypowy grymas i przedrzeźniali go.

— Biedna Myszeko, twoje minki, twoje grymasy, twoje z głupia-frant naiwności, czemuż są wobec tej natury, tej prostoty i tego wdzięku cudnego dziecka?

Bywało, że w gościnnym domu jej matki zbierała się nieraz cała nasza trupa wraz z dyrektorem niedawno ożenionym z panną D..., niezmiernie zakochaną w swoim mężu.

Tonia przylgnęła szczególnie do niej i odrazu stała się jej serdeczną przyjaciółką.

Języki aktorów bywają pieprzne mocno, mówi się dwuznacznikami, powyciąganymi z ról we francuskich sztukach, gdzie to nieraz rzecz sama przysłonięta lekko przeźroczystą barwą słów widzieć się daje, jakby owoc pod kloszem, i wywołuje rumieniec na twarzach dam.

Tonia obracała się wobec tych strzałów tak, że ani jeden jej nie zadrasnął.

Nie zrozumiała ich poprostu.

— No, ta bosą nogą przez piekło może wędrować! — mawialiśmy.

Nie zna, nie rozumie życia, zda się nawet nie ma o niem słabego przeczucia... a przecież takie rozumne, takie miłe, kochane dziecko!

Wiedzą jednak sąsiedzi, jak kto siedzi.

A z tymi sąsiadami zapoznaliśmy się wkrótce.

Ten i ów, gdyśmy zaczęli głosić hymn uwielbienia dla Toni, zaczął ruszać ramionami, inny uśmiechać się złośliwie, ów znowu przyciął jakimś niesmacznym konceptem. — To zazdrość, plotkarstwo, zwykle jak w małym mieście.

Jednak zaczęliśmy baczniej patrzeć na Tonię i... nic nie dostrzegliśmy.

Zauważyliśmy zato wielką zmianę w naszym dyrektorz.

Był dziwnie sentymentalnym, wymykał się często niewiadomo gdzie i poco. Pisywał ukradkiem jakieś kartki i w sekrecie wysyłał przez afiszera, a dyrektorka miewała oczy czerwone.

Naraz... pamiętny nam będzie dzień ten, pani dyrektorka wpadła na próbę w wzburzeniu największem, krzycząc i spazmując.

— Ja tę ładacznicę niegodziwą różgami obić każę na publicznym placu... ja ją...

Nie dokończyła łkając.

— Kogo? co? Co się stało?

— I wyście wierzyli w jej niewinność? Toż to ładacznica głośna na całą okolicę. Popytajcie ludzi, co tu o niej rozpowiadają... I dziś ta niegodziwa męża mi odebrała. Czyż już niema sprawiedliwości na podobne »niewiniątka?«

— Tonia! Tonia! — wykrzykiwaliśmy na wszystkie strony.

— Co dyrektorowa mówi — to dziecko?

— O wy głupcy! głupcy! głupcy dziesięćkroć — krzyczała biedna kobieta z żalem i rozpaczą nie do opisaną. — I wy znawcami ludzi się mienicie? Wy macie badać charaktery, a jedna niegodziwa taka potrafiła was wszystkich otumanić? Patrzcie, to jej listy, które wykradłam małżonkowi. Przeczytajcie! Czy na coś podobnego zdobyłby się najbardziej wyrafinowany i najbardziej zepsuty umysł?

Bywają chwile, kiedy na widok nędzy ludzkiej, tam, gdzie człowiek widział skarby przed niedawnym czasem, doznaje czegoś tak okropnego, coby się nazwać mogło ubytkiem jakimś wewnętrznym, jakby utratą jakiejś części duszy. Taką to próżnię uczuliśmy w sobie.

Pocziwe moje żonisko z płaczem odpierało zarzuty, nie mogąc wierzyć w taką potworność.

A Cóż Tonia?

Oh Tonia, to komedyantka na wysoką skalę!

Gdy ją odkryto, rzuciła rolę naiwnej i odrazu przeistoczyła się do niepoznania.

Jaką też rolę przybrała, jak myślicie?

Wyobrażacie sobie może, iż grała jakąś ofiarę spotwarzoną, że się okryła smutkiem, niby nimbusem, i tonęła we łzach?

To byłoby za pospolite, to nie na taką komedyantkę.

Tonia zjawiała nam się jako mały demonek, niby szatanek czarujący.

Na tem ślicznem obliczu pojawił się teraz uśmiešek wyzywający i złośliwy, oczy sypały żarem, usta zaciśnięte rzucały drwiące przycinki i szyderstwa.

— Idź pani na scenę — mówię, zrobisz karierę.

— Tak też myślę.

I odwróciła się odemnie, nucąc jakąś śpiewkę wesolą z wodewilu.

*

*

*

Szkoda, że kończąc tę prawdziwą sylwetkę nainwnej, muszę przejść po trupie, ale tak w życiu bywa...

Biedna dyrektorowa nasza zmarła w kwiecie wieku, przynosząc światu niedonoszone dziecię.

Po mieście krążyły wieści, że ją Tonia otruła.

Bywają trucizny... i trucizny.

Tonia szła za pogrzebem ubrana w korale, w których jej było tak bardzo do twarzy.

W parę miesięcy została — dyrektorową.

Teraz miała utorowaną drogę na scenę.

Oczekiwaliśmy jej występu jako czegoś takiego, co stanowi epokę w dziejach sztuki.

Takaż z niej przecież artystka!

Biedna nasza Myszka byłaby się w mysią dziurę schowała, gdyby mogła; pocieszaliśmy ją, bo cała nasza sympatya ku niej się teraz zwróciła... nic to nie pomogło, szlochała i chowała się po kątach.

Nadszedł wieczór oczekiwany. Kurtynę podniesiono, weszła Tonia... i... zrobiła najobrzydliwsze fiasko.

Czegoś tak nienaturalnego... tak czelnego i wstrętnego, nie zdarzyło się nam dotąd widzieć.

I wówczas pojęliśmy tę wielką prawdę, że sztuka jest — kapłaństwem. Że chłodny rozum jej nie wystarczy. Że czuć i kochać trzeba.

Pocziwa nasza Myszka zatryumfowała i nadzwyczaj szybko wzniosła się na wyżyny sztuki. Byłaby dziś jej ozdobą, gdyby nie... hymen, który ją nam porwał, i dziś wychowywać każe kilku dorodnych chłopców.

*

*

*

Tonia była komedyantką na scenie świata i została nią po dziś dzień.

Dwa lata tylko żyła z mężem, który sobie w łeb strzelił wypadkowo, bo chciał od niej wystraszyć okup zato, że uciekła z jakimś oficerem bardzo bogatym.

Gdy padł ugodzony kulą w skroń, Tonia pogardliwie ruszyła ramionami, mówiąc:

— Lichy komedyant...

I miała słusność. Pan dyrektor przerachował się. Chciał się tylko lekko zadrasnąć, tymczasem Nemezyz skierowała lufą pistoletu.

Spotkałem ją potem w Warszawie... naiwną.

Dalej w lat kilka na Grabenie wiedeńskim kupowałem od niej rękawiczki w perfumeryi; otoczona była oficerami i złotą młodzieżą. Uśmiechnięta, zda się młodsza jeszcze, z tą buzią drobną, główką w loczkach i wdziękiem niewinnego dziecka... naiwna!





NASZA CÓRKA

Pan Jan Niziński, z przydomkiem »Mosanie«, głośnym był na całą Litwę dyrektorem teatru prowincjonalnej trupy.

Niegdyś trochę wolteryanin, najgorliwiej później służył Melpomenie.

Był uczniem Wojciecha Bogusławskiego.

Pięknej i dorodnej postaci musiał być, lubo poznałem go już starcem o długich, siwych włosach, z twarzą bez zarostu.

Pan Jan był niepospolitym aktorem; umysł światły, czytany, a choć klasyk i wielbiciel starej szkoły, potrafił godzić się z nowszym kierunkiem. Uderzały w nim nieporównany zmysł piękna, miara artystyczna i bystrość krytyczna.

Dawnymi czasy nie pisano tyle o sztuce scenicznej, nie było tylu co dziś komentatorów, estetyków i szpeceraczy, a przecież panu Janowi mógł pozazdrościć niejeden z Janin'ów lub Lindau'ów dzisiejszych...

A załatwiał zię z aktorami krótko. Na pierwszej próbie zaraz, którąśmy odbywali wieczorem przy łożówkach, pán Jan ślinił palce, urywał knot u kopcącej się świecy i tym czarnym knotem wymazywał niepotrzebne ustępy.

— To się psu na budę nie zdało, mosanie!

Porwany sceną lub ustępem piękniejszym, piękniał nam w oczach nieporównanym zapałem... Nigdy go nie zapomnę w roli starego »Odoarda« w »Emilii Galotti«.

Budził w nas młodych grozę, zatłumiał w piersiach oddech... Tyle w tej grze było uczucia, tyle siły.

Żona pana Jana była także zdolną aktorką w rolach charakterystycznych. Niewiasta o niezwykłej tuszy, z niepomiarowanym językiem, bo jak pan Jan był milczącym, tak ona gadała od rana do wieczora. Mąż zwykle jej ustępował z placu, a gdy przebrała miarękę, wołał, składając ręce przed krucyfiksem:

— O Chryste! oderwij rękę od krzyża, a wyrznij tę babę w paszczkę!

Niekiedy sięgał po porównanie aż do starego testamentu i wołał:

— O Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba! Zamieńże ją w słup soli jak Lotową, niech uszy moje odpoczną.

Pan Jan lubił okresy malownicze. Były to jednak straszne zaklęcia, po których pani dyrektorowa zwykle milkła, widząc, że przebrała miarękę...

Mieli jedną córkę i dwóch synów.

Panna Elfryda to istny portret ojca. Choć nie bardzo piękna, gdy twarz jej opromieniał zapał — a zapału i duszy było tam wiele — stawiała się zachwycającą. Była główną trupy podporą, całą nadzieją ojca, jego ukochanem, jedynem dzieckiem.

Syn Bolesław także wdał się w ojca i grywał bohaterów. Drugi zaś z poetycznem imieniem Rolanda, zwany przez ojca pogardliwie »Pigułą«, porzucił stan aktorski i był najprozaiczniejszym subjektem w aptece. Widocznie wrodził się w matkę, która nieraz przeklinała teatr i sztukę aktorską, i będąc córką wioskowego szlachcica, płakała nad swym mezaliansem...

Mówiono nam, że pan Jan wielką wagę przywiązywał do imion chrzestnych swoich dzieci i przy akcie

chrztu pocieszne bywały sceny. Córkę naprzykład nazwać chciał Porcyą, na pamiątkę Brutusowej małżonki, jednego z synów Ingomarem (patrz »Syn puszczy« Halma), drugiego Otellem; ale gdy ksiądz zaprotestował z racyi, że takich świętych niema w kalendarzu, odpowiedział z dumą:

— My mamy swój kalendarz, mosanie, gdzie są święty Koryolan, święty Hamlet, święty Król Laer, św. Adryanna Lecouvreur, Desdemona, Kordelia, tudzież wszyscy bohaterowie i bohaterki poezyi dramatycznej.

— To pogański, heretycki kalendarz — odrzekł ksiądz — wybierz acan inne imię, bo takim dziecka nie ochrzczę.

Targ w targ — wyszukano jakąś świętą Elfrydę, na pamiątkę bohaterki Korzeniowskiego w »Pięknej kobiecie« i Rolanda, bohatera ronsewalskiego, a Bolesław już się znalazł w kalendarzu słowiańskim.

Tę cześć wielką dla poetycznych kreacyi i wszystkie aspiracye romantyczne ojca odziedziczyła panna Elfryda w wysokim stopniu. Niby wcielona muza, żyła, oddychała i marzyła w krainie piękna...

Najprzód ubierała się nie jak wszystkie kobiety, modnie, ale po swojemu. Udrapowana zwykle w szal, z welonem na głowie, albo z rozpuszczonymi włosami, raz miała tiunikę puszczoną lekko, innym razem panцерz, niby amazonka.

A w stroju tym było jej do twarzy. Nie mogliśmy nawet wyobrazić sobie tej smukłej postaci, o ostrych klasycznych rysach, w krynolinie, z włosami w ówczesnym siatkowym worku i kołpaczku na głowie. Chód jej, poruszenie każdej ręki, głowy i figury były niezwykłe, były — sceniczne. Mówiła przenośniami i skończonymi okresami. Nie nazywała rzeczy po imieniu jak wszyscy, ale nadawała im nazwy malownicze. Jaja, które na śniadanie jadać lubiła, zwała kurzym owocem, ja-

rzyny — roślinami, owoce — hesperydami, mleko — napojem niewinności.

I to wszystko nie było u niej przesadą, nie wpływało ze śmiesznej afektacyi, ale odbijało jej naturę. Od dziecka słuchała mowy poetów, bo stary dyrektor, oprócz ról, których się przy niej uczył, i w życiu codziennem mówił językiem poprawnym i pełnym uczonych sentencyj. Reszty dopełniła scena, która ją wychowała i niańczyła.

Na egzemplarzu teatralnym uczyła się czytać. Trafiła na »Barbarę« Felińskiego. Gdy przesylabizowała całą sztukę, umiała ją na pamięć. Inne czytała już dosyć płynnie...

Rozpoczęła zawód bardzo młodo, bo nie miała jeszcze lat czternastu, gdy wystąpiła w »Preciozie«.

Było to w Mińsku, gdzie panna Elfryda uczęszczała na pensję.

Na przedstawieniu tem były wszystkie koleżanki. Wśród ogólnego entuzjazmu i oklasków, panna Elfryda odezwała się do swoich rówieśnic improwizacją wierszowaną, ułożoną na scenie.

Od tego czasu życie jej czyste było jednym tryumfem. W każdą rolę, bodaj najmniejszą, bodaj nic nieznaczącą, bo grać musiała we wszystkim, kładła tyle wewnętrznego ciepła, tyle duszy, tyle poetycznego nastroju, że stawiała się w grze zawsze piękną...

Pan Jan nazywał ją zwykle: »nasza córka«.

— Na benefis »naszej córki«, tę rolę gra »nasza córka«, to dla »naszej córki« i t. d.

I myśmy ją tak zwali.

Stary dyrektor niedomagał, artretyzm łupał go nieraz straszliwie, a wówczas na próbie prowadziła sztukę »nasza córka« i informowała.

Zaloty kolegów przyjmowała jak dobrze wyuczoną scenę miłosną, a w najpatetyczniejszym miejscu umiała

zmieszać aspiranta, poprawiając go na jakimś niewłaściwie użytym wyrazie, okrywała go śmiesznością... i odtąd takich niewczesnych amantów trzymała od siebie zdaleka.

Zdarzyło się przecież, że serce panny Elfrydy za biło żywiej, gdy jej wynurzył swe uczucia młody a przystojny obywatel, pan Witold J...ski.

Wysłuchiwała go, rumieniąc się, i zwyczajem swoim nie poprawiła amanta, tak jej ta apostrofa przypadła do smaku... Konkury nie długo trwały. Pan Witold oświadczył się i został przyjęty.

Stary dyrektor włosy rwał z rozpacz. Panna Elfryda płakała razem z ojcem, ale w postanowieniu swoim była niewzruszona. Ojciec zanadto ją kochał, aby zagradzać drogę do szczęścia.

— Zginę — mawiał stary dyrektor — zginiemy wszyscy, ale »nasza córka« będzie szczęśliwą. Dziej się wola twoja, Panie...

Jedna tylko matka chodziła nadęta i na żadnego z aktorów patrzeć nie chciała.

Stało się, co się stać miało. Panna Elfryda opuściła scenę, aby w objęciach ukochanego frunąć gdzieś do białego dworu. Trupa pana Jana Nizińskiego opustoszała i okryła się żałobą.

* * *

Upłynął rok włóczęgi.

Zjechaliśmy do Żytomierza. Szlachta wołyńska tłumnie nawiedzała nasz teatr. Graliśmy »Karpackich Górali« Korzeniowskiego. Rolę Praksedy, którą tak cudnie grywała »nasza córka«, przedstawiała wówczas panna Wąsowiczówna, uczenica Jasińskiego. Grała dobrze, ale brakło w niej duszy... duszy naszej Elfrydy.

Pamiętny to był dla nas wieczór. W jednej z łóż, w samym środku sali... dostrzegliśmy ją... ją... Elfrydę z mężem.

Była to niespodzianka dla rodziców i dla nas. Stary dyrektor grał Maksyma. Gdy mu o tem powiedziano na scenie, rozplakał się jak dziecko, wyciągnął dłonie ku łoży i mimowoli wyszeptał:

— Cóрко!

Z łoży mu odpowiedziano głosem prześlicznym, tętniącym namiętne uczuciem:

— Ojczе!

Potem nastąpiło zemdlenie, popłoch w teatrze, zgorszenie przyjaciół i znajomych pana Witolda, potem zasłona zapadła i nie dokończono widowiska.

Nikt z nas nie spał tej nocy... a czuwanie nasze wyszło nam na dobre, bo nie bylibyśmy widzieli tego, cośmy zobaczyli.

Oto około godziny drugiej po północy pani El-fryda przybiegła w białiznie z pobliskiego hotelu do ojca, aby go już nie opuścić do śmierci.

— Wróćcie! wróćcie mi scenę moją! wróćcie mi sztukę, dla której żyć i umrzeć pragnę! Nie chcę niczego więcej, nie pożądam świata ani jego rozkoszy, co mi po tem wszystkiem! Nie wrócę nigdy do tych małżeńskich kajdan!

Nazajutrz grała Praksedę w »Karpackich Górach«. Czemu tylko jeden Żytomierz ją widział! Czemu Europa nie patrzyła na tę grę istotnie natchnioną! Kreacja Korzeniowskiego stawiała się czemś wzniosłym.

I znowuśmy odzyskali »naszą córkę«. Do męża już nie wróciła, choć ją na klęczkach błagał i rozpaczał.

— Dlaczego ja cię tu przywiózł? abyś znowu zobaczyła to przeklęte gniazdo, gdyś już o niem zapomniała?

— Jam zapomniała? to ci się tylko tak zdawało, mój Witoldzie.

Została wierną kapłanką Melpomeny. Czemu nią się cieszyła tak krótko?

Ową heroiczną ucieczkę pani Elfryda przypłaciła życiem. Przyszło zapalenie płuc, a potem suchoty. Wiedła nam w oczach. Nareszcie w Grodnie grała po raz ostatni Ofelię.

Po kończących słowach roli wynieśliśmy ją na rękach ze sceny do łóżka, z którego już... nie powstała.

Starzec zaniemówił z rozpacz. Nie mogliśmy jednego słowa z ust mu wydobyć.

W miesiąc dopiero dał się nakłonić do zaprowadzenia się na cmentarz.

Tuśmy mu pokazali mogiłę córki, usypaną przez nas własnymi rękami i zasadzoną kwieciami, a mogiła wysokością swoją dominowała po nad cmentarzem.

Wtenczas dopiero starzec rozplakał się i ściskając nas, mówił:

— Bóg niech wam płaci! Tak, tak... to druga Wanda spoczywa w tej mogile. To kapłanka poświęcenia dla idei: kapłanka sztuki.





ZŁOTA AMELKA

Cóż, idziesz do Amelki?

— Ja do Amelki?

— No tak, ty do Amelki. Wszakże zaprosiła nas dziś do siebie na herbatę.

— Co mi tam jej herbata.

— Cóż to, gniewasz się na nią? Widziałem przecie, jak ją wyściskał na próbie.

— Ja wyściskać ją zawsze mogę, ale pójść do niej na herbatę, robić jej honory!?... Nie, na to mnie nie weźmiesz.

— Jesteś dziwnego rodzaju egoistą i hipokrytą.

— Bardzo proszę...

— Prosisz, czy nie prosisz, ale prawdę ci wypalę. Kto uratował twoje graty przed grabieżą komornika?... Kto przeszłego roku pożyczył ci pieniędzy na Szczawnicę?... Kto poręczył za ciebie u Szmula?... Kto ratował chorą twoją żonę?... Jeżeli się kimś pogardza, to nie przyjmuje się jego pomocy, a jeżeli się ją przyjmuje, to trzeba być za nią wdzięcznym. Taka u mnie logika.

— Kto ją prosił o jaką pomoc? Sama się z nią narzuca, bo tem chce się wkupić w łaski kolegów, których kała. Ona jest hańbą naszego teatru.

— Mój kochany, takie Fryny bywały i będą zawsze, i nie tylko w teatrze. Za życie swoje niech ona sama odpowiada. Chodzi zaś o to, czy te błędy okupuje

jakimś charakterem. A powiedz otwarcie, czyś spotkał kiedy w życiu takie złote serce, jak Amelki?

— One wszystkie mają złote serca!

— Eh bredzisz, mój kochany. Zaraz ci postawię przykład, że nie wszystkie, i nie potrzebuję daleko szukać. Znałeś przecie Joasię, dziś panią Joannę Cnotogórką. O jej awanturach wiedział każdy stróż kamieniczny, a jej skąpstwo i nieużytość weszły w przysłowie, i gdyby nie wniosła dużego posagu, nie byłaby dziś panią Cnotogórką. Przed nią jednak schylisz czoło i w łapę ją pocałujesz — a przecież ona nie warta rozwiązać rzemyka naszej Amelce.

— Idź do dyabła, proszę cię!

— Aha, gniewasz się i gestykulujesz... to już dobrze. No, zabieraj się, pójdziemy do naszej poczciwej Amelki, boby się dziewczynisko zamartwiło, a ona na to nie zasłużyła.

*

*

*

U Amelki wesoło. Przy suto zastawionym stole zebrała się cała prawie trupa. Aktorów i aktorki przepłatają panowie z miasta. Jest tam pan radca W..., pan dyrektor M..., pan pułkownik X..., pan szambelan, pan doktor, literatów paru, a nawet... bankier.

Amelka błyszczy pięknnością. Jest to wysoka blondyna z cudnymi szafirowymi oczyma. Kosę włosów ma tak bujną, że pod jej ciężarem ugina się piękna głowa na szyi łabędziej, przez co robi ona właściwy ruch, przechylając ją w tył i przymykając nieco oczy, co jej dodaje nieopisanego wdzięku. Przytem ma miły i czarujący uśmiech, którego nadużywa nieraz na scenie, a którym przecież zachwycają się wszyscy.

Wzięła dziś skromną toaletę, bo nie chce zawstydzic koleżanek. Zresztą wiedzą przecie wszyscy, że jest królową mody i szyku.

O panów z miasta zdaje się nie dbać prawie, zajęta głównie kolegami i koleżankami.

Ona tylko w ich gronie dobrze bawić się umie. I ma słuszość. Nikt się lepiej nie bawi jak aktorzy między sobą. Celem pogawędki i zabawy są owe drobne wydarzenia na scenie, które się wymykają oczom widzów, i dlatego właśnie mają dla aktorów niewyczerpaną kopalnię śmiechu. Mówi się wówczas słowami ról, zastosowując je do różnych okoliczności, wreszcie przekręca się je i parodiuje, gestykuluje, robiąc przy tem miny najdziwniejsze.

Jednak to, co jest zabawnem dla aktorów, niezrozumiałem i nudnem prawie staje się dla panów z miasta. Oni w to wszystko nie wtajemniczeni, a chcąc im rzecz wyłożyć, za dużyoby czasu zabrało i nie zyskałoby na komizmie.

To też starsi i rozsądniejsi wiedzą o tem, że w gronie osób obcych trzeba zapomnieć o aktorstwie, a przynajmniej traktować jego stronę przystępną dla umysłów, które je znają tylko ze sceny. O tem powinni aktorowie zawsze pamiętać, jeżeli chcą uniknąć zarzutu niedelikatności. Niestety, siła humoru bywa taką, że im każe o tem zapominać.

Być przyjemnym w towarzystwie nieaktorskiem jest jedną z zalet, którą nie wielu posiada. Aktorowie są nadzwyczaj małowówni i leniwi aby się nagiąć do wymagań towarzyskich. Za dużo mówią cudzemi myślami.

Amelka była przedewszystkiem aktorką. Teatr i wszystko, co ma z nim związek, było celem jej miłości i pieczołowitości. Chciała błyszczeć tylko na scenie, przez scenę... Po za nią świat zewnątrz teatru o tyle ją obchodził, o ile z niego wzory brać mogła.

Ona pierwsza wprowadziła niebywałe dotąd toalety. Nie wielkich zdolności artystka, czarowała jednak wdziękiem i strojem, i w tem była cała jej siła. Rujnowała

siebie i drugich na stroje. Gdy dostała rolę, pierwszą jej troską było — nie jak ta kobieta mówi, chodzi, żyje — ale jak się ubiera. Im więcej toalet mogła włożyć na siebie, tem rola była lepszą. Nigdy nie zapomnę skromnej panny Saint Genée, lektorki w komedyi »Margrabia de Vilmers«, ubranej w atłasy i koronki.

Krytyka masakrowała, ale Amelka robiła swoje.

W końcu i ona złożyła broń, aby ją podziwiać i klaskać wraz z całą rzeszą, bo gniewać się na Amelkę nie było można długo.

Cóż to za złota dziewczyna!...

Celem jej życia: być kochaną.

Gdy nie mogła kupić uśmiechem, uściskiem, spojrzeniem — kupowała datkiem, wstawiennictwem swoim, łzami, rozpaczą. Dla niej twarz gniewna, lub obojętna, była źródłem udręczeń.

Takie już na świat przychodzą!

Rodzice odumarli ją na cholerę w młodym jeszcze wieku. Amelka miała rok i parę miesięcy. Gdy sąsiadka z pierwszego piętra, tknięta litością, otworzyła drzwi lichej izby, zobaczyła dziecię w kołysce uśmiechnięte i wyciągające ku niej rączyny. Była to wdowa po jakimś wojskowym, miała jednego syna, nie wiele co starszego od dziewczynki. Wzięła więc dziecko i przyjęła za swoje.

Dzieci rosły i kochały się, jak dzieci, ale gdy nieszczęśliwa gwiazda Amelki zrządziła tak, że młody wyrostek rozgorzał ku dziewczynie płomieniem Romea, matka bardzo się przestraszyła o swego jedynaka i zamknęła ją w klasztorze.

Jak stamtąd dostała się do jakiejś hrabiny i jak młody hrabia drapnął z nią za granicę, a potem rzucił w obcym mieście, jak się znalazła znów na naszym bruku, bosa, w jednej sukience, jak ją przyjęto do kawiarni, a stamtąd dostała się na deski sceny, tego opi-

sywać nie będę. Ale pamiętam dobrze, że pierwszy jej debiut był odrazu tryumfem. Grała tak, jak gdyby się już zrosła ze sceną, i została już taką do końca swego zawodu.

Postęp Amelki zaznaczył się tylko większą jeszcze pewnością siebie i owym wdziękiem, którym zdobyła wszystkich.

Zakochała się w pewnym buhalterze, na zabój, jak powiadają. Może to była pierwsza jej miłość, nie chcę przesądzać, to pewna, że była szczerą i wielką.

W romansie tym odegrała Amelka rolę Marion Delorme, bo gdy jej kochanka chciano wsadzić do kryminału za sfałszowanie weksłu, umiała się przypodobać skarżącemu, brzydkiemu i brudnemu lichwiarzowi, a szczęśliwsza od Hugonowskiej heroiny, uwolniła kochanka swego.

Nie był on wcale szlachetnym Didierem, bo ją bił, tak, że biedna dziewczyna uciekła odeń i szukała przytułku w garderobie teatralnej.

* * *

Wstano od stołu.

Na wygodnych kanapkach i kozetkach, w eleganckim salonie Amelki, w rozmaitych grupach rozsiadło się towarzystwo.

— Amelka naciąga — mówią między sobą aktorzy. Jakże to ona naciąga?

Oto przysiadła się przy panu radcy i coś tak miłego szepcze mu do ucha, że twarz dygnitarza promienieje, jak księżyc w pełni. Wprawdzie i chmurka się czasem przesunie po niej, ale Amelka wnet ją spędza czarem swojego spojrzenia.

Wstała, przesunęła się koło jednego z młodych ludzi i szepnęła znacząco.

— Będzie posada!

Rozpromienione oblicze młodzieńca i dziękczynny uścisk dłoni wywołały rumieniec szczęścia na twarzy protektorki.

Pobiegła dalej i w przelocie wzięła pod rękę pana dyrektora, który z galanterią potakuje każdemu jej słowu, wreszcie wyjmuje pugilares i coś w nim notuje.

— To już zrobione — rzekł z właściwym sobie akcentem gentlemana.

— Jesteś dobrym jak anioł, dyrektorze.

— A pani czarującą jak niebo!

Nie wywinęli się i bankier, i szambelan i literat. Wszyscy coś przyrzekli pannie Amelii, chociaż nie wszyscy dotrzywali.

Ale Amelka jest cierpliwą, ona zawsze musi postawić na swoim.

W kilka dni dowiedziano się, że pan X. dostał posadę, synowi pana W. dano stypendyum, panu B. udzielono pożyczki, teatrowi podwyższono subwencję, córki aktora K. umieszczono bezpłatnie na pensyi, młodego malarza Z. wysłano za granicę, pana L., aby wrócić ojca rodzinie, uwolniono z kozy, a wdowie R. przyznano pensję i t. d. i t. d.

A cóż dopiero mówić o całej falandze żebraków i pieczeniarzy! Ci brali pełnemi garściami.

— Złota Amelka! — mówiono z uwielbieniem.

To uwielbienie jej wystarczało, nie żądała niczego więcej... była szczęśliwą, śmiała się do wszystkich.

I było tak dość długo, lat z kilka. To dobre stworzenie doczekało się nareszcie, że nie było człowieka, któryby jej coś złego życzył, albo chciał zrobić.

Serce jednak jest to delikatny mebel, który trzeba trzymać w pokrowcu, a zdejmować go tylko w uroczystej chwili, jak powiada nieoszacowany pan regent w komedyi Blizińskiego; gdy jest ciągle w użyciu, to prędko się niszczy. Tej głębokiej sentencji bohaterka nasza nie

znała wówczas, a najpewniej byłaby jej nie pojęła i ruszyła ramionami, jak to czyni pani Tykalska. Amelka szafowała niem hojnie, ono też wkrótce zaczęło do niej przemawiać bez taktu, a gwałtowny ból tłumił oddech biednej aktorce.

Odtąd poczyna się szereg jej niepowodzeń na scenie i za sceną.

Na scenie słyszy sykania i owacye dla swej rywalki. U dawnych wielbicieli spotyka wyraz politowania.

Serce ją boli coraz bardziej, mimo to nie przestaje być złotą Amelką do końca. Pada w chwili, kiedy ze swoim miłym, a tak zniewalającym uśmiechem ofiarowuje broszkę brylantową z portretem kochanka pani W., aby ją zastawiła w lombardzie i wykupiła syna. Dała jej to, co miała ostatniego, bo zapasy tak złota, jak i... życia już się wyczerpały.

*

*

*

Pewnego zimowego wieczoru (dla przyzwoitości) sunął przez miasto karawan, wiozący skromną trumnę, za którą szło dwoje ludzi. Faktycznie dwoje. Stara służąca i... sufler.

Suflerzy to lichy gatunek ludzi!





NA OŁTARZU SZTUKI

Z własnych wspomnień.

Niekiedy dziwnie się składają okoliczności. Oto pocziwy pan Michał, tylko co pogrzebawszy swego zięcia, musi pójść do teatru, ażeby grać grabarza w Hamlecie.

Trzeba go było wtedy widzieć i słyszeć w garderobie teatralnej.

— Nie! wiecie, że to psi zawód. Dopiero com pogrzebał zięcia, teraz mam kopać grób dla jakiejś fikcyjnej postaci, która się nazywa Ofelią, i pleść duby smalone, kiedy mi serce pęka. Bodaj dyabli wzięli teatr i to całe komedyanctwo!

Oniemieliśmy wszyscy na chwilę, bośmy po raz pierwszy usłyszeli z ust aktora miłującego sztukę ciężki przeciw niej zarzut; ale rzeczywiście sytuacja była niezwykajna i bolesna; to też jak mogliśmy, tak mu osładzaliśmy przykrość obecnej chwili i łagodzili ją o ile to było możebne.

Z tego wywiązała się pogadanka.

Każdy sięgnął do wnętrza wspomnień, bo każdemu prawie los zgotował podobną chwilę w życiu. Niejeden z zakrwawionem sercem po stracie drogiej istoty musiał przestać być sobą, zapanować nad cierpieniem i przeistoczyć się w jakąś figurę szczęśliwą, rozbawioną, albo też płakać urojonem cierpieniem... I rzecz dzi-

wna, wszyscy zgodzili się na jedno: iż w takim dniu grali ohydnie.

Na zakończenie tej pogadanki przytoczyłem im fakt z moich wspomnień.

Drugiego dnia po pierwszym przedstawieniu »Wita Stwosza«, przychodzi z Krakowa telegram do Modrzejewskiej o śmierci jej brata Feliksa Bendy.

Byłem wówczas reżyserem i autorem odegranej sztuki — cios, który tak boleśnie dotknął artystkę, odbił się i na mnie...

— Nie będzie jutro drugiego przedstawienia, trzeba odwołać sztukę i pomyśleć o czem innem.

Spieszę do zrozpaczonej koleżanki, bo wiadomem było, że Modrzejewska kochała brata bardzo, i dowiaduję się... że grać będzie.

— Pragnę z moich cierpień ponieść ofiarę dla sztuki — powiada artystka. — Nie chcę narazić na szwank pańskiego dramatu. Zobaczysz pan, jak płakać będę...

I rzeczywiście płakała... i ja z nią, ale publiczność pozostała zimną, obojętną. Wszystkie piękne miejsca roli tak subtelnie opracowane przez artystkę znikły, zatarły się — było tylko łkanie łez niekłamanych, których publiczność nie odczuła.

Więc jakież stąd wnioszek?

Że z własnych cierpień nie uwije sobie wieńca artysta... W chwili tworzenia władze ducha muszą być w równowadze. Trzeba przeboleć stratę jak każdy, a potem zapomnieć o niej... Kto chce władać sercami innych, musi wprzód zapanować nad własnem.

Dawne tylko wspomnienia przebytych smutków, bólów lub radości, gdy napłyną do duszy, mogą z niej wydobyć czarujące tony uczuć i ludzi potęgą prawdy, bo »co ma ożyć w pieśni, musi zagać w rzeczywistości«.





GLUPI TENOR

(Fotografia)

Natura często wypisuje tak dokładnie na twarzy wewnętrzne usposobienie człowieka, że niepodobna się co do niego pomylić; bo ten oto miał twarz... ptaka.

Ptak! najwyraźniejszy ptak... z twarzą krótką, osypaną młodzieńczym puszkciem, bo nie liczył więcej nad lat dwadzieścia parę, nosem trochę garbatym, złączonym prawie z wierzchnią wargą, oczami błyszczącemi i niepokojnemi, o poruszeniach głowy szybkich i nieustannych, jak gdyby chciał widzieć wszystko, co się poza nim i w koło niego dzieje.

Przyglądając mu się, mówiliśmy:

— Słuchajmy! on nam tu niedługo zaśpiewa.

Jakoż zaśpiewał.

A ten śpiew wydobywał się z jego gardziółka, jak gdyby coś tak naturalnego, co stanowi jego istotną potrzebę.

Był bednarzem. Strugał klepki, opasywał obręczami, pobijał, obciosywał... i śpiewał, śpiewał bezustanku.

Z czegoż się składał repertuar naszego bednarczyka? Oto ze śpiewek, które usłyszeć można w każdym warstacie.

»Za górami, za lasami,

Tańcowała Małgorzatka z huzarami«.

albo :

»Pamiętasz dziewczyno ten kamień nad wodą?
Jak kamień popłynie, ożenię się z tobą«.

lub nieśmiertelne:

»Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą,
A ja doliną,
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
A ja kaliną«.

Śpiewem swoim upajał się i rozpływał jak słowik. Ta »małgorzatka« przetwarzała się w ustach jego na jakąś brawurową aryę włoską — a jak zaczął wędrować po górach i dolinach, zdawało nam się słyszeć jakiegoś opętańca.

Tak, ten człowiek był opętany przez melodyę.

Buda nasza stała naprzeciw jego mieszkania. Z poza okien, ubranych geranium i bluszczem, rozlewały się kaskadą tony bednarza, które nieraz aż do uprzykrzenia wpadały nam w ucho i sprawiały dystrakcyę w robocie.

Zwał się Paweł Dudzik. Znajomość z nim zabraliśmy prędko. Długo jednak trzeba mu było wykładać, czem to my jesteśmy, bo teatru nigdy nie widział.

Wiadomości jego były czerpane z książki o Genowefie, którą kilka razy przeczytał — a Rinaldo Rinaldini wprowadzał go w zachwyt.

Rok dopiero jak był żonaty z kobieciną nadzwyczaj miłą i sympatyczną blondynką, córką szewca z Przemyśla, która miała go wkrótce udarować potomkiem, co jednak nie bardzo go uszczęśliwiał, jak to sam wyznał nam w otwartości.

— Dyabli mi tam po tym kłopotcie. Człowiek był wolny jak »ptak«, teraz baba na karku, a dalej jeszcze przyjdzie z bachorami mieć do roboty...

To też Pawełek nie lubił domu, bo aby się wyrwać, nie czekał nawet szarej godziny, rzucał robotę,

i jak najprędzej uciekał od baby do Feigenbauma, gdzie spijał piwko, nucił piosenki i wracał do domu późną już nocą, podchmielony burcząc i łając żonę.

A jednak tej żonie zawdzięczał swój warsztat i gospodarstwo. Często, kiedy Pawełek wywodził trele, żona jego miała oczy czerwone, co nas bardzo dziwiło i rzucało pewien cień na bednarza.

Nareszcie po uorganizowaniu trupy w D..., miejscu zbornego punktu dyrektora Ortyńskiego, mieliśmy rozpocząć przedstawienia.

Było to w niedzielę. Rozpoczęliśmy kampanię nieśmiertelnymi »Krakowiakami« Kamińskiego, z muzyką Kurpińskiego.

Pawełek już w czasie prób silnie nadstawiał ucha i pochwytał motywa, delektując się nimi, a cóż dopiero, gdy usłyszał całą operę na przedstawieniu.

Umieściliśmy go tuż przy orkiestrze, aby nie stracić wrażenia.

I rzeczywiście mieliśmy prawdziwą przyjemność.

Duszą całą utonął w partyturze, i nie było ani jednego tonu głosu lub instrumentu, aby się nie odbił w jego uchu.

Słyszał wszystko. Kręcił się jak wróbel na nitce, robił najpociesniejsze miny. Tupał nogami, machał rękami, wreszcie śpiewać zaczął. Można go było wziąć za waryata, i gdyby nie siedzący tuż przy nim kasjer miejski, który go od czasu do czasu mitygował, byłby na scenę wskoczył.

Był to decydujący wieczór w życiu Pawełka. Miał porzucić odtąd wszystkie klepki bednarskie, aby regulować je w swojej głowie, bo oto zaczyna się jego kariera artystyczna.

Nazajutrz zaraz zrana poleciał do kapelmistrza prosząc go na klęczkach, aby mu grał na skrzypkach partyturę »Krakowiaków«. We trzy dni umiał całą na pa-

mieć. Śpiewał wszystkie głosy i wszystkie instrumenta. Istny szpak!

I w miarę jak śpiewał, zapalał się własnym głosem, i głos ten rósł potężnie. W całym miasteczku rozlegały się tony krakowiaków, bo bednarz już o niczym więcej nie chciał słyszeć.

Po długich namowach, bo bał się bardzo i onieśmielał, dał się wreszcie skłonić do występu. Chciał śpiewać wszystkie głosy, ledwie mu wyperswadowano, że tylko na partyi Stacha poprzestać musi.

Biedna jego żona, jakby przeczuwając swą dolę, przeklinała teatr i aktorów, że jej męża zabrali. Sprowadziła swego ojca z Przemyśla, aby się sprzeciwił — nic to jednak nie pomogło; Pawełek żonę zburczał, teścia przepędził i w »Krakowiakach« wystąpił.

Miasto i okolica zostały zaalarmowane, bo o talencie Pawełka wiadano szeroko. Zjechało się z okolic, nawet pan hrabia S. zaszczycił widowisko.

Śpiewał bo śpiewał jak anioł. Scena paliła mu podszwy, nie wiedział co robić z rękami i nogami, nie umiał mówić i trzeba mu było wykreślić prawie całą prozę, ale kiedy usłyszał pierwsze akorda swej partyi, zapomniał o całym świecie.

Pan hrabia S. zabrał go na naukę do Lwowa.

Baby Pawełek zabrać z sobą nie chciał, bo się jej już wstydził przed ludźmi.

*

*

*

Paweł Dudzik przechrzczył się z cudzoziemska na Paoliniego i zasłynął już jako *tenore di forza*, niezrównany w »Trubadurze«, »Żydówce«, »Proroku«, »Afrykance«, gdym miał szczęście spotkać go we Lwowie.

Szedł w gronie złotych młodzieńców, z głośną panną Z., chórzystką. Mina buńczuczna, w kapeluszu na bakier, z bińoklami na oczach (choć wzrok miał ptasi).

Zbliżyłem się do niego, aby go powitać, udał, że mnie nie poznał.

Pomyślałem: boi się, abym go nie nazwał Pawełkiem wobec tak arystokratycznego towarzystwa, i czekałem sposobności, aby się temu okazowi bliżej przypatrzeć, a potem i dowiedzieć czegoś o nim.

Otóż Pawełek, gdy się znalazł we Lwowie pod troskliwą opieką hrabiego S., gdzie mu na niczem nie zbywało, bo nasz meloman dbał o wszystkie jego potrzeby i wygody, a do rozwoju talentu jego i wykształcenia przykładał się gorliwie, dając mu najlepszych nauczycieli na jakich się Lwów mógł zdobyć, począł zaraz myśleć o zdradzie, i gdy się nawinął przedsiębiorca niemieckiej opery z pogranicznego miasta, »urządził nogę«, aby wśród Niemców zbierać marki i oklaski.

Próżno hrabia wzywał go do powrotu, tłómacząc sobie krok swego pupila lekkomyślnością i nieobyciem w świecie, prosił, groził Niemcowi procesem, Pawełek wyparł się swego dobroczyńcy, a nawet w niemieckich pismach pozwolił nań wydrukować oszczerstwo, posądzające szlachetnego człowieka o wyzyskanie jego talentu.

W Niemczech nauczył się Pawełek szybko, czem to w świecie artystycznym dochodzi się do rozgłosu. Raził rubaszością obejścia, niedelikatnością i grubymi obyczajami bednarczyka, bo tych się nie pozbył nigdy, ale to wszystko, co stanowi rozgłos, powodzenie, błagę, pojął w lot i brał choćby z rąk najczarniejszych, choćby z rynsztoka. W środkach nie przebierał.

Pisać, naprzykład, nie uczył się nigdy. Gdy miał wystosować list do reżysera, aby go zwolnił z jutrzejszego przedstawienia z powodu niedyspozycji, podarł kilka arkuszy papieru i listu nie napisał; wolał śpiewać choć z chrypką.

Nadzwyczajne powodzenie, zamiast w nim rozwijać stronę szlachetną człowieka, zamiast kształcić uczucia,

dawało mu jedynie tylko możność zaspakajania zwierzęcych popędów.

Lecz nie popasał długo u swego nowego pryncypała, porzucił go w najkorzystniejszej chwili, bałamućąc mu córkę.

Rozrywano go, przepłacano. Skala jego głosu rozwinęła się potężnie, zdumiewając śmiałością w atakowaniu najtrudniejszych rzeczy.

O jego górnem *cis* pisano szpalty całe. Istny szal budził w niewybrednej publice. Całe mrowisko teatralnych agentów obsiadło go na wszystkie strony.

Zaproszono go do Wiednia, ale po pierwszej próbie podziękowano mu uprzejmie i radzono... uczyć się.

Oburzony Pawełek świsnął pod nos dyrektorowi, i palnął taką impertynencyę, że go woźni ujęli pod ręce i wyprowadzili za wrota. Wówczas Pawełek uznał za stosowne wrócić do kraju, przeklinając i pomstując niegodziwych Niemców.

I tu dopiero nasz Dudzik Paolini począł zawracać wszystkim głowy.

W każdym numerze naszych dzienników czytałeś szpalty całe przedruków z niemieckich gazet, z tym stereotypowym dodatkiem, czem to dla nas ten rodak ukochany. Jaką winniśmy mu wdzięczność, jakie uwielbienie, że raczył poświęcić wszystkie zagraniczne hołdy, złoto, i nam ofiarować swój nieporównany geniusz (*sic*).

Pawełek brał to wszystko na seryo. Inaczej nie siadał jak z nogami na stole. Zdawało się, że dla jego geniuszu cały przestwór za ciasny.

Zachwycano się nim nadzwyczaj, panie z nadmiaru wzruszenia mdlały.

— Jak on śpiewa! Jak on śpiewa!

Poszedłem do teatru na »Żydówkę«. Oh dziwo! Usłyszałem Pawełka śpiewającego tak, jak ongi Stacha w »Krakowiakach«. Taki sam »szpak«. Przybyło mu

tylko więcej sił i czelności. Rzucił tonami na wszystkie strony. Czego chciał Eleazar, i kto on był taki? — o to go nie pytaj.

Po teatrze, miałem przyjemność spotkać Pawełka w pierwszorzędnej restauracyi w gronie hulaków dobrze podochoconych. — Siadłem opodal i studyowałem go.

Było to towarzystwo złożone z samych nicponiów, spekulujących na słabości naszego tenora. Był on w złym humorze. Każde najgrubsze pochlebstwo z ich strony, opłacał butelkami szampana.

Rozpoczęła się istna orgia. Kazano stawiać najwykwintniejsze potrawy, które nie skosztowawszy Pawełek wyrzucał. Nareszcie przyszły jakieś bażanty. Pawełek wpada na dziwny koncept, niby zapożyczony z nerowskiej bachanalii. Oto wyjmuje z kieszeni garść pomiętych banknotów dziesięcioreńskowych, okłada niemi półmisk, i je wraz z bażantami, zmuszając do takiej samej przyjemności swoich współbiesiadników.

Oślupiałem z oburzenia!

*

*

*

Nareszcie i nasz zapach dla Pawełka powoli zaczął ostygąć. Po szumnych pochwałach nastały ostre przycinki, a w końcu przestrogi, że pracą tylko, wykształceniem, posunąć się dalej w sztuce można.

— Głupcy — mruknął Pawełek — pracą, pracą! Pan Bóg mi dał mój głos i zato mu dziękuję! Dopóki go mam, będę zawsze tem czem jestem.

I w tem się nie mylił. Począł więc »chodzić« starannie koło swojego gardła. Pielęgnował je. Nie było specyfiku, któregooby Pawełek nie nabył. Pokój jego był obstawiony flaszkami, pudełkami i t. p. rupieciami. Niech się pokazał jakiś inserat, zachwalający lekarstwo na chrypkę, już go Pawełek miał i łykał krople albo pastylki, czując najlżejszą niedyspozycję w gardle.

Przy używaniu specyfików, Pawełek przestrzegał surowo diety. Jak dawniej był hulaką, tak teraz znów stał się wstrzemięźliwym jak trapiata. Ale rzecz dziwna, głosu ubywało tak, że przyszedł czas, kiedy już słuchać nie chciano Pawełka.

Śpiewał przed pustymi ławkami.

Wtenczas chciał się uczyć, ale już było za późno!

Powiedziano mu, aby wrócił do klepek.

Wrócić do klepek temu co zjadał bażanty z banknotami? Nie! raczej zebrać te, które ma w głowie i wymyśleć coś lepszego.

I wymyślił: Ożenił się! Pierwsza bowiem jego żona z rozpaczny dawno umarła.

Znalazła się jakaś podszarzana piękność z trochę grosza, a z wielką predylekcyą do kochania i wydała się za niego.

I to było szczytem jego karyery!





PRECYOZA

Któż nie pamięta starego melodramatu z cudnie piękną Webera muzyką, którego bohaterka, przezwana »Precyozą«, jest opatrzącyją cygańskiej bandy? Przez nią tylko drużyna ta wie swój żywot, bo gdzie się pokaże, sieje taki czar, że porywa młodzież i starców, i niby zaczarowana królewna z bajki, przykuwa do stóp swoich, a jak druga Danaida obsypywaną bywa złotym deszczem...

Takie Precyozy zjawiają się nietylko w cygańskiej bandzie, ale w bardzo do niej zbliżonej trupie wędrownych komedyantów.

Dawniej bywały niemi aktorki liryczne w melodramatach, owe Sieroty, Kopciuszki, Córki naturalne i t. p., dziś są niemi naiwne: owe Helenki, Zosie, Basie *et tutti quanti*.

Precyozy są opatrzącyją dyrektorów i całej trupy. Dla nich wyłącznie wybiera się sztuki, dla nich stosownie obsadza role i układa cały repertuar.

Cyganie i cyganki, chciałem powiedzieć aktorzy i aktorki, sarkają na niesprawiedliwość, uskarżają się na poniewierkę swoich talentów, ale jedno słowo dyrektora zamyka im usta.

Tem wszechwładnem słowem jest gaża.

Nie będzie grała Precyozka, zamknie swój worek Alonzo... a wówczas co czynić wypadnie?

Takim Alonzo, co się włóczy za cyganami i za Precyozą z miasta do miasta, bywa zwykle jakiś młody panicz, tylko co ze szkół wypuszczony, albo jakiś kapitalista-epikurejczyk, z zepsutem podniebieniem, niby amator sztuki, lub wreszcie bogaty szlachcic. On żywi całą trupe, obchodzi się też ze swoimi niewolnikami despotycznie i niemal upokarzająco, traktuje ich jako rzecz do niego należącą.

Nie myślcie jednak, żeby Precyoza była rzeczywistą Precyozą na scenie... Nie, ona tylko ma to, co miał jej prototyp: czar, wdzięk... ma wabika, jak się to mówi dzisiaj.

Publiczność często protestuje i zamiast Precyozy wołałaby widzieć inną aktorkę w tej samej roli, ale głos publiczności to głos wołającego na puszczy... Alonzo powiedział, że tę rolę grać musi Precyoza i rzecz skończona. A zresztą publiczność to taki potulny baran, że się jej wmówi wszystko i wytłómaczy...

Precyozy mieszkają w pięknych apartamentach, podczas gdy jej bracia i siostry mieszczą się w brudnych dziurach. Garderoba jej, gdzieby ten teatr nie był, czy w szopie, czy w murowanym budynku, wysłana jest puchem i dywanami — a gdy trupa wyjeżdża, nie niosą jej wprawdzie cyganie w lektyce ubranej w kwiaty, ale wsiada do powozu, podczas gdy reszta wlecze się żydowskimi wozami.

Gdy się Precyoza pokaże na scenie, olśniewa swoją krzyczącą tualetą tak, że wszyscy przy niej wyglądają jak żebracy, bez względu: czy grają książąt i króli, a ona jest tylko subretką.

Biedna trupa komedyantów wraz ze swoim dyrektorem, wygląda wówczas rzeczywiście jak banda cyganów, będących na łasce Precyozy.

Najsutsze oklaski zbiera ona tylko, bo choćby jej koleżanki, albo koledzy jak najbardziej wyróżniali się

grą swoją, nie potrafią do tyła zachwycić publiczności, aby ta przekrzyczała Alonzowych klakierów.

Precyozy, będąc opatrnością dyrektorskiej kasy, są plagą dla sztuki, bo obniżają jej poziom. Szczęściem są one tylko efemerydy, żyją życiem motyla. Krótkie jednakże ich życie na scenie nie przechodzi cicho i spokojnie. Sprawiają one zawichrzenia, które się kończą nieraz dramatem.

O jednym takim opowiem.

Trupa aktorów zjechała do D... Precyozą jej była głośna swego czasu Salcia z fiołkowemi oczami, już przy końcu swego motylego życia, a więc najponętniejszą. Wlokła ona za sobą już nie jednego Alonza, ale cały ich szereg. Kobieta niesłychanego sprytu, bo nikt nie wiedział, którego z nich łaską swoją obdarza, a każdy z adonisów wierzył, że tym wybrańcem jest on.

Prawym Alonzem Precyozy był wówczas młody hrabia L., młodzieniec butny i namiętny; mówię prawym, czyli oficjalnym, bo wówczas za takiego uchodził; pogłoski jednak krążyły, że to szczęście spadło na pana Alfreda, znanego muzyka w mieście, a najzłośliwsi utrzymywali, że prawdziwym i jedynym jest pan Zygmunt, podstarzały don Juan i znany aferzysta; dwaj pozostali zaś, służą tylko za parawan.

Pogłoski te miały podstawę, bo każdy z Alonzów dyrygował swoją partią w teatrze i każdy wyprawiał owacyę Saluni. Rywale obierali sobie miejsca w trzech przeciwnych kierunkach sali teatralnej — i stamtąd bombardowali na scenę bukietami, albo sypali huczne brawa zapomocą usługnych rąk swoich przyjaciół. Zdawało się, że całą publiczność porwał szał entuzjazmu dla aktorki, każde jej pojawienie się na scenie, każde słowo zagłoszane bywało wrzaskiem nie do zniesienia.

Lecz i najcierpliwszi, a nie biorący w tem udziału, zaczęli sarkać z oburzeniem.

— Czy się to już nigdy nie skończy? Trzeba będzie przestać chodzić do teatru, a szkoda, bo prócz tej, wszyscy tak dobrze grają...

— Poczekajcie, ja ją »urządę« — powiedziała sobie »charakterystyczna«.

»Charakterystyczną« była pani Nimfa Rozmaryńska. Imię chrzestne prawdziwe, nazwisko — pseudonim. Jak się rzeczywiście zwała, nigdyśmy nie mogli wiedzieć ani przedtem, ani potem — tak zupełnie, jak z jej latami... imię jednak naprowadzało nas na pewną epokę rozbujania u nas romantyzmu, mniej więcej między rokiem 1820 a 1830.

Pani Nimfa była żywą kroniką teatralnych skandali, o czym ona nie wiedziała i o czym nie słyszała! Kobieta otyła i ogromnie wygadana, stąd gdy jej przyszła ochota, wywłoczyła na stół dwóch swoich mężów, którychśmy podśmiewali. Wówczas pani Nimfa ponosiła i wzruszając ramionami mawiała:

— Oh te aktory! Pocom ja też wlaźła między tych ludzi?

Mimo to, kochała tych aktorów, gotowa się dać za nich w kawałki porąbać. Nazywano ją ciocią Nimfą. Młodsze aktorki, zwłaszcza nowicyuszki, miały dla ciotki wielki respekt. Ona je informowała, ona ubierała, ona dawała rady, jak się kierować w życiu, powodując się najsurowszą moralnością, bo mawiała:

— Przez lekkomyślność dużo ucierpiałam, niech przynajmniej drugich od niej ustrzeżę.

Była niesłychanie wrażliwą; niechby która spróbowała lekceważyć jej wielki rozum i doświadczenie!

Saluni nie cierpiała, bo Precyoza od swego wejścia do teatru traktowała ją z góry; to też zdziwiliśmy się niepomału, gdy pewnego poranku na próbie zobaczyliśmy ciotkę Nimfę nadzwyczaj dla niej ugrzecznioną i prawie nadskakującą.

— Co u dyabła stało się naszej cioci? — pytaliśmy jeden drugiego. — Niedawno piorunowała na nią.

— Nie znasz to bab, ich pioruny słomiane.

— Nie, w tem coś być musi, ale co? ha, zobaczymy.

Nagle wieść gruchnęła, że Salunia idzie za mąż, a tym szczęśliwym wybrancom jest właśnie prawy Alonzo, hrabia L...

— No, teraz rozumiem ciocię Nimfę, chce się wszyć w łaski przyszłej pani hrabiny.

Ile jednak w tej pogłosce było prawdy, o tem nie mieliśmy się nigdy dowiedzieć; musiało przecie być coś blisko tego, bo Salunia poczęła występować już jako prawdziwa hrabina, która łaskę świadczy motłochowi aktorskiemu, że raczy w jego towarzystwie przebywać. Grała już tak, żeby się pozbyć tylko i do jakiegoś czasu dobyć na scenie, dopóki jej przyszły mąż nie ureguluje interesów i nie wyrwie swego skarbu z objęć Melpomeny, aby się nim cieszyć przez całe życie.

Gdy jej przyszły regulował interesa, Salunia także regulowała swoje, bo była kobietą praktyczną. Trzebaż było pozałatwiać rachunki z panem Alfredem i z panem Zygmuntom, a nawet z bohaterem naszej trupy.

Miejscem schadzek bywało schludne mieszkanko cioci Nimfy. Pocziwa, urządziła im tak godziny, że jeden o drugim nie wiedział.

I byłoby wszystko poszło zwyczajnym porządkiem, boć Salunia nie z jednych takich wydobywała się oparów, gdyby nie fatalna pomyłka cioci w godzinach — tak się poplątało biedaczce, tyle miała na głowie kłopotów, że zamiast każdemu wyznaczyć czas właściwy, zgromadziła ich razem o jednej porze.

* * *

— Powiadam wam, był to istny sądny dzień. Znać mnie przecież, i nikt mi nie zarzuci tchórzostwa,

a jednak uciekłam z własnego domu, bo myślałam, że się rozszarpia.

Tyle tylko mogliśmy się dowiedzieć od cioci.

Resztę powiedziały nam czyny.

Gdy hrabia L. z Alfredem stanęli na placu, znany rębacz i pojedyńkowicz, kapitan R., który im sekundował, za pierwszym złożeniem rozbroił ich i kazał im się uścisnąć, a potem przygotował bankiet dla Saluni.

Szkoda, że tego bankietu znów był widownią teatr. Wchodzącą na scenę Salunię spotkała piekielna muzyka i deszcz... nie kwiatów wcale.

Nazajutrz władza kazała jej wynieść się z miasta.

Wszystko znów wróciło do równowagi. Ciocię szanowały młode aktorki i dojrzewały pod jej kierunkiem w sztuce. Tylko myśmy ją podśmiewali, wywołując straszliwe oburzenia i przekleństwa.

— Ciociu Nimfo, powiadają, że ten »kawał« u Saluni urządzony był z całym rozmysłem.

— O niegodziwi ludzie! jabym się czegoś podobnego dopuściła. O te, aktory!





NEMÉZYS

(Z własnych wspomnień).

Nazywano go opętanym. Gdyby żył przed laty stu, egzorcyzmowanoby go i wypędzono dyabła, który w nim siedział, ale to było w roku 1859.

Miał wtedy lat ośmnaście. Już sama jego oryginalna figura dawała ludziom do myślenia. Długa, chuda postać, o bladej i drobnej twarzy, z długimi włosami, w kapeluszu bandyckim i w ponszy.

Żeby sobie sprawić taki kapelusz i ponsze, sprzedał swoje szkolne książki, pościel, garderobę. Deklamował po ulicach i zaułkach, w polu i w lasach, wywracał oczami jak potępieniec do tego stopnia, że go raz aresztowano w poblizkiej wiosce i odesłano do sołtysa. Chłop popatrzył nań, a potem spytał dozorców:

— Cóż on zrobił takiego?

— A no nic, tylko widać złe go jakieś nagabywa, bo gada sam do siebie, śmieje się, płacze... Ot, jakieś lichy.

— A no to go do księdza. My na to nie poradzimy.

Szczęściem, że się bez tego obeszło. Chłopiska nakiwawszy głowami, nawydziaawszy, puścili wolno i kazali iść w swoją drogę.

Uciekł z rodzicielskiego domu, nie chciał kończyć szkół i *per pedes apostolorum* puścił się do Warszawy.

Ojciec ręce załamał z rozpaczy.

— Stracony! stracony! Oh, bodaj z piekła nie wyrzeli ci komedyanci, co tu do naszego miasta przywdędrowali. Toż to od owej chwili coś się zrobiło z tym chłopakiem. Urzekli go, oczarowali.

I ta nazwa oczarowanego, opętanego przyrosła mu do skóry. Był opętany przez... teatr.

Wycisnął on na jego młodej i wrażliwej duszy tak silne piętno, tak go podbił i oczarował, że poza nim nic innego już nie widział na świecie.

Zapisał się do szkoły dramatycznej.

Profesorem był wówczas pan Józef R...

Młodzi jego współkoledzy poszanowali w nim tego właśnie dyabła, darowali mu śmieszności, a potem polubili serdecznie; tylko profesor przestraszył się widocznie. Bardzo naturalnie, wszyscy profesorowie od początku świata, to ludzie lojalni, poważni, konserwatywni, pedanci, przestrzegający form. Gdy zobaczył cudaka, parsknął śmiechem, a po kilku lekcjach powiedział, że jest do niczego, radził mu obrać inny zawód, a najwłaściwszy, mówił, byłby w bandzie cygańskiej.

Pocziwy pan Józef nie umiał wnikać dobrze w naturę młodych swoich adeptów i to, co odczuły młode umysły, u niego wydało się dyabelskim jakimś cygaństwem. Patrzył nań, jak ów sołtys, który go chciał odesłać do księdza.

Powodzenie u niego mieli tacy, którzy się umieli obracać gładko i mieli salonowe maniery, którzy wypowiadali gładko frazesy. Miał on swoich ulubieńców, pochlebców...

Wypchnięto tedy ze świątyni opętańca, jak parszywą owcę. — Ale z dyablem sprawa nie łatwa.

Wypchnięto go jednemi drzwiami, to on wszedł drugimi. Słowem, przeczekał kadencję pana R. i wszedł do szkoły, kiedy nauczał Jasiński.



Ciekawe było spotkanie jego z tym pocziwcem.

Dobre serce staruszka pociągało odrazu ku sobie młodych ludzi, to też miano doń nieograniczone zaufanie, jak do ojca.

— Pan R. wypędził mnie ze szkoły — mówi doń opętaniec — ale ja czuję w sobie powołanie i jestem przeświadczony, że mam talent.

Jasiński popatrzał nań z uwagą.

— Możesz ty i prawdę powiedział — rzeczy — są takie jasnowidzenia w duszy, tylko nie mów o tem nikomu, bo widzisz, moje dziecko, talent, to apostołstwo, talent, to droga cierniowa życia, osłodzona niekiedy jasnym promieniem sławy: nie należy się nim przechwalać. Dziękować zaś Bogu w pokorze i pracować. No, przyjdź jutro do szkoły. Zobaczymy co umiesz.

Tem ciepłym słowem wlał weń ducha. Pracował, ale przyszła zawierucha, co ich rozprószyła po świecie.

*

*

*

Upłynęło lat dziesięć.

Opętaniec przyjechał do Warszawy na występy, jako artysta krakowskiego teatru, i przeznaczenie chciało, że wystąpił w roli Józefa R..., w komedyi »Nasi najserdeczniejsi«.

Krytyka przyznała mu wyższość.

Następnie i inne role poszły równie gładko, dobrze i szczęśliwie.

Dyrekcya teatru warszawskiego ofiarowała mu *engagement*. Pan R... podał się do dymisji.

— A toś się zemścił — mówi do opętańca jeden z jego dawnych kolegów. — On ciebie ze szkoły, a ty jego ze sceny.

— To nie ja, to przeznaczenie — odpowiedział mu patetycznie słowami Atosa z Muszkieterów.

I rzeczywiście tak było.

Zanadto kochał sztukę, a w niej jednego z potężnych przedstawicieli, jakim był R., aby się zniżyć do zemsty.

Winna tu krewka natura pana Józefa R..., który się rządził całe życie uprzedzeniem i działał pod wrażeniem pierwszej chwili.

— Jak to? ten młodzik śmiał tu przyjść i zająć moje miejsce, ten, któremu ja osądził kiedyś niezdolnym? Koniec świata.

Ale do końca daleko, inne jeszcze przykrości czekały pana Józefa.

Pan Józef R... zaangażował się do Krakowa, opętaniec miał wracać na stały pobyt do Warszawy, ale kiedy mu przyszło żegnać nasz stary gród, który tak serdecznie pokochał, który go tak pieczołowicie przegarnął i wykształcił, żal go ścisnął i został, został nie dla materyalnych widoków jak mawiano wówczas, został, bo mu tu było dobrze i ciepło.

Wówczas pan R... wrócił do Warszawy starać się o powrót na scenę... i gdy już, już miało się odbyć uroczyste jego wystąpienie i podpisany kontrakt, opętaniec spada jak bomba, przeprosiwszy uprzednio listem ówczesnego prezesa Muchanowa, że zerwał kontrakt. Naturalnie został przyjęty, a pan Józef R. znowu powrócił na krakowską scenę.

Spytacie, dlaczego opętaniec opuścił po raz drugi Kraków? — ot zwyczajnie dyabeł w nim bruździł ciągle i ten dyabeł szepnął mu, że dla artysty potrzeba szerszej areny i rozgłosu.

Takie to wyprawiano harce. Mimo to nie przestano się szanować wzajemnie. A gdy na opętańca spadło drugie opętanie, literackie, pan Józef już pogodzony, winshawał mu go uroczystie i ścisnął serdecznie. Wówczas już jako z dyrektorem teatru zbliżył ich interes, potem stosunek ten zamienił się w serdeczniejszy, który mu opętaniec dochował do końca jego życia.

Pan Józef R. jeszcze kilka razy kołatał do wrót świątyni warszawskiej Melpomeny, ale się już przed nim nie otworzyła.

Tę historję znają doskonale koledzy opętańca ze szkoły dramatycznej.

A morał z niej taki:

W publicznym zawodzie ani uprzedzeniem, ani sympatyą rządzić się nie wolno, bo się można grubo pomylić a potem gorzko żałować.

Nemezys jest nieubłagana.





Z Ł O D Z I E J

(Kartka z teatralnej kroniki).

W roku 1858 zima była twarda, sroga, co wywołało naturalne następstwo — drożyznę.

Bawiono się pomimo to znakomicie. Nie było dnia bez balu, kuligu, maskarady. Szlachta okoliczna zjeżdżała szumnie do Płocka, pełna animuszu i fantazyi. Pszenicę płacono wówczas po dziewięć rubli. Pieniądzy było jak lodu.

Zarabiał krawiec, modystka, fryzyer, kupiec korzenny, traktyernik i wszelkiego rodzaju dostawcy. Zdawało się, że i teatr, który zjechał temi czasy, świetne robi interesa — u nas jednak zazwyczaj dzieje się inaczej.

Trupa była zatytułowaną: »Towarzystwem artystów dramatycznych«, bez owego stereotypowego dodatku: »pod dyrekcyą takiego to, albo i takiej«, bo pomiędzy kierownikami bywały także i dyrektorki.

Towarzystwo składało się z dziesięciu mężczyzn i tyluż kobiet, dzieliło się zyskami, a reżyserem miało zasłużonego już i głośnego aktora Franciszka L.

Ten »pan Franciszek« był figurą, o jakich już coraz trudniej w kadrach prowincjonalnej sceny.

Syn zamożnych niegdyś rodziców, skończył szkoły gubernialne, kawał był z niego i literata. Służył scenie i z zamiłowania i z talentu. O reklamę dbał nie wiele.

Na teatrze stołecznym dał się chlubnie poznać ze swoich debiutów, ale ofiarowanego mu *engagement* nie przyjął, mówiąc, że woli orać twardy zagon prowincjonalnej sceny. Większa zasługa — a przytem — swoboda!

Ulubioną jego maksymą był stary wiersz Kochanowskiego :

Służmy pocziwej sprawie, a jako kto może
Do ogólnego dobra, niechaj dopomoże.

Ot, oryginał! a takim oryginałem został do dnia dzisiejszego.

Otwarto sezon nową wówczas i głośną sztuką Chęcińskiego »Szlachectwo duszy«. Po spektaklu wypadło do podziału znaczniejszym członkom po — dwa złote.

Widzę ich jak zmęczeni i zgłodniaли znaleźli się w jednej z restauracyj. Prócz kieliszka wódki i kawałka chleba ze szynką, nic więcej nie jedli ani pili. Obok w gabinecie pękały butelki szampańskiego...

Jednak miny były dobre, bo komedyanci mają to do siebie, że nie spuszczaają zaraz nosa na kwintę i głowę noszą do góry. Przed chwilą przecież szastali tysiącami i milionami na scenie; nie wyszli jeszcze »z charakteru« swoich ról. Osobliwie ten co grał barona, pan R. trzymał się tak, jak gdyby w bocznej kieszeni swego tużurka miał w pugilaresie przynajmniej z kilkaset rubli. Wilczura tylko, nasz reżyser, pan Franciszek L., miał minę smutną i znękaną. Bah! w domu czeka go żona i czworo małych dzieci.

Na drugie przedstawienie dawano Korzeniowskiego »Umarłych i żywych«, sztukę lubianą wówczas wszędzie. Przypadło na każdego z działu po... 27 groszy.

Wtenczas widziano pana Franciszka L. bez palta, okrytego jakimś starym szalem żony, kupującego chleb razowy dla dzieci. Mróz dochodził dwudziestu kilku stopni, miasto szalało i bawiło się do upadłego.

— Co będziemy robić? — zawołał reżyser ze łzami w oczach do zgromadzonych kolegów na próbie. Pukałem wszędzie do tych ludzi. Byłem i u prezesa, u radcy, u adwokata B., u doktora C. Oni ruszają ramionami. Szał zabaw opanował tych ludzi tak, że nic poza tem nie widzą. Prócz białego mazura, polki, kontredansa, sarny z rożna, szampańskiego, nic innego zdaje się nie postanie na ich ustach. Czeka nas śmierć głodowa.

Znikły z grzbietów aktorskich palta i okrycia. Kobiety pokazywały się na takie zimno w perkalikowych sukienkach. Wszystko to brał żyd w zastaw, a mróz srogi nie folgował.

W niedzielę dano »Maryę Stuart« Schillera. Spodziewano się tem przecież jako tako podłatać.

Rzecz niesłychana. Nie było na koszt.

— Co to jest? — wołał pan Franciszek jak obłąkany z wściekłości i rozpacz. — Wszak my jesteśmy najlepszą z trup prowincjonalnych, a publiczność tutejsza lubiła dosyć uczęszczać do teatru. Skąd ten wstręt? skąd to okrutne zobojętnienie?

— Skąd? — odezwał się sufler, który zwykle za praktycznego uchodził — to ja wam powiem: ludzie mają za dużo pieniędzy.

— Bredzisz asan! — zakrzyczano go.

— Bynajmniej. U nas wtenczas tylko chodzi się do teatru kiedy bieda; boć teatr dla nich to najtańsza zabawa, ale kiedy dobre czasy, pszenica w górze, ktoby tam myślał o teatrze. Dziś lada szewc czuje się w obowiązku dać bal. Będą więc balować, a my tymczasem pomrzemy z głodu.

— Wyjeżdżajmy! wyjeżdżajmy!

— Dokąd? O czym?

— Prawda.

I ci ludzie wycieńczeni głodem, zropaczeni, z zalanymi rękami, stali na scenie, nie wiedząc co począć

z sobą, podczas gdy szczury, tak głodne jak i oni, spacerowały po pustym teatrze plockim.

Wtem reżyser dotąd milczący i ponury, chwycił się za głowę i wybiegł prędko ze sceny.

— Panie Franciszku, dokąd? Dokąd tak spieszo? — wołano za nim.

— Zobaczycie! — krzyknął im na schodach.

* * *

Na rynku plockim wśród białego dnia, złapano złodzieja, gdy ukradł przekupce bochenek chleba.

— No i cóż z tego, tacy złodzieje trafiają się dość często.

— Bah, ale to niezwykle złodziej, bo to reżyser teatralnej trupy, sława prowincjonalnych teatrów i autor dramatyczny, pan Franciszek L.

— Ależ to być nie może? Gdzie? co?

Całe miasto zadudniało.

— Prowadźcie mnie na ratusz — wołał reżyser — włóżcie mi kajdany na nogi! Jam złodziejem! ukradłem chleb tej kobiecie, ażeby ratować żonę moją i dzieci od głodowej śmierci.

— Wstydź się pan! — rzucił jakiś rumiany jegość z tłumu.

— Wy się wstydźcie, o ludzie kamiennego serca i głów próżnych! Wy, którzy depczecie nogami pracę uczciwych ludzi. Niesiemy wam to co literatura ojczyzna zdobyła, i staramy się być wiernymi jej tłumaczami, a zato wszystko każecie nam umierać z głodu, bo przekładacie nad to skoczego walca i białego mazura! Prowadźcie mnie do aresztu! Niech ukarzą jak złoczyńcę człowieka, który służy narodowej sztuce. Pragnę, aby to zamieszczone było w protokole.

— Cicho, sza! Daj pan pokój! Cóż znowu! No, stało się wielkie głupstwo. Ale rzecz jest przecież do

naprawienia. Cóż u dyabła, przecie z głodu nie damy wam umrzeć.

I jegomość, co to mówił, wyciągnął już pugilares.

— Precz! — krzyknął pan Franciszek — jałmużny nie przyjmę. Chcę tylko, abyście nas traktowali jak ludzi, którzy z kagańca oświaty niosą przed wami część jej niepoślednią.

— Sza! będzie dobrze.

— I ów jegomość zniknął w tłumie.

We wtorek dano »Więzy«, komedye Scribego. Teatr był pełny. Łoże świeciły kwiatem pań plockich.

Potem szło już dalej, grywano sztuki oryginalne i tłómaczone, publiczność ciągnęła, bo już stało się modą bywać w teatrze.

* * *

Dziwnie się układają rzeczy ludzkie.

Co teraz powiem, wyda się nieprawdopodobnem, a przecież jest najprawdziwszą z prawd.

Zapomniałem dodać, że pan Franciszek L. odznaczał się niepospolitą siłą fizyczną. Był krępy, przysadkowaty, a włosy na głowie miał bujne i twarde jak szczecina, co oznacza zawsze siłacza.

Otóż jednego wieczora, gdy wracał sam z teatru do domu już późną godziną, bo długo zatrzymały go rachunki, spostrzegł przy jednym z domów przystawioną drabinę do okna na drugim piętrze, a na niej człowieka, dzwigającego jakiś tobolek pod ramieniem.

— Złodziej oczywiście, rzekł pan Franciszek.

I nie namyślając się wiele, nie pytając, nie mówiąc nic, bierze drabinę wraz z człowiekiem na niej będącym, i idzie w stronę ratusza.

— Co robisz, człowieku! puść! Czyś zwaryował? podzielę się z tobą! Daj mi pokój! — wrzeszczał człowiek na drabinie.

— Milcz kundlu, bo jak cię rzucę, roztrzaskasz łeb na bruku. Siedź spokojnie, trzymając się mocno drabiny. Zaniósę cię do policyi, a ona niech sobie robi z tobą co się jej podoba.

Złodziej przeczuł odrazu, z kim ma do czynienia. Wiedział, że ucieczka jest niemożliwą, a przynajmniej ryzykowną bardzo. Uznał za stosowne siedzieć spokojnie na drabinie i jak ekwilibrysta manewrować tak, aby nie stracić równowagi i nie spaść na bruk, gdzie go czekały guzy, a może upadek na złamanie karku.

I oto pan Franciszek L. zdumionym stróżom porządku przyniósł na drabinie złodzieja.

Gdy go zawezwano na drugi dzień do protokołu, domagał się, aby wciągnięto weń te wyrazy: »Rehabilitacya za skradziony chleb«.

Trzeba przyznać, że pan Franciszek L. był.. nadzwyczaj pomysłowym.

O tak, jak w sztuce tak w życiu pan Franciszek był bardzo pomysłowym oryginałem!





SPÓŹNIŁ SIĘ

Powinnoby istnieć przysłowie: »Punktualny jak... aktor«, bo w istocie niema punktualniejszych ludzi. Rzemiosło przyzwyczają ich do punktualności.

Aktorowi bowiem nie wolno ani na jedną sekundę wejść na scenę zawcześnie, albo zapóźno; ostatnie słowa jego roli są dlań apelem do ukazania się na deskach. Musi wejść tamtędy, gdzie mu wskazał reżyser, gdy zaś wejdzie, pamiętać o tem, gdzie ma skierować swoje kroki, aby nie popsuć sytuacji. Widowisko także musi się rozpocząć o oznaczonej godzinie; słowem, jak żołnierz we froncie stać ma zawsze pod bronią i mieć wyteżony słuch i wzrok...

Dziwne też czasem między nimi napotyka się figury. To czuwanie nad sobą, to pilnowanie czasu i miejsca urabia w nich systematyczność, pedanterię, a co za tem idzie, sumienność, posuniętą do przesady. Jak krok każdy i giest na scenie bywa obliczony, tak i w życiu wytwarzają sobie pewien systemat i przepisy, którymi kierują się zawsze.

Wieluż to mieliśmy takich oryginałów, zwłaszcza w starszej generacji aktorskiej.

Oto pocziwy pan Ludwik, typ akuratności i porządku. Prowadzi on dziennik swoich czynności, gdzie zapisane są wszystkie wydatki, a między innymi jedna

ciekawa rubryka: »Miłość«. Punktualnie o jednej godzinie spotkałeś go na tej a na tej ulicy. Miał łaskę inną na czwartek, a inną na piątek. Kapelusz, w którym wychodził tylko w poniedziałki bez względu na to, czy deszcz padał, czy pogoda świeciła. O pewnej godzinie mogłeś go zastać leżącego na łożku, wpatzonego w lustro, w którem odbijali się przechodnie, idący flizami pod filarami teatru. Codziennie o siódmej rano, począwszy od kwietnia aż do późnej jesieni, kąpał się w Wiśle, a potem mył regularnie łaskę, z którą przybył. Lubił nieraz wygodzić kolegom w potrzebie, pożyczając niewielkie sumki bez żadnego procentu na raty; biada jednak dłużnikowi, jeśli się z ratą opóźnił! Zdarzył się raz wypadek, że dłużnik nie czekając rat, przyniósł większą połowę resztującej sumy, aby ją od razu uiścić; pan Ludwik obrażony tem wpadł wówczas w gniew i wyrzucił go za drzwi, mówiąc:

— Ja już zapisałem w mojej księdze raty, nie będę wymazywał. Przynieś mi to we właściwym terminie i w kwotach, jakie były umówione. Idź z Bogiem, a naucz się porządku!

Niepodobna tu wyliczyć wszystkich dziwactw pana Ludwika!

Jego kolega Michał, to najsumienniejszy kronikarz teatralny. Każdy, bodaj nawet drobny wypadek był przezeń zapisany skrupulatnie aż do godziny i minuty. Daty urodzenia, ślubu, śmierci kolegi lub koleżanki, były u niego dokładniejsze, niżeli w metryce urzędowej. Specyalnością jednak pana Michała były wszystkie składki, które zbierał czy to dla potrzebujących wsparcia, czy dla uczczenia kogoś podarunkiem.

— To wydział pana Michała — mawiano.

Pan Michał słynął także jako człowiek niesłychanej pamięci, który nigdy nie zgrzeszył żadnem roztrągnięciem, kolegom roztrzępającym przypominając zwykle

chwile wyjścia na scenę, albo pytając, czy się zaopatrzyli we właściwy rekwizyt. Młodzi często go wyśmiewali, a raz uwzięli się nań, aby go zagadać tak, by się spóźnił z wejściem na scenę. Spóźnić się na scenę dla pana Michała? *Horrendum!* To mu się nigdy w życiu nie zdarzyło. A oni przecież okazali tego i to w roli, w której pan Michał wpada z piosnką na scenę. Choć wszedł jeszcze na czas, ale tak był zirytowany na interlokutora, że zamiast słów piosnki, śpiewał do muzyki:

»Dureń, dureń, dureń!

Cymbał, cymbał, cymbał!«

Znałem także nadzwyczaj sumiennego aktora, dla którego dzień spektaklu był dniem wykreślonym zupełnie z jego życia, poza rolę i teatrem świat zewnętrzny dlań nie istniał.

Najciekawszym jednak typem sumienności i porządku był pan Ignacy K., o którym chciałbym powiedzieć w krótkości.

Aktor niewielkich zdolności, bo niech mówią co chcą, gdzie głowa płodzi wielkie myśli, tam na drobiazgi niema miejsca, pan Ignacy powiedział więc sobie: Gdy Pan Bóg poskąpił mi wielkiego talentu, prześcignę moich wszystkich kolegów w sumiennem spełnianiu obowiązków.

Byłem jeszcze nowicyuszem, gdym go poznał już dojrzałym i wytrawnym aktorem. Wówczas rozwiódł się on z żoną, śliczną kobietą, która nie chciała poddać się jego edukacyi, bo pan Ignacy miał wysoko rozwiniętą żylkę profesorską, i czy kto chciał czy nie chciał, lubił narzucać się ze swojemi radami.

Bo i co to bywały za rady! Chciał naprzykład, aby aktor nie tylko dobrze poznał sztukę, w której udział przyjmował, ale wiedział także coś o danym autorze, co on zaczął? jakie jeszcze dzieła pisał, oprócz danej sztuki?



Z jakiej wychodzi szkoły, jakiemu hołduje kierunkowi, na jakich wzorach się kształci i t. d. i t. d. Żeby się o tem wszystkiem dowiedzieć, pan Ignacy ślęczał w bibliotekach i księgarniach, chodził po antykwaryuszach, czerpał nawet z prywatnych bibliotek. Rolę, którą przedstawiał, opatrywał w komentarz, choć najmniej tego była warta — a coś dopiero, gdy pojawiła się sztuka rzeczywistej wartości literackiej, a zwłaszcza historyczna, studyował całą epokę, robił wyciągi, udzielał rad i wskazówek nieżyjącemu już autorowi, słowem, zapracowywał się. Była to jednakże jedna część tylko studyów pana Ignacego, część zewnętrzna odnosiła się do charakterystyki danej postaci, jako to: maski, głosu, chodu, akcji i t. p.

Mieliśmy zabawę prawdziwą, gdy pan Ignacy, jako rejent Milczek, chodził już przez cały tydzień lisim krokiem, przewracając oczami, ręce trzymał złożone jak do modlitwy, a z ust płynęły mu miodowe słowa. Innym razem pan Ignacy przeistaczał się w lwa albo odyńca.

Nie było poświęcenia z jego strony, którego by nie uczynił dla sztuki.

Żeby być lekkim i zwinnym w »Pajacu«, (starej francuskiej melodramie), pościł dobrowolnie o chlebie i wodzie przez trzy dni.

A rezultat? W rezultacie rola, którą grał, była sumiennie opracowaną, nie brakło w niej ani jednej kropki nad i... ale nie dostawało w niej... duszy.

Czy pan Ignacy czuć nie umiał?

Bynajmniej, czuł głęboko, ale zbyt sumienne i drobiazgowo czuwanie nad sobą, podcinało skrzydła jego fantazyi. Nie mógł się nigdy wcielić w daną osobę, nie mógł się nigdy »przejąć rolę«, jak się mówi w teatralnym języku.

Trzeba go było słyszeć, jak się uczył. Jedno zdanie powtarzał kilkadziesiąt razy, dopóki go nie wypo-

wiedział dobrze, na scenie jednak wychodziło bezbarwnie, potrafił już bowiem w tym czasie zatrzeć jego barwę zbyt pracowitą analizą.

Na dziesięć minut przed rozpoczęciem próby, stał pan Ignacy przed teatrem, gdy wybijała godzina, wchodził do gmachu, i tu usadowiony w kąciку, czekał na swoje ostatnie słowa.

Na dwie godziny przed rozpoczęciem widowiska był już w garderobie. Gdy raz nie mógł przyjść, kazał się zawieźć dorożką, odegrał swoją rolę i wrócił, aby zaledz łoże w ciężkiej chorobie. Dźwignął się z niej wreszcie, przyszedł na próbę, przepraszając dyrektora za »chwilową« niedyspozycję, a gdy się dowiedział, że ta niedyspozycja trwała dziesięć tygodni... rozpłakał się jak dziecko.

Było to przesilenie w karierze aktorskiej; odtąd pan Ignacy mniej ślęczał nad księgami, ale... lepiej grać zaczął. Niestety, przyszło ono już zapóźno. Z pod przetrzebionej łysiny uciekła pamięć. Uczucie, którem teraz tak często wybuchał, nie mogło jej zastąpić; brakowało słowa w najpatetyczniejszej scenie. Pan Ignacy podwoił jeszcze swoją punktualność i akuratność, formalnie zamieszkał już na scenie. Nie była ona zato macochą dla tego męczennika.

Graliśmy »Starego kaprała«. Tytułowa rola przypadła Ignacemu. Już na próbach widzieliśmy dziwną w nim zmianę.

Na pytania nasze dawał wymijające odpowiedzi, aleśmy widzieli, że z nim jest źle i zaledwie na nogach utrzymać się jest w stanie.

Na godzinę przed widowiskiem zastaliśmy go siedzącego na swoim zwykłym miejscu, ucharakteryzowanego i ubranego w mundur napoleońskiej gwardyi, wspartego na karabinie.

Zajęci sobą, nie zwracaliśmy nań uwagi.

Sztuka się rozpoczęła.

— Kaprał wchodzi! Gdzie kaprał? Pan Ignacy!

Kaprał siedział na swoim miejscu, ale się już nie ruszył więcej.

Z pod farb i szminek ujrzeliśmy przerażającą rzeczywistość, grozę śmierci.

Raz więc tylko spóźnił się...



SERYA II.





NASZ DOKTOREK

Służyć medycynie, sztuce czy dyrekcyi?
Oto trzy zagadnienia, nad których rozwiązaniem pracował całe życie.

Z początku był wiernym medycynie i oburzył na siebie dyrekcyę, a kiedy chciał hołdować sztuce, jego sumienie doktorskie gryzło go straszliwie i znów, na odwrót, gdy był wiernym sługą dyrekcyi, wówczas to medycyna i sztuka, niby dwie Eumenidy, szarpały jego sumienie, jak Orestesa.

Czy dyabli nadali. — A on tak kochał teatr.

— To jedyna przyjemność na świecie — mawiał. —

Cały dzień człowiek patrzy i dotyka się tej nędzy ludzkiej w rozmaitych jej kształtach, niechże ten wieczór będzie dla mnie wypoczynkiem i rozrywką.

I rzeczywiście oddawał się jej całą duszą.

Nikt z takim zapałem nie objawiał swojego zadowolenia z gry aktorskiej, jak nasz eskulap.

Można go było widzieć każdego wieczoru na urzędowym krześle, uzbrojonego w lornetkę i śmiejącego się z całych piersi nad słyszanyymi już po wielekroć razy konceptami.

Na mieście znów, czy to na ulicy, czy u pacjentów, których miał sporo, pomimo, że mu młodzi kole-dzy strasznie ich wyławiali, nie było nad niego większego dla nas reklamisty.

Znał historię teatru krakowskiego od lat pięćdziesięciu i lubił robić porównania, w których zwykle my wychodziliśmy zwycięsko.

Najwyższą jednak dlań przyjemnością były chwile, kiedy w czasie odgrywanego spektaklu zażądano jego pomocy lekarskiej.

Dotknąć pulsu Anieli albo Klary, zbadać bicie serduszka naiwnej, która przed chwilą entuzjazmowała widzów, zobaczyć język pierwszego komika, który dopiero co tak go ubawił ciętym swoim dowcipem, toż to gratka nielada. Eskulapowi wydawało się wtedy, że od jego »tak« lub »nie« zawisły losy Europy. Szedł też za kulisy z powagą arcykapłana.

Powaga ta wystawiana była nieraz na bardzo dotkliwe próby.

— Konsyliarzu, ja nie dokończę spektaklu — krzyczała naiwna. — Głowa, moja głowa! Zawrót straszny! Płatki mi przed oczyma latają.

Doktor wiedział, co to są owe płatki. Oto panna Paulina dojrzała w łóży pana W., który się wdziały do pani Z.

— Pocóż tak brać do serca? przecież on panią zawsze stale kocha — powiada eskulap z filuterną minką.

— Nikczemnik! ach! oh! uch! Daj mi pan co żyć, bo umrę.

— Zaraz, zaraz!

Doktorek zakręcił się, wybiegł i w parę minut zjawił się za kulisami pan W.

Takie to on umiał zapisywać recepty.

Gdy przychodziła wiosna, eskulap miewał największe tarapaty.

Żadne stworzenie nie tęskni tak do zielonej trawy, jak aktorzy.

— Ach, na trawę! na trawę! — słysząc ze wszech stron westchnienia.

I nic dziwnego.

Przepędzić osiem całych długich miesięcy wśród murów, ogrzanych gazem, gdy dusza kołysana barwami kwiatów i wiosny, jakimi poeci lubią barwić swoje utwory, gdy patrzysz całą zimę na niezdarnie naśladowaną przyrodę teatralnych dekoracyi, gdy to wszystko płące ci się po mózgu i naraz poczujesz powiew prawdziwy wiosennego wietrzyka, który niesie zapachy łąk i świeżych listków, jakże tu nie uciec z tych murów.

A jak uciec, kiedy trzeba odbywać próby i grać codzień prawie.

Chora bohaterka, chory pierwszy amant, komik i charakterystyczny.

Doktor latał do wszystkich i ani jednego w domu nie zastał.

— A bodajże was! I co tu robić? Ha, mają rację.

Dyrektor łamie ręce z rozpaczy, bo niema co grać, a i próbować nowe sztuki potrzeba.

— Cóż im się stało? — pyta dyrektor doktora — czy epidemia?

— Przepracowani, przepracowani, dyrektorku kochany — powiada eskulap.

— Dałbyś pokój, stary. Już ja widzę, że z tobą sobie nie poradzę, zanadtoś dla nich oddany cały. Niech ich jasne pioruny zatrzasną! A na pierwszego gazę płacić musisz, i skąd? Ja to życiem przypłace.

— I znów będzie ataczek żółciowy.

Tych ataczków dyrektor bał się strasznie a tylko jeden nasz doktor umiał mu na nie radzić.

— Wytrącę im połowę gaży.

— Ehe! I będą żyli manną.

— I cóż będzie?

— Odwołać jutrzejszy spektakl, i tak ani pies nie przyjdzie do teatru.

I tak się stało.

Doktorek ręce zatarł uradowany, bo czuł, że wyświadczył przysługę sztuce.

— Jakże to oni wezmą się ochoczo do pracy po takiej majówce.

Nowa sztuka odegrana zrobiła furorę. Dyrektor kontent, bo załata nią dziury przeszłego miesiąca. Ma iść z rzędu sześć razy.

Wtem uderza grom z pogodnego nieba.

Bohaterka chora.

— I cóż tam takiego? — pyta doktorek, trzymając ją za puls.

— Ach, łamanie w stawach, bicie serca takie, że, myślę, chyba mi piersi rozerwie.

Bada, przykładą ucho, wszystko w porządku.

— Jakże pani cudnie gra tę nieszczęśliwą Mańkę w »Damazym«. Toż to arcydzieło doprawdy.

— Cóż mi z tego, że ją gram dobrze. Czy to bydlę zna się na tem? Nie słyszysz pan, co się dzieje?

— Aha, jestem w domu. To tu jest choroba — myśli sobie. — Proszę pani, rolę Helenki zagra pierwsza lepsza rutynowana aktorka, byle szczerze wypowiedziała każdą kwestyę, ale Mańkę zagrać i tak zagrać, jak pani, na to trzeba tak genialnego talentu i takiego zasobu inteligencji...

— Oh, Boże! nie wytrzymam! Cóż to za bole... Niechże pan powie tam komu należy, że grać nie będę.

— Tego nie powiem — odpowiada eskulap podrażniony trochę — pani grać będzie, bo inaczej dyrektor nie wypłaci wam gaży. Pan Damazy, to jedyny ratunek dla jego kasy.

— Więc cóż, mam paść na scenie?

— A od czegoż ja jestem. Będziemy dziś mieli powodzenie, jakich dawno nie widziano. Mańka dziś zaćmi wszystkich.

Napisał receptę.

— Parę kropelek na cukrze zażyje pani przed wyjściem na scenę.

Wieczorem czytano świetną recenzję o grze Mańki, a galeryja biła frenetyczne oklaski.

Doktorek zatarł rączki i szepnął:

— Służyliśmy gorliwie dyrekcji, chociaż gra tę Mańkę rzeczywiście »pod psem«.

* * *

Są w teatrze pracownicy, upadający na twarz z wyczerpania. Taki się nie skarży, nie prosi o pobłażanie, pracuje do zdechu. A gdy mu mówią o wypoczynku, odpowiada:

— Eh, co tam, to przejdzie. Wolę grać, to i chorońsko dyabli wezmą, niżbym miał stękać w domu.

Takim był pan Józef N., nasz szlachetny ojciec. Przychodził do teatru na dwie godziny przed przedstawieniem ze swoim nieodstępnym koszykiem, który niegdyś był kołyską jego synka. W owej ekskołysce była zawsze starannie ułożona garderoba, bielizna, peruka, którą sam sobie majstrował, szminki i jabłka, które zjadał przed spektaklem.

Nasz doktorek otaczał go zawsze szczególną pieczołowitością. Gdy mu podawał rękę, brał go nieznacznie za puls i, nim wyszedł na scenę, zalecał mu przedewszystkiem ostrożność.

— Nie forsuj się tak, mój Józiu.

— Bodaj doktora z takim gadaniem! Muszę tak grać, jak trzeba, a czy mnie dyabli wezmą dziś, czy jutro, to przecie wszystko jedno.

Takie zdanie kończyło się najczęściej kaszlem piekielnym.

Graliśmy, pamiętam, »Król się bawi« Wiktora Hugo. Pan Józef był panem de Saint Valier. Rola nie-duża, ale wielce dramatyczna. Pan Józef nie przyszedł

dnia tego do garderoby o zwykłej godzinie, poczęliśmy się o niego niepokoić. Dopiero na pół godziny przed rozpoczęciem wpadł zziębnięty, rozgorączkowany, z błyszczącymi oczyma.

Doktor już na niego czekał!

— Ty dziś grać nie możesz.

— Ha, ha, ha! dobryś doktorze, to nie będzie dziś przedstawienia.

— To niech nie będzie, co to ciebie obchodzi.

— Obchodzi nas wszystkich.

— No, no, nie rozbieraj się, kochanku. Pójdź, zaprowadzę cię do łóżka.

Dyrektor wpadł do garderoby.

— Czy rzeczywiście tak źle? Bój się Boga, niech odegra tę scenę, przecie nie mogę zmienić sztuki.

— Rób, co chcesz, ja mu grać nie pozwolę.

— Bodaj wszyscy dyabli wzięli tych eskulapów! Wołajcie tu Pigulskiego.

— Zmów litanie do Pocieszenia Matki Boskiej, ona mu lepiej pomoże, niż Pigulski.

— Jezus Marya! Co ja pocznę?

Pan Józef opierał się, ale energiczny eskulap wziął go pod rękę i wyprowadził z garderoby.

— Dyrektorze — rzekł biedaczysko na progu — ja chciałem i chcę, ale ten nie daje.

Pan Józef dostał w domu straszliwego krwiotoku i nie powrócił już więcej na scenę, umarł w pół roku później w Zakopanem.

A sztuka?

Ze sztuki wykreślił zabiegliwy dyrektor rolę pana de Saint Valier i tak okaleczonego Hugona przedstawił publiczności.

Biedny Triboulet płakał i rękę łamał, powtarzając ciągle: »Ten starzec przeklął mnie«, a publiczność pytała, który to starzec go przeklął.

Doktor przyszedł na spektakl z ciężkim smutkiem, ale powiedział sobie:

— Byłby skandal w teatrze, ten biedak padłby jak koń pociągowy, i tak jest skandal, ale nie kosztem bólu ludzkiego. Służyło się medycynie.

Ja dodam, że służył zawsze dobrej sprawie ten nasz kochany eskulap. Pochodził on z tego gatunku doktorów starej daty, co umieli mieć serce i patrzeć w serce. Był też gorącym wielbicielem wielkiego poety. Poznał go osobiście w Paryżu i często nam o nim mówił.

Ze zmianą dyrekcyi dostaliśmy nowego, młodego doktora, który nam smarował recepty, za które trzeba było dobrze płacić aptece, ale oprócz tego nic nam nie dawał więcej.

Nasz staruszek kręcił się długo jeszcze koło teatru już jako widz, ale zawsze nasz dobry przyjaciel. Bawił się w teatrze szczerze. Jego serdeczny śmiech słyszeliśmy z rozkoszą. Nareszcie ucichło. Mówiono, że wyjechał do córki na Podole i już stamtąd nie wrócił.

Po Krakowie krążą dotychczas jego dykteryjki o komedyantach, które opowiadać lubił, a owe:

»Służyć dyrekcyi, sztuce, czy medycynie« niejedne mu z młodych eskulapów zapocić mogą łysinę.





CHARAKTERYSTYCZNA

Pani Balbina umiała czytać tylko drukowane, dlatego nigdy jej nie widziano na próbie czytanej. Co się dotyczy pisania, to potrafiła jako tako wypisać: Bal-bi-na, ale z nazwiskiem nie umiała już sobie poradzić i tylko początkowe litery Czer wyczytać można było, reszty sam dyabeł by się nie domyślił.

Była kucharką u Chełchowskiego; a że ten tyran wszystkich i wszystko umiał wprzęgać w rydwan Melpomeny, więc zaprzągnął i panią Balbinę — i oto losem szczęśliwym dla sztuki, a nieszczęśliwym dla niej samej, bo całe życie przeklinała aktorów, została artystką. Mówię, przeklinała aktorów, ale nie teatr i nie sztukę, broń Boże, bo nikt nie ukochał tak sztuki jak pani Balbina.

Aktorowie to są wielcy arystokraci. Oni woleliby widzieć w pani Balbinie bogdajby córkę stróża albo woziwody, ale kucharkę, chłopkę ze wsi — to przecież nie uchodzi.

Była to sobie zamaszysta kobiecina, z takich, co to o nich się mówi, że dyabłu by łeb urwały. Tęga, barczysta, pełnych kształtów, wyrazistych i regularnych rysów twarzy, z czerstwym rumieńcem, miłym i nader pociągającym wyrazem. Miała ładne oczy, ładne zęby i uśmiech szczerości. Gdy się ubrała w wiejski kostyum, nie można się jej było dość napatrzeć, taki piękny typ kobiety dawała.

Na scenie znalazła się odrazu, jak u siebie. Żadnego zakłopotania, żadnej bojaźni tak nieodłącznej od nowo-wstępujących.

Chełchowski kazał jej grać i grała, jak gdyby jej kazał ugotować obiad.

Publiczność odrazu sympatycznie przyjęła ten nowy nabytek.

Gdy dyrektor, który lubił ciągnąć jaknajwiększe korzyści ze swoich murzynów, kazał jej pełnić dwa obowiązki i zapędził do kuchni:

— Hola! — krzyknęła oburzona nadzwyczaj pani Balbina. — Jestem artystką z woli Boskiej, postaraj się pan o kucharkę.

— Ty, artystką? Jesteś i pozostaniesz kucharką.

— Zobaczymy.

Pierwszym energicznym czynem pani Balbiny było wydać się za męża, aby mieć przyjaciela i obrońcę, a że sufler już od jakiegoś czasu czytał jej role, wyszła za niego. Jego to edukacyi zawdzięczała czytanie na książce i ów niefortunny podpis.

I tak pani Balbina grywała z powodzeniem kumoszki wiejskie i miejskie, stare i młode, klucznice, ochmistrynie, leciwe panny i inne role charakterystyczne, w jakie repertuar ówczesny obfitował. Chełchowski podkręcał węża, uśmiechając się z pod niego szyderczo. On przygotowywał zemstę tej swojej eks-kucharce.

Było to jego zwyczajem. Gdy aktor lub aktorka zyskiwali uznanie, starał się ich obniżyć, bo mawiał: Zażadto brykać zaczynają, spoczywają na zdobytych wawrzynach i zasypiają powoli, pełni zarozumiałości. Może to był i dobry taki orzeźwiający prysznic, jednakże nie każdemu służył.

Biedna pani Balbina nie przeczuwała, że od owego niefortunnego wieczora przezwisko kucharki uczepli się jej, i że go nie pozbędzie się aż do śmierci.

Chełchowski kazał jej grać baronową w »Szlachectwie duszy«.

— To ci był skandal — powiadam panu — a ten stary niegodziwiec, na Boskim sądzie niech mu tam Pan Bóg przebaczy, przybiegł uradowany za kulisy i powiedział: »Cóż ci mówiłem? jesteś i pozostaniesz kucharką«. Zostanę! — krzyknęłam wściekła — i będę grywała kucharki, ale pan zdechniesz, nie żałowany przez nikogo i przeklinany przez wszystkich. Pójdź Albert! — mówię do męża nieboszczyka. — Niech go morowa zaraza porwie! Panie, odpuść mi... I wylecieliśmy, jak szaleni... I tylko słyszałam, jak te aktory niegodziwe krzyczeli: »Pani Balbino, załóż garkuchnię, będziemy jadali u ciebie«. Garkuchnię! Och! smoły gorącej bym im dała.

Tak mi to opowiadała pani Balbina, gdym z nią grywał w Czerniowcach, w trupie Eisenbacha.

Była to już kobiecina w poważnym wieku, ale zawsze ciesząca się dobrem zdrowiem. Jediną jej wadą była swarliwość i kłótniwość, właściwa babom wiejskim, bo, mimo pracy usilnej nad sobą, nie potrafiła nigdy zrzucić z siebie dawnej skóry. Wciąż jej się zdawało, że knują przeciw niej spiski, że się nad nią znęcają, że ją oczerniają.

— To złe duchy wszystko. Alem na nich wynalazła sposób. Patrz pan! — tu sięgła do zanadrza i wydobyla czarny krzyż, wiszący na sznurku u jej szyi. — Tym to przenajświętszym znakiem odganiam od siebie to mrowie paskudne.

— Ale, moja pani Balbino, przesadzasz. Sama sobie stwarzasz urojone prześladowania.

— Nie, panie. A przez kogo mój Albert zeszedł ze świata? Oni to go w grób wpędzili. Był, powiadam panu, mężczyzna piękny, postawny i grywał amantów. Byliśmy wtenczas w towarzystwie Gaweckiego. Idzie sztuka »Dryblas«. Rola Dryblasza w sam raz dla mojego

Alberta, a ten daje ją Szewczykowskiemu, marnej mi-
zerocie, co nie dorósł pięty mojego Alberta. Wpadam
do dyrektora i mówię: Albert Dryblas, nie Szewczy-
kowski, albo natychmiast opuszczamy towarzystwo. Jak
się zaczęli śmiać!... Odtąd inaczej go nie nazywali jak
Dryblas. Sztuki tej nie graliśmy wcale, bo podobno cen-
zura nie puściła.

— Cóż u licha, że ja nie znam sztuki pod takim
tytułem?

— Ale jest, powiadam panu śliczny dramat. Ten
Dryblas to się kocha w królowej.

— Aha, to Ruy Blas Wiktora Hugo'na.

— Jak pan powiada, Rujblas? Cóż by to znaczyć
miało? Dryblas to przecie znaczy wysoki, tęgi chłop.

— Nie, pani Balbino, to jest imię hiszpańskie.

— Ano, to samo mówił mi zawsze i Albert, a jam
się uczepiła tego Dryblasa, no i został Dryblas. Niech
go tam Pan Bóg ma w swojej opiece!

To przekręcanie nazwisk cudzoziemskich przypro-
wadzało nas zawsze do śmiechu homerycznego, zwa-
szcza owe francuskie: d'Artagnany, Desgenaisowie, Ri-
cheliénowie, pomimo powtarzania przez nią i wbijania
sobie w głowę, musiały być wyrzucane z jej roli.

Nie lubiła też sztuk francuskich.

Ale jakże ona silnie odczuwała aktorską sztukę.

— Tu, w tem miejscu, musi być brawo — mawiała
młodym swoim koleżankom. — Tu musisz tak mówić,
żeby przykuć uwagę wszystkich. Niech będzie sły-
chać muchę, przelatującą w powietrzu.

Nigdy fałszywa nuta nie zadźwięczała w jej roli.

W czasie przerw słuchała uważnie sztuki i robiła
swoje uwagi.

— Oho, pokpił pan brat sprawę, to nie tak po-
trzeba grać.

— A jakżeby pani Balbina grała?

— Jak? Bebechy przewróciłabym im płaczem — a pan się ślimaczysz, jęczysz, śpiewasz — a oni tylko ziewają.

— Kucharka bestya! — szepnął taki pod nosem, ale w duszy przyznał, że miała rację.

— Moja pani Balbino, nauczcie mnie tej roli, taka trudna! — mówiła Myszka, nasza naiwna.

— Chodź, będę cię uczyła, jak mnie uczył dyrektor Chełchowski.

I odtąd Myszka została jej uczenicą. Zamieszkały nawet razem, nie rozstając się już z sobą.

Schludna jej izdebka ubrana była w pamiątki po jej Albercie. Na pierwszym miejscu wisiał jego portret, przez jakiegoś lubelskiego malarza zrobiony, bo fotografii wówczas nie znano, w hiszpańskim kostyumie.

— To w roli »Etlawota« — objaśniała pani Balbina. — Grał go na benefis w Lublinie. Mój Boże, co to była za uroczystość. Dostał wtenczas ten kosz z żywymi kwiatami; kwiaty zwiędły, ale koszyk został.

Łamałem sobie głowę, co to za »Etlawota« grał pan Albert i doszedłem, że to musiał być »Etelwood« z dramatu Dumasa »Katarzyna Howard«.

— A tu widzi pan tę szarfę! To pierwsza pamiątka, jaką mu dałam na jego imieniny. Biedny mój Albert!...

Mnóstwo gratów, gracików, wstążki, rękawiczki, krawaty, wszystko to zawieszone, okurzone codzień starannie. Widać było, jak kochała swego Alberta!...

* * *

Dawne trupy wędrownie w chwilach, gdy trzeba się było przewlec z jednego miejsca na drugie, osobliwie latem, miały dla nas urok czarodziejski. Nie było kolei, jechało się budami żydowskiemi. Dyrektor z takim żydem zawierał kontrakt, gdzie był warunek przewiezie-

nia nas w całości, ze wszelkimi utensyliami na miejsce. Jechało się wolno, nieraz tydzień i więcej. W lasach zbieraliśmy grzyby, a popasali zwykle w wioskach. Żyd z budami zajeżdżał przed karczmę, a my w poblizkiem polu, albo w lesie, gdy się znalazł przy drodze, rozbijaliśmy namioty, warzyli strawę i oddawali się uciechom.

Cóż to za rozkoszne wspomnienia!

W takiej to włości pani Balbina była nam matką, gospodynią, karmicielką, niby mitologiczna Cerera.

Ona skupowała żywność po wioskach, ona ją warzyła w kociołkach i karmiła zgłodniałych.

Ileż to uciechy! ile niewinnych psikusów płataliśmy tej poczciwej matce.

Mieliśmy komika-baryłę z tęgim brzuchem, wielkiego żarłoka i pijanicę. Ten to pan był sławnym ze swego przysłowia: »kompletnie!«, »otwarcie!«, którem przeplatał wszystkie role czy wierszem, czy prozą, zwłaszcza gdy mu wyrazu właściwego brakło.

Papkin naprzykład w »Zemście« :

»Bóg z waszmością, mój cześniku!

Pędząc cwałem »kompletnie«,

Zamęczyłem szkap »otwarcie«.

— Co ty pleciesz, zbój! — krzyczy dyrektor. — To wiersz Fredry. W prozie jeszcze ci wybaczam twoje: »kompletnie«, »otwarcie« — ale tu wara!

— Co mi dyrektor »kompletnie« powiada! Nikt na świecie wierszami nie gada.

Ten tedy »zbój« Fredrowskiego wiersza był utraeniem pani Balbiny, bo zawsze się pokazało, że nie dawał składki a pożerał za czterech. Jako rekompensatę musiał zbierać w lesie suche gałęzie na ogień.

Nasz amant nie należał do tej cygańskiej bandy i nie raczyłby nigdy dotknąć ustami strawy, którą warzyła. On, z głową owiniętą w fularową chustkę, aby

się nie opalić od słońca, z rękoma wiecznie w rękawiczkach, stawiał sobie samowarek i pił herbatkę.

Pani Balbina przeważała go aptekarzem, bo pachniał o dziesięć kroków perfumami, które sobie sam przyrządzał. Woził z sobą skrzyneczkę, pełną słoików i flaszeczek.

— Nie dla niego moja pocziwa strawa, ta bestya zepsuł sobie język »safandulą«.

— Asafetidą, pewnie pani chciała powiedzieć?

— Niech będzie. No, słuchajcie, co myślę wam na wieczór przyrządzić? (Musieliśmy nocować, bo szabas zaszedł). Kupiłam cielaka, już go tam maszynista teatralny oporządza.

— Wiwat! wiwat! pani Balbina!

— W górę panią Balbinę!

— No, no, obejdzcie się cygańskie wesele! Chodźcie! nazbieramy grzybów do tej cielęciny, a są tu znakomite, czuję »ich«.

I cała falanga posunęła za przewodniczką.

Nim usadowiliśmy się na furach, bywało zawsze dużo kłopotu, bo »ta« nie chciała jechać z »tą«, a »tamten« z »tamtą«; pani Balbina przecinała te spory niby Aleksander Macedoński. Uzbierała w lesie patyczków, porozkrawała je na połowę, biała strona stanowiła płec piękną, czarna — męską. Patyczki mięszało się i wysypywało razem z kapelusza. Przewaga płci decydowała i rozdzielała miejsca i wszystko było w porządku. Dopieroż szła jazda ze śpiewem przy akompaniamencie skrzypiec suflera. Ludziska stawali na drodze z rozdzielionymi gębami. Nieraz cała wieś wylegała, krzycząc:

— Cygany jadą!

Wtenczas pani Balbina wysiadała z wozu i tłómaczyła chłopstwu, czem to my jesteśmy, a argumentowała tak przedziwnie, że niejeden z estetyków nie zdobyłby się na taką jasność i prostotę w wykładzie; bo im do-

wiodła, żeśmy, ni mniej ni więcej, jeno apostołowie światła i dobrych obyczajów.

Na poparcie tego zaintonowaliśmy chórem: »Kto się w opiekę«. Chłopi pozdejmowali czapki i z nami razem śpiewali.

*

*

*

Był zwyczaj z dawien dawna w prowincjonalnych trupach, że na benefis trzeba było z biletami chodzić po domach i zapraszać publiczność. Czynili to mężczyźni i kobiety. Nie pominięto więc żadnego domu, w którego oknach były firanki. Okna bez firanek pomijano.

— Ja nie pójdę nigdzie — powiada pani Balbina. — Przyjdą, nie przyjdą — Bóg z nimi. Jam nie organista, żebym z opłatkami chodziła. Jam artystka.

Przedstawienie nie dopisało.

Pani Balbina świetnie grała Kogucinę w »Chłopach arystokratów« Anczyca.

Gdy skończyła rolę, odezwała się do publiczności:

— Bóg wam zapłać, łaskawi państwo, żeście przyszli na mój benefis. Powiedzcie tym, których tutaj nie widzę, że są niewdzięcznikami, ludźmi bez serca. Toć i dziadowi gdy odśpiewa godzinki przede drzwiami, daje się chleba kromkę, albo mówi się: Bóg zapłać...

I tu rozplakała się babina z żalu.

Ale chwilę tylko trwała ta gorycz w jej sercu, bo podniosła się kurtyna, wciągnęliśmy ją na scenę i ofiarowali złoty zegarek z łańcuszkiem.

— To od kolegów i koleżanek — mówię — ale, pani Balbino, schowaj ten czarny krzyżyk, którym się od nich zażegnujesz; widzisz przecie, że oni nie tacy okrutni, jak utrzymujesz.

— Oj, z pana to wielki figlarz! Niech wam Bóg zapłaci.

I znów się rozplakała.

Odtąd pani Balbina rosła i rosła w naszych oczach. Ta prosta kobiecina rozumiała doskonale nowe czasy i nigdy, jak to zwyczajnie starym, nie złorzeczyła im i nie wzdychała do dawnych.

— Niech tam co chcą gadają, dziś są daleko lepsi ludzie. W tem ci i postęp. Tylko sztuka jak gdyby mi troszeczkę zwietrzała, to niby tak, jak gdyby, otworzywszy butelkę szampana, gaz z niej uleciał. Starzy mieli więcej »fajeru«. Gałgany byli, niema co gadać, ale »zapamiętali«. Dziś są rozumniejsi i lepsi, ale chłodniejsi. Może to tak i dobrze. Jużci musi być dobrze, kiedy tak jest.

Nieoszacowana kobiecina! Ona żyła w czasach najwyższego rozbujania romantyzmu. Nowa literatura realistyczna trwożyła ją. Cóżby powiedziała, gdyby się doczekała czasów Bouboroschów, Paryżanek i Assomoirów?





MASZYNISTA

Dlaczego maszynista?

— Co tam w tym teatrze za maszyna, że potrzebują maszynisty?

— Jakto? nie widziałeś pan, jak dyabeł w »Fauście« zapada się pod ziemię? Czyjemże to dziełem! Maszynisty. A podnoszenie i spuszczenie kurtyny? A ustawienie dekoracji?

— I do tego potrzeba maszynisty?

— Potrzeba człowieka, któryby to wszystko potrafił, a że takiego przezwano aż maszynistą, to jest już przesada, zwykła w języku teatralnym.

Czy on posiadał jakie kwalifikacye tego, tak wielkiego fachu, o to nikt go nie pytał. Był to zwykle jakiś niedokończony rzemieślnik, najczęściej malarz pokojowy albo stolarz, który wlaź do teatru na statystę, nie mając żadnego zajęcia. Przypatrzył się, jak się to robi, i był już gotów. Zgłaszał się do dyrektora z wielką pewnością siebie i zostawał przyjęty za nędznem wynagrodzeniem. Czasem zdarzało się, że ów maszynista był prawdziwą »maszyną«.

Mieliśmy takiego, który wszystko umiał i wszystkiemu podołał. Dziwię się nawet, że nie robił pieniędzy.

Przedewszystkiem, gdyśmy świeżo przybyli do jakiegoś miasta, w godzinę niecałą zbadał, coby tu mogło mieć odbyć.

— Aha, ptaków dużo. Niema okna, żeby jakiś szczygieł, zięba, kos, albo kanarek nie wisiał w klatce. Trzeba robić klatki.

I w kilka dni ujrzano w mieście na targu niezliczoną ilość klatek rozmaitej budowy i konstrukcyi, które sprzedawała jego żona.

Klatki poszły wybornie.

Potem przyszła kolej na sandałki z drzewa, solniczki, pieprzniczki, cukierniczki.

Zdawałoby się więc, że jego specjalnością były wyroby z drzewa. — Gdzież tam!

W innem miejscu, przy pomocy żony, szył krakuski z barankiem dla dzieci, i ferezye.

Robił przedziwne wędki na ryby, podrywki, siatki.

Pokrywał dachy dranicami.

Roboty ciesielskie, krawiectwo, ślusarstwo — umiał wszystko.

A maszynerya w teatrze?

Szła tak dobrze, jak i inne rzemiosła.

Oto wystawiamy »Rinaldiniego«. Rzecz, która właśnie tylko co się pojawiła. Sensacya olbrzymia.

Potrzeba gór i lasów, starożytnych zamków, jaskiń, chat wiejskich.

On wszystko to stworzył z niczego.

O dekoratorach żadnych ani się jeszcze śniło.

Poodwracał dekoracye, na których były wymalowane salony, i na ich przeciwnej stronie namalował góry i skały — i jakie góry! Lasy były żywe. Oddychało się świeżą sosną i świerkiem, bo nasz maszynista przywioził drzewa z poblizkiego boru.

Gdy zabrakło płócien, wysadzał drzwi z zawias i malował na nich wieże zamkowe, które, w perspektywie ustawione, do złudzenia je przypominały.

Mając tyle robót na głowie, wszystko to tworzył na ostatnią chwilę. Pół godziny do zaczęcia, a on ma-

luje jeszcze. Zdarzało się też, że aktorowie ocierali się o świeżą farbę i na odzieży nosili ślady gór i zamków. Ale on i na to poradził, wynalazł bowiem mydło do wycierania plam i sprzedawał bardzo tanio.

Czasem z tego powodu dochodziło do zajść bardzo wesołych. Oto przed samem rozpoczęciem widowiska podał naszemu bohaterowi halabardę, świeżo pomalowaną na czarno. Ten ją porwał, wyszedł na scenę, aliści po chwili rozległ się hemeryczny śmiech pomiędzy publicznością, gdy wszystka farba z halabardy umazała ręce Makbeta. Wyleciał też, jak szalony, za kulisy, by zabić maszynistę, zamiast Dunkana. Ledwieśmy go uratowali, byłby w bohaterskich łapach (a miał potężne) ducha wyzionął. Skończyło się na tem, że czarna farba znalazła się kolejno na szyi i twarzy maszynisty.

Ta niefortunna scena była najokropniejszą plamą w jego zawodzie. Wspominał o niej często, ale jakże on miał zdążyć na czas pomalować halabardy, kiedy musiał wykończyć szopki dla chłopców, ponieważ Boże Narodzenie za pasem!

Pomysłowość i zabiegliwość tego człowieka, aby jaki grosz zdobyć, nie miały granic.

Gdy nie było roboty w teatrze, starał się zarobić na mieście.

Znał się na kopaniu studzien.

Gdzie była woda niedobra, narzucił się zaraz, że studnię oczyści, i robił to bardzo dobrze.

Naprawiał samowary i rondle, malował i dekorował pokoje, wprawiał szyby do okien.

Zegarek umiał rozebrać, oczyścić i złożyć.

Czego ten człowiek nie umiał!

Nazywał się z niemiecka Dornwald, choć nie znał nawet języka.

Chłop dobrze zbudowany. Niedużej głowy, ale regularnych rysów twarzy. Twarz ta mogła nawet ujść za

ładną, gdyby jej nie szpecił wyraz ciągłego zakłopotania. Wiecznie coś żuł w zębach. Było to siemię konopne. To żucie siemienia miało go uchronić od palenia i od picia. On umiał nawet nakładać hamulec na namiętności ludzkie.

Nigdy nie widziano go w szynku.

Ludzie z jego sfery unikali go, a on o nich, zdaje się, nie dbał, prócz tych, od których mógł coś zarobić. Nazywano go mechanikiem, co guziki leży.

Miał sześcioro dzieci.

Najstarszy syn chodził do szkół w Krakowie.

Młodszy zaś, mający lat dwanaście, roznosił afisze po domach i rozglądał się w nich, aby ojcu opowiedzieć, co widział.

Średni i najmłodszy grywali aniołków na scenie.

Z dwóch córek jedna, najstarsza, była za mężem, ślusarzem w Lublinie, młodsza, panna, zajmowała się krawiecczyną.

Wszystko to było czerstwe, zdrowe, dobrze odziane i dobrze karmione.

Matka, jeżeli nie pomagała ojcu, uczyła dzieci czytać i pracować, a potem je obszywała — to znaczy, że kupioną tanio przez ojca garderobę, przykrawała do ich wzrostu; bo przemyślny maszynista potrafił zawsze dobrze wytargować jakąś marynarkę znoszoną, surducik, paltocik albo inne części ubrania, czy to od aktorów, czy na mieście w porządnym domach.

Te dzieci maszynisty wyglądały jak dzieci każdego przeciętnego mieszczanina.

Podziwialiśmy go.

Przyszedł do mnie prosić o wypożyczenie książki jakiejś dla córki.

Podąłem mu ją.

Wziął w rękę i mówi:

— To się panu rozleci, trzeba oprawić.

— Jak się więcej zbierze, dam razem do oprawy.

— A co pan płaci za książkę?

— Rozmaicie.

— No, a za taką oprawę, jak ta oto?

Wskazał książkę, leżącą na stole.

— Trzydzieści centów.

— Ja panu oprawię za dwadzieścia.

— To i to Dornwald umie?

Rozśmiał się na całe gardło.

— A cóż to za robota? Te książki poprawia panu mój Władek, którego nauczyłem introligatorstwa, kiedy miał lat dziesięć. Dziś on już majster.

Przeżegnałem się.

— Jesteś zadziwiający człowiek.

— Zapatrzyłem się na panów. Wy udajecie różnych ludzi, a ja sobie powiedziałem, że się nauczę robienia wszystkiego. Niechno pan kiedy do mnie zaglądnie, zobaczy pan, jak to idzie robota.

Co mnie głównie zastanowiło w jego pracowni, to porządek i systematyczność drobiazgowa. Wszystko tam było na swoim miejscu. Nieduża izba była sypialnią, kuchnią, warsztatem; każde z nich miało wyznaczony kącik, w którym pracowało.

Introligator miał warsztacik, odgradzony jakimś parawanikiem, który sam sobie zbudował, ponaklejany żurnalami, obrazkami z ilustracyi niemieckich i francuskich, afiszami benefisowymi, fotografiami artystów teatralnych w rolach. Dowiedziałem się także, że prowadzi kronikę teatralną.

Pracownica igły siedziała przy oknie, zarzucona mnóstwem szmatek, spodnic, kaftaników, oraz wszelkiego rodzaju utensyliów kobiecych.

Matka pilnowała roboty przy piecu kuchennym, a dwoje malców skubało jakąś watę, czy coś podobnego, układając w systematyczne stosy.

Maszyna szła rażno od świtu do późnej nocy.

Dowiedziałem się, że nasz maszynista wychodził poza miasto w dni targowe i tam kupował żywność od chłopów i chłopek, jadących na targ, bajecznie tanio; że staczał formalne bójki z żydami-przekupniami, aby zdobyć jaknajtaniej żywność dla swego domu.

Gdy mu które z dzieci zasłabło, leczył go swoim sposobem, a miał lekarstwo na wszystko.

Człęk uniwersalny.

* * *

Wyjechałem do Warszawy i zapomniałem zupełnie o cudownym maszyniście. Czasem, gdym wziął do rąk książkę, oprawioną przez jego Władka, stawał mi jak żywy w pamięci. Ale wreszcie utonął wśród nawału zajęć i pracy.

W roku 1886 wracałem z żoną i dziećmi ze Szczawnicy. W Krakowie zachorował nam synek. Trzeba było wezwać doktora, posłałem więc z hotelu po najbliższego. Wszedł człowiek w średnich latach z krótko strzyżoną głową i brodą. Zbadał dziecko i zaopiniował przeziębienie z małemi objawami gastrycyzmu. Zapisał receptę, potem jął nas wypytywać o szczegóły pobytu w Szczawnicy, a w miarę tego przypatrywał się bacznie żonie i moim trzem chłopakom starszym, wałęsającym się po pokoju.

— Oni są anemiczni — zawyrokował doktor. — Powinni brać żelazo. Pozwoli pan, że im tu zapiszę pigułki mojego wynalazku. Dawać im dwa razy dziennie po pigułce.

Chłopcy, zdrowi jak ćwiki, poczęli się śmiać i przedrwiwać. To go zupełnie nie zraziło. Żonie zapisał jakieś krople na kaszel. Brał się nawet do mnie, ale mu wręcz oświadczyłem, że mam swojego doktora i temu tylko ufam.

Recepta urosła olbrzymio, a w miarę tego rozumie się i honorarium.

Doktor pożegnał się i oświadczył, że jutro przyjdzie dowiedzieć się o zdrowiu maleńkiego.

Rzuciłem okiem na podpis, ale nie mogłem nic z niego wyczytać, a że ten pan mnie zaintrygował, więc postanowiłem dowiedzieć się czegoś o nim od starego szwajcara, wielkiego gaduły i wszystkowiedzącego.

— To Dornwald, syn tego maszynisty, co to był przy teatrze.

— Syn maszynisty Dornwalda, co to był w swoim czasie przy teatrze?

— Ano tak. Pan z Krakowa dawno wyjechał, to nie wie, co tu przez ten czas działo się.

— Cóż się stało z tym maszynistą?

— Zabił się dwa lata temu. Spadł z rusztowania w teatrze.

— Więc to syn Dornwalda?

— A no tak. Pana to dziwi, przecie pan pamięta go. Jaki to był zbiegły, zapamiętał człowiek na zarobek. Toć to przecie ten, co wszystko umiał. Mechanik, jak go nazywali. Już postarzał się bardzo, a zawsze wlaź tam, gdzie nie trzeba, aby tylko grosz zdobyć. Chodził po strychach i łowił kuny, z których wyrabiał ładne futerka. Pewnej zimy wszystkie nasze panie zaczęły nosić kołnierzyki i mufki jego roboty.

I oto stanął, jak żywy, przede mną ów cudowny maszynista teatralny.

— To jego syn najstarszy? — pytam.

— Tak, to będzie bodaj najstarszy.

— A cóż z resztą dzieci?

— A no, siostra ma magazyn strojów damskich i trzyma mleczarnię.

— Mleczarnię i magazyn strojów?

— A jakże!

— No, a dalej?

— Drugi oto tu na Kleparzu ma fabrykę smołowej tektury.

— I co więcej robi? — pytam portyera, bom już odgadł, co oni wzięli po ojcu.

— I... czego on nie robi? Przecie to z profesyi garbarz. Miał, panie, garbarnię i szło mu dobrze, ale taka bestya chciwa, jak i ojciec nieboszczyk. Założył fabrykę obuwia, no i przyszedł ten krach... Pan wie... wiedeńskie buty zabiły wszystko. Teraz wyrabia tę smołową tekturę... i pono pudełka dostawia do sklepów.

— Aha, to mój intrologator.

— O, widzi pan, to także Dornwald — rzekł szwajcar, pokazując mi młodego człowieka, szybko biegnącego po schodach hotelu. — Idzie fryzować do numeru. Fryzyer, panie, damski, teatralny. A czem tam jeszcze kiedy będzie, to dyabli wiedzą, bo to również bestyjsstwo zapamiętałe.

— Nie lubicie ich?

— Ech, kto ich tu lubi? Za grosz każdy sprzedałby swego brata. Przecie jeden jest w Ameryce ajentem od emigrantów.

Więc ten biedny maszynista, który się tak troszczył o to, żeby te dzieci wychować, pozostawił im w spuściźnie swoją chciwość zysku; tylko, że gdy u niego była potrzeba, dla nich stała się namiętnością.





T R A G I K

Czy myślicie, że to bezkarnie można być Franciszkiem Moorem, Makbetem, Lirem, Hamletem? Że z tych tytanów zbrodni, nieszczęścia, ironii — nic w aktorze nie zostaje? nic się tam w nim nie pozrywa, nie pokrzywi i że gdy zejdzie ze sceny, zrzuciwszy maskę jednego z tych potentatów, to znowu jest sobie przeciętnym panem Józefem lub Antonim? To nieprawda. Huczą oni ciągle i burzą w jego duszy, a on nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, dlaczego w danych chwilach jest okrutnym, mściwym, czy też tkliwym lub sceptykiem.

Ofiarami tych jego straszliwych wybuchów po największej części bywają najbliżsi, a więc rodzina, albo przyjaciele i domownicy.

Oto pan Józef B..., tragic i ozdoba sceny wileńskiej, współkolega i nauczyciel Dawisona. Aktor potężnej miary. Nie zasłynął dlatego jedynie na innych polskich scenach, że się nie mógł pozbyć akcentu litewskiego. Prawdę mówiąc, pozbyć się nie chciał, owszem uważał go za prawdziwie czysto polski, a warszawski wydawał mu się prowincjonalizmem.

— Powiadacie, że ja śpiewam i przeciągam — bo-
daj was dyabli wzięli — toż to wy śpiewacie, wy cedzicie wyrazy, sfrancuziali warszawiacy. Ja ramię jak siekierą. U mnie czuć każdą sylabę, a u was wszystko wymuskane, zamazane.

Podśmiewaliśmy się z pana Józefa, co go w straszliwą wściekłość wprowadzało. Spluwał więc i wynosił się szybko, a my starali się na przyszłość unikać tego drażliwego tematu.

Miał syna i córkę.

Chłopiec chodził do szkół i ani mu był w głowie zawód ojcowski. Marzył o inżynierii, chciał budować koleje. Ojciec nie sprzeciwiał się temu, ale zdarzyło się raz, że Antoś wobec starego począł nicować aktorów i sztukę w sposób dosyć ojcu ubliżający.

Stary go przeklął.

— Ty padalcze plugawy! pomiecie moich wnętrzności, ty karbunkule mej krwi zepsutej! Żeby cię święta ziemia nie nosiła, bodajęś zmarniał, zczezł! Przeklęty! Przeklęty!

Dom się trząsł cały.

Pod tą litanią król Lir mógł się śmiało podpisać.

Chłopak śmiał się w kułak, nareszcie skulony uciekł z domu, bo napewno byłby odebrał straszne cięgi.

Pan Józef tak był tem zirytowany, że całą noc nie mógł zasnąć.

Kiedy się już rozwidniło dobrze i dzwonek z poblizkiego kościoła odezwał się, pan Józef, że był głęboko religijny, ukląkł, pomodlił się gorąco, ubrał się szybko, potem wszedł po cichu do pokoju syna.

— Antoś! wstań prędko.

Chłopak obrócił się na drugi bok i ani myślał o wstawaniu. Wiedział bardzo dobrze, że wczorajsza burza minęła i odczuł z głosu ojca, że się na coś innego zanoszą.

— Wstań! Słyszysz? — powtórzył ojciec ostro.

Tym razem wezwanie skutkowało. Antoś wstał.

— Co ojciec każe?

— Ubierz się prędko. Wyjdiesz ze mną.

— Dokąd?

— Zobaczysz.

Wyszli z domu. Ojciec poprowadził Antosia do kościoła, klęknął z nim przed wielkim ołtarzem.

— Boże dobrotliwy! Chrystusie miłosierny! Przebacz nieszczęśliwemu ojcu, że w chwili szału i zaślepienia rzucił klątwę na głowę tego biednego dziecka. Ty widzisz serce moje, o Panie! Nie racz go karać za winy błahe, przebacz krewkości mojej.

I łzy popłynęły jak groch po szlachetnej twarzy pana Józefa, i chłopak rozplakał się również.

Ojciec wziął go w objęcia i ucałował, Antoś przyrzekł, że już nigdy go nie zmartwi, i tak obaj, pokrzepieni na duchu, poszli do poblizkiej cukierni na śniadanie a potem na pozamiejską przechadzkę.

Pan Józef lubił niezmiernie takie sielanki, a wileńska okolica daje szczerze napawać się wspaniałymi widokami. Jakże miękkiem, jak czułym był ten ojciec, zdawało się, że go zamorfinowano tą czułością. Chłopiec poszedł do szkoły, a pan Józef wydobył rolę z kieszeni i studiował Müllera w »Intrydze i Miłości«. Jakże ją grał pięknie. Cały teatr miał łzy w oczach.

I było tego czas jakiś, dopóki nie przyszła rola, która zatargała »wnętrzem jego nerwów«, jak powiada Słowacki.

W takim usposobieniu, niechby go spotkał jakiś wielbiciel i pochwalił grę, to z pewnością otrzymałby zato zjadliwą odprawę.

— Co mi pan tu grzeczności będziesz prawił! Jam nie kobieta. Wam nie Makbetów i Lirów, wam jasełek lub fars plugawych trzeba, jak powiada Hamlet.

Córka miała zdolności duże, grywała bohaterki, ale nie była ładna.

Ojciec ją uczył.

Było to biedne, nieszczęśliwe stworzenie.

Pan Józef nie miał wcale cierpliwości i wyrozumienia pedagoga.

Wrócili oboje do domu po przedstawieniu »Barbary Radziwiłłówny« Felińskiego. Ojciec był zirytowany, bo nie lubił tych *fladrów*, (tak bowiem nazywał każdą sztukę klasyczną).

— Napisał bestya kilkadziesiąt tuzinów wierszy — i to ma być sztuka.

Grał Tarnowskiego, wykreśliwszy sobie samowolnie z roli większą część *fladrów*, rola naturalnie zmalała prawie do zera.

Gdy się w domu uspokoił trochę, panna Anna sądziła, że nadeszła pora, aby do ojca przemówić.

— Jakżem grała Barbarę?

— Tfu! tfu! tfu!

Splunął trzy razy i to była jego odpowiedź.

Biedna dziewczyna gorzko zapłakała.

I tak było zawsze.

Tę córkę miał pan Józef na sumieniu.

Wszyscy dla niego dobrze grali prócz niej.

Dla dziecka swego był surowy, nieubłagany.

Dziewczyna nie miała matki, aby przed nią wypłakać swoje bole. Ojca bała się straszliwie. Nie mogła długo wytrzymać w takim życiu. Otruła się.

Pan Józef rwał włosy z głowy nad jej zwłokami.

Był on także reżyserem teatru. Jeżeli dotąd był surowy i wymagający, to ze śmiercią córki stał się prawdziwym tyranem.

— Czemu pani tak przewracasz oczyma, jak w konwulsjach?

— Ależ, panie reżyserze, mam w informacyi, że rzucam na niego oczyma.

— Inna jest rzucić okiem, czy oczyma, a inna wywracać, żeby białka było widać. Koczkodony!

Pani R. rozplakała się, ale tak wielką była powaga pana Józefa, że się usunęła, otarła skrycie oczy i próbowała dalej.

Przyjechała na występy do Wilna głośna wówczas artystka lwowskiego teatru. Grała Lady Makbeth. Pan Józef na próbie stanął przed budką suflera i walił się pięściami po twarzy.

— Dlaczego?

— Bo nie mogę jej.

Innym znów razem próbują »Hamleta«. Młody, zapalony aktor recytuje całą rolę z drobiazgowością skapca, aby nie uronić jednego wyrazu.

— Co pan tu odczyt dajesz, czy chcesz grać »Hamleta?« Dawaj pan ołówek.

Chłascze mu większą część.

— Panie reżyserze, to Szekspir!

— To są duby smalone, nie Szekspir. Człowieka pan daj, nie wyrazy, a człowieka w grze pańskiej niema odrobiny. Nie wart pan jesteś butów Hamletowi czyścić. Precz! Niema Hamleta.

Trzasnął egzemplarzem, że się kartki rozleciały w powietrzu, i wybiegł wściekły.

Był w usposobieniu Samsona i gdyby mu na drodze stały jakie kolumny, pewnie rzuciłby je na głowy ludziom.

Drużyna komedyantów już nie mogła sobie dać z nim rady.

Na szczęście nadszedł dzień imienin pana Józefa.

W dniu tym rok rocznie winszowano mu i obdarzano upominkiem.

Zeszliśmy się wszyscy i znaleźli go ponurym, jak mierzył energicznie krokami swój skromny pokój.

Złożyliśmy mu życzenia i ofiarowali skromną pamiątkę. Była to kopia znanego obrazu Kaulbacha, gdzie to anioł unosi się w przestworza, niosąc duszyczkę, a na grób jej na padole sypie kwiaty.

Pan Józef wziął obrazek, popatrzał nań chwilę, a potem załkał tak gwałtownie, żeśmy się obawiali, czy

mu piersi nie pękną. Usunął się na krzesło, zakrywając twarz rękoma.

— Uratowany! — szepnęła pani R., spoglądając na nas tryumfująco. Wiedziałam, jakiego mu potrzeba lekarstwa.

Starzec się podniósł, cały drżący, i jał nam dziękować gorąco i przepraszać za wszystkie krzywdy.

— Albo my mamy jaki żal do pana, myśmy tylko bali się, znając naturę pańską, abyś sobie co złego nie zrobił. Ale teraz już wszystko dobrze.

I w istocie, szlachetna natura pana Józefa była jak stal hartowna; gięła się, ale złamać nigdy nie dała. Po strasznych burzach i szarpaniach tragicznych zająśniał promyk słońca, który go w liryzm przyoblekał. Była to arfa, na której strunach brzmiały wszystkie ludzkie uczucia.

* * *

Kiedy przyszło zamknąć teatr, rzesza aktorów pozostała bez zajęcia. W owych czasach nikomu nie śniło się zakładać bratniej pomocy, albo kasy pożyczkowej. A gdyby się był znalazł taki dziwak, wyśmiano go z pewnością.

Byłem świadkiem, jak sprzedawano naprzód sprzęty, potem garderobę, a wreszcie, gdy nie miano nic do sprzedania, wyciągano dłoń żebraczą.

Pewnego chłodnego rana na jednej z najludniejszych ulic ujrano starca z białym, rozwianym włosiem, w wytartym szlafroku, przepasanym jakąś szarfą jaskrawą. Gromada przechodniów go otaczała.

— Patrzcie! patrzcie! dziwcie się! — wołał. — Poznacie we mnie Hamleta, królewicza duńskiego? Poznacie Karola Moora, Don Cezara, a wreszcie króla Lira? To ja, Józef B. Ten, który was bawił i rozrzucał przez pół wieku, wyciąga rękę żebraka, bo umiera

z głodu wraz z dziećmi. No, cóż? to prawda, dotykalna prawda. Wszak widzicie, że nie gram komedyi, drzę z zimna i głodu. Czy nic nie dacie? Za głupio wziąłem się do tego, nie umiem dobrze prosić — prawda? Poczekajcie, wezmę parę lekcji od żebraków z pod kościoła, a wtenczas zobaczycie, jak wam znakomicie zagram moją ostatnią rolę.

Tłumy uliczne rzeczywiście patrzyły jak na starego komedyanta. Czekwały jakiejsz niespodzianki, jakiegoś *coup de théâtre*, co starego przyprowadzało do ostatniej wściekłości.

— Ha! wy niegodne dusze, więc rzeczywiście chcecie, abym wam tu zagrał jakiś wyjątek, jakiś monolog wygłosił? — słowem chcecie, żebym zarobił na ten kawałek chleba, który mi jak psu rzucicie? A zasługi? Niema u was zasługi? Śmiej się, płacz, histryonie, dopóki ci piasku na oczy nie nasypią. Bogdaj was gromy trzasły! No, dacie, czy nie dacie jałmużny?

Tłum się śmiał, starzec szalał. Szczęściem nadszedł dobry przyjaciel i uwiózł zrozpaczonego.

W kilka dni później jechał do Warszawy, z polecającym listem do jakiegoś mecenasa, aby mu ofiarował posadę. Dano mu ją w bibliotece.

Miało to być niby wędzidłem na wrzący jego temperament.

Gdzież tam. Pan Józef miał wstęp wolny do teatru i tam przeżywał wraz z artystami, grającymi to wszystko, co mu niegdyś gorzało w duszy.

Widywano go często na owej historycznej ławeczce, słyszano, jak dowodził i spierał się z recenzentami.





K O S T Y U M E R

Były to nie tak dawne jeszcze czasy, kiedy u nas bez żyda nic się nie działo. Żydzi musieli być wszędzie, więc i w teatrze ich nie brakło. Mieliśmy żyda rekwizytora, faktora, dostawcę, fryzyera, a nawet kasyera i wreszcie kostumera.

Był to żydek lat trzydziestu kilku, z dziwnie sprytnymi oczyma, o szczerym uśmiechu, o czarnej bródce i włosach, semickim profilu, chudy, wysoki, ze spiczastymi ruchami, którymi kłół, niby igłą.

Nazywał się Ejzyk Blacharz. Był krawcem na Kazimierzu. Dlaczego ten krawiec nazywał się blacharzem, tego nie mogliśmy nigdy dociec, bo i on sam nie umiał nam tego wyjaśnić.

— Co to panu szkodzi, że ja się nazywam Blacharz, kiedy mój pradziadek jeszcze był krawcem? Ja się nazywam Blacharz, a jestem krawiec... nu!

— Ty jesteś taki krawiec jak i blacharz.

— Niech ja będę blacharz czy krawiec, byleś pan jutro był dobrze ubrany. *Sy git?*

— Więc jak nas jutro ubierzesz?

— Niech pana o to głowa nie zaboli, ja już pytał pana reżysera. To jest niemiecka sztuka, to będzie *kleid*.

— Ależ, blacharzu! w tej sztuce muszą być kostiumy hiszpańskie.

— Nie zawróć pan głowy! To jest sztuka od pana Szylera, tego co zrobił »Zbójcy«, »Intryga i miłości« — to musi być *kleid*.

Ten *kleid* był ulubionym kostyumem Ejzyka. Był to rodzaj rajtroka z szerokimi długimi połami, z kieszeniami po bokach, przykrytymi dużymi klapami, wązkim kołnierzem, świecącymi guzami na jeden rząd i szeroko wywiniętymi mankietami.

— Wiedźże o tem, że pan Szyler, choć Niemiec, zrobił hiszpańską sztukę, która się dzieje w Hiszpanii i nazywa się »Don Karlos«.

— A wiele tam ludzi w te sztuke?

— Dwadzieścia kilka.

— To nie może być, my mamy tylko trzy kostyummy hiszpańskie. A może tam są i Niemcy?

— Niema Niemców.

— Nu, co to szkodzi, to Niemców przerobić na Hiszpanów. Ja *kleidy* obszyję galonem, pozakładam poły i będzie hiszpańskie kolety. *Sy gił?*

I tak graliśmy »Don Karlosa«.

Jeden tylko pan W., grający króla, był ubrany portretowo, bo kostyum uszył sam sobie, przy pomocy żony, wyglądał też jak paw między szaremi gęśmi.

A kobiety?

Kobiety zawsze wyglądały powabnie. A jedyną hiszpańskością były kryzy, które sobie poszyły.

Takich kostyumerów, jak Ejzyk, miały wszystkie prawie nasze teatry.

Czy odczuwano wówczas potrzebę jakiejś zmiany na lepsze, przekonamy się.

Graliśmy »Królowę Jadwigę«.

Króla Jagiełłę i całe jego otoczenie poubierał Ejzyk w kontusze i konfederatki.

Publika była zachwycona. Gazeta trąbiła, że wystawa była świetna.

Tak samo nas ubierano w »Barbarze Radziwiłłównie«, w »Tęczyńskim«, w »Czarnieckim« i t. p. sztukach. A sztuk tych polskich domagała się publiczność gwałtownie. Ejzyk szył kontusze i konfederatki; wyszydzany przez nas, pogardzany, ledwie że nie bity.

— Te aktory, co to za ludzie! — mawiał Ejzyk — czego oni chcą? Ja wiem jeszcze od mojego dziadka, że król Łokietek, Jagiełło, Batory, Czarniecki, Sobieski były Polaki, a Polaki jeno w kontusze i konfederatki chodzili.

On sobie Polaków inaczej wyobrazić nie mógł.

Tak samo było z innymi narodami. Francuz, czy to za Karolów, czy Henryków, miał zawsze strój Ludwika XVI.

Nigdy nie zapomnę »Belizaryusza«, gdzie Ejzyk chciał nas poubierać koniecznie po turecku.

— Co pan chce? Przecie to w Konstantynopolu! Ja bardzo dobrze wiem, że tam były i są Turki.

Sam pan reżyser nie był od tego, aby nam dać turbany, dopiero jeden z literatów objaśnił, że powinny być stroje rzymskie.

Nadszedł nareszcie dla Ejzyka dzień prawdziwego tryumfu. Mieliśmy grać dramat z czasów Stanisława Augusta, pod tytułem »Listopad, czyli Bracia Strawińscy«, przerobiony z powieści Rzewuskiego przez Jana Nepomucyna Kamińskiego.

Dyrekcya ogłosiła *urbi et orbi*, że do tego dzieła sprawia nowe kostyumy.

— Zabieraj się Ejzyk do roboty i pokaż światu, jak się ubierali Polaki — mówi dyrektor.

— Ja pokażę.

I rzeczywiście pokazał kontusz ostatniej doby.

Okrzyknięto, że nikt tak nie umie uszyć kontusza, jak Ejzyk. A był to czas, kiedyśmy się po polsku nosić zaczęli.

Ejzyk nie mógł nastarczyć.

Przeniósł się z Kazimierza na ulicę Grodzką, i wywiesił szyld:

»Izaak Blacharski«.

* * *

Opuściłem Kraków, by po kilku latach znowu do niego powrócić.

Zmieniły się czasy.

W dziedzinie sztuki zajaśniał geniusz, który nas miał nauczyć, jak to się ubierali dziadowie nasi. Jedną z jego wspaniałych prac były »Ubiory w Polsce«.

Zjawił się także i pisarz, który dał nam próbę prawdziwie historycznych dramatów. Był nim Szujski.

Dawniej Ejzyk, a dziś pan Izaak Blacharski, porzucił teatr, jako mało intratny interes, bo teraz sklep krawiecki szedł mu świetnie; mimo to nie zapomniał o tem, co go postawiło na nogi i czy to przez wdzięczność dla tego kontusza, czy też uporem żydowskiej natury, postanowił oddać się kostyumologii z całym zapalem. Gdy go odwiedziłem, pokazał mi z tryumfem: *Kostüm-Geschichte*, a »Ubiory« Matejki kolorowane wisiały oprawne na ścianie.

— Widzi pan, teraz ja wiem, co pan chciał ode mnie, ale ja byłem za głupi na to, a pan mi też tego dobrze wytłómaczyć nie umiał.

— No i czemuż Ejzyk nas teraz nie ubiera?

— Przepraszam pana, niech pan mnie teraz nazywa Blacharski.

— Niech będzie Blacharski.

— Widzi pan, ja jestem taki człowiek szczery, który robi to, co mu sumienie każe. Dawniej ja tak robił, jak mi sumienie kazało, bo ja myślał, że to jest dobrze; a dziś ja bym robił tak, jak myślę, że powinno być zrobione. Nu, a ktoby mi zato zapłacił? Oni teraz mają

krawca wojskowego. Nu, a co on wie? Oni mu dają rysunek, ale albo on robi podług rysunek? — on robi po swojemu.

— Zawsze jest lepiej, niż było.

— Lepiej nie lepiej, bo dziś są duże wymagania a środków nie przybyło na to. Panie! ja byłem w Wiedniu i Berlinie. Jak tam wystawiają sztuki! Panie, żeby u nas był taki teatr! Panie! jak mnie pan żywego widzi, jabym największe ofiary poniósł. Panie! jabym jadł suchy kawałek chleba!...

Żyd się zapalał tak, że myślałem, iż dostanie ataku apoplektycznego.

— Ale co to pomoże, co to pomoże — rzekł po chwili, uspokajając się. — Taki teatr w Krakowie potrzebowałby sto tysięcy subwencyi, jak mnie pan tu żywego widzi.

Przed każdym obrazem Matejki Ejzyk stał całemi godzinami.

— Panie! Patrz pan, jak to malowany ten atlas, ten aksamit. Skąd ten człowiek to bierze? A jakie to ludzie na tych obrazach! Takie ludzie musieli się tak ubierać... i to jest prawda.

Była to najlepsza krytyka, jaką kiedykolwiek o obrazach Matejki słyszałem.

* * *

Zjawił się teatr meiningencyków.

Ejzyk pojechał do Lipska, żeby go widzieć.

— Panie, panie! Wie pan, co ja panu powiem? To jest waryactwo, wierz mi pan. Poznałem ja tego pana Kronnecka. Jak mu powiedziałem, że ja byłem przy teatrze, to on mnie zaprowadził do składu i pokazywał wszystko. Ale to jest waryactwo. To się długo utrzymać nie może. Ten książkę całe księstwo swoje puści na to i nic nie robi... To jest za dużo!... *Aj waj!* Co tu ga-

dać! Jak ja sobie pomyślę, czem my jesteśmy! No, panie, jaka to *skala*? co? Dlaczego na świecie są takie przeciwieństwa? Jedni mają póty, a drudzy nic?

I tu Ejzyk uderzył ręką w stół, tak, że myślałem, iż na dwoje go rozwali.

Polubiłem serdecznie Ejzyka i bywałem u niego częstym gościem, a nawet zacząłem się u niego ubierać.

Żydowstwo powoli z niego opadało, w miarę, jak się kształcił. Nie obchodził już szabasów i jadał w restauracjach katolickich. Zapraszał mnie często do Hawelki, a gdy syn jego, technolog, ochrzcił się, i on poszedł w jego ślady, napisawszy na szyldzie:

»Antoni Blacharski«.

* * *

— Widzi pan i ja tu jestem!

Popatrzałem na starca o białych jak śnieg wąsach.

— Pan Blacharski?

— Poznał mnie pan przecie! Mówiłem panu nieraz, że przed śmiercią muszę zobaczyć Warszawę.

— No, i jakże się panu wydała?

— Wie pan, prześliczne, okazałe miasto. Nie wyobrażałem sobie.

— Bo wy zawsze do Wiednia ciągniecie.

— No, wie pan, do Wiednia łatwiej się dostać. Byłem wczoraj w teatrze.

— A co to było wczoraj? Aha, »Dzwon zatopiony«.

— Wiesz pan co? ja tę sztukę widziałem w Berlinie i powiem panu, że mi się tu lepiej podobała.

— Chwała Bogu.

— Bardzo ładnie! Wiesz pan, co? Jak widzę taką sztukę, tak graną i tak wystawioną po polsku, to mi się dusza raduje.

Uścisnąłem serdecznie pana Blacharskiego.

Popatrzał na mnie zażawionym wzrokiem.



— Aj, panie, panie! Pamiętasz pan tego głupiego Ejzyka, co was stroił ciągle w konfederatki? Ach, gdyby to te czasy wróciły, ale rozum dzisiejszy pozostał.

— A jak się panu powodzi?

— Chwalić Boga, dobrze. Warstatu już nie prowadzę, odstąpiłem go zięciowi.

— Musi się panu przykrzyć?

Uśmiechnął się, przymrużył oczy, patrząc filuternie.

— Przykrzyć — nie. Wie pan, co ja teraz robię? Politykę.

— I pan?

— A co u nas robić? To mnie rzeźwi. Ja już mam taką naturę...





K O M I K

Wielu ich znałem, każdego gnębił jakiś robak smutku. Dopóki był na scenie, śmiał się, błaznował nieraz, rzucał humorem jak racami, lśniło się to wszystko, żarzyło, błyskało; gdy się znalazł sam z sobą, zalewał swego robaka, co mu wewnątrz wyjadał. Pił.

Zdawałoby się, że człowiek taki, do którego się wszyscy śmieją, który tylko sięgnąć potrzebuje, aby mu dano, czego zapragnie, powinien być najszczęśliwszy.

Niestety! — Im większa suma powodzenia, tem głębiej smutek zalewał ich dusze, tem zjadliwiej czerw toczył ich serca. Ci komiccy byli tragiczni.

Tym czerwem były aspiracye nigdy nie pochwytnie przez nich, nigdy nieziszczone.

*

*

*

Było to w trupie Chełchowskiego.

Pan Adolf S., niedawno występujący aktor, grał w komedyi Fredry »Nikt mnie nie zna« głupiego Kacpra. Stworzył typ. Czegoś tak komicznego, a jednak z całą prawdą odczutego, jeszcze lubelska scena nie widziała. Jednoaktówkę musiano przyczepiać do każdego przedstawienia, bo publiczność pragnęła się śmiać. Na innych komedjach i dramatach ziewano, a czekano tylko na »Nikt mnie nie zna«.

— Musisz być kontent z siebie? — powiada dyrektor do młodego aktora.

— Wcale nie. Niech mi dyrektor da rolę, gdziebym mógł całą moją duszę włożyć.

— Jakiejże chcesz roli?

— Franciszka Moora.

— Ty, koczkodonie jeden! W głowie ci się przewróciło. Wielkie powodzenie już cię oszołomiło. Masz tutaj szewca w »Gałganduchu«. Pracuj i pokaż im coś więcej, niż głupi Kacper.

Pan Adolf wziął rolę niechętnie i wyszedł struty od dyrektora.

To był pierwszy pocisk. Pracował wściekły nad szewcem, chciał go grać »pod psem«, chciał zepsuć rolę po prostu. Ale gdzie tam! Tylko się pokazał na scenie, zagrzmiały oklaski frenetyczne. Był tak komiczny, że ryczano ze śmiechu. I znów »Gałganducha« powtarzano bez końca.

Dyrektor był kontent, podwyższył gażę i osypywał pana Adolfa grzecznościami.

Pan Adolf zaś korzystając z dobrego usposobienia dyrektora, rzekł:

— Kiedyż dostanę tę rolę?

— Jaką?

— Franciszka w »Zbójcach«.

— Tyś jeszcze nie zapomniiał?

— Nigdy nie zapomnę.

— Niechże cię dyabli wezmą! Tu, w Lublinie, nie chcę narażać na szwank twojej, tak sprawiedliwie zdobytej, sławy. Gdy wyjedziemy do Radomia, dam ci zagrać Franciszka.

Pan Adolf uśmiechnął się tryumfująco.

— Więc moją, sprawiedliwie zdobytą sławą będzie Radom.

— Zobaczymy.

Chełchowski był sprytnym dyrektorem. Mając tak wybitną siłę komiczną, nie chciał jej narazić. Wymyślił więc arcywyborny koncept.

Wiadomo, że w »Zbójcach« dwaj bracia nie schodzą się z sobą nigdy. Sceny zbójckie odgrywają się zupełnie samodzielnie, nie łącząc się ze scenami w zamku hrabiów Moorów, jak gdyby odgrywały się dwa odrębne dramata. Pan Adolf, zachwycony, przybył na pierwszą próbę. Dyrektor po dwóch szepleniących słowach już wiedział, co to będzie za Franciszek. Gdy niefortunny aspirant skończył swoją scenę, dyrektor wziął go pod rękę i zaprowadził do kancelaryi, wymyślając jakiś interes — tymczasem próbowano scen zbójckich. I tak trwały te próby, dopóki sztuka nie była gotowa. Pan Adolf nigdy nie widział scen Karola Moora.

Podnosi się kurtyna, publika zaczyna się podśmiewać zaraz przy pierwszych scenach. Zmieszało to trochę naszego komika, więc bierze na kiel i w miarę, jak się sady na czarny charakter, śmiech rośnie, aż przy końcu wybucha.

Kurtyna zapadła po pierwszym obrazie. Chełchowski bierze pana Adolfa na stronę.

— Nic, kochanku, niech cię to nie zraża, graj z coraz większą siłą.

Pan Adolf gra, jak wszyscy dyabli, do końca. Czekają już teraz za kulisami i patrzy na scenę zbójcką.

— Co to jest? jak oni gadają? Przecież to nie »Zbójcy« Szyllera. Widzi, jak Karol Moor przebija Amelię, potem zbójców po kolei, którzy się kładą jak baranki; wreszcie przebija siebie i nakoniec, o zgrozo, sufler wyłazi z budy i przebija się świecą.

Kurtyna zapada i *finita la comedia*.

Publika ryczy ze śmiechu i przywołuje aktorów.

Pan Adolf był blisko omdlenia. W głowie mu huczało straszliwie, omal nie dostał obłądu.

Chełchowski wyciął mu sztukę i dał parodyę »Zbójców«, znaną powszechnie. Tajemnica była tak doskonale strzeżona, że zacietrzewiony pan Adolf dowiedział się o niej dopiero przy końcu.

Wściekłość i oburzenie jego nie miały granic. Tej samej nocy opuścił Chełchowskiego na zawsze.

* * *

Za posag żony założył własną dyrekcję.

Grał wszystko, nawet amantów.

Jego wielki talent i intuicja nie potrafiły jednak pokryć braków i ułomności fizycznych.

Duża głowa na małej figurce. Twarz satyra z szepłeniącą wymową, wypukłe plecy — oto czem go udarowała natura. Miał wprawdzie piękne, rozumne oczy i czoło myśliciela, ale dwie silne zmarszczki pomiędzy oczyma pokazywały wyraźnie, że w tej czaszce tkwi nie-przeparty upór.

Jakież bo on walki staczał.

Przedłużał swoją postać.

Sam robił buty z podwójnymi podeszwami i wysokimi obcasami. Przedłużał sobie głowę za pomocą podwatowanych peruk, które robił przedziwnie. Figurę ścisnął gorsetem. Szył sobie garderobę, aby wszystkie braki zatuszować. Pracownia jego była istnem muzeum, do którego wejścia strzegł zazdrośnie. A cóż dopiero powiedzieć o pracy nad wymową! Słyszano, jak powtarzał po kilkadziesiąt razy jeden wyraz. Okresy całe powtarzał na rozmaite tony, a dodać jeszcze trzeba, że nie miał ucha muzycznego. I wszystko to szło na marne. W poważnej sztuce wyszła zawsze karykatura.

Gdy się tak uznoił i namęczył, puszczał się w farsie jakiegś albo lekkiej komedyi i tu dopiero dawał koncert humoru, jak gdyby się chciał odbić za wszystkie niepowodzenia w dramacie.

Wśród takich to walk i szamotań trafił wreszcie na poważną rolę, w poważnej sztuce, i ta stanowiła klejnot w jego repertuarze.

Na teatrze grodzieńskim stracił wszystko, wybrał się na gościnne występy do Warszawy.

Poprzedziła go sława znakomitego komika. Wówczas nie pisano tyle o aktorach, zwłaszcza prowincjonalnych, a jeżeli o którym wspomniano, czyniono to już pod naciskiem opinii.

Wybrał sobie na debiut rolę hrabiego Zbickiego w »Damie i dziewczynie« Korzeniowskiego.

Byłem wówczas w szkole dramatycznej. Na próbach, w których i ja uczestniczyłem, grając jednego z panów, poznałem naszego gościa. Sprawił na nas wrażenie dobrodusznego pocziwca, który trzech zliczyć nie umie, gadał swoją rolę przez zęby tak, że mało co z niej zrozumieć można było. Artyści przedrwiwali go po kątach, uśmiechali się szyderczo i już widzieli potężne *fiasko*. Niektórzy znów oburzali się, jak można było pozwolić na debiut i dopuścić do skandalu, jaki niewątpliwie wisiał w powietrzu. Reżyser ruszał ramionami i umywał ręce, niby Piłat, mówiąc: »Ja zato nie odpowiadam, to jego rzecz«.

Nadszedł wreszcie dzień reprezentacji. Godzina szósta, o której gorliwi zaczynają się schodzić do garderoby — debiutanta niema. W pół do siódmej, kiedy przychodzą opieszali — niema. Godzina siódma, maruderów — niema.

Niepokój, tryumf, śmiechy, stchórzył! Przeląkł się *fiaska*. Zacieranie rąk, drwiny głośne i t. p. Reżyser posyła po aktora, grającego tę rolę, aby zastąpił debiutanta, ten odmawia.

Zmiana widowiska. Bije godzina w pół do ósmej, orkiestra gra i równocześnie zjawia się za kulisami jakaś postać w pudle na głowie, z wyciętymi jamami na

oczy, z otworem do oddychania, niby jakaś maska stalowa. Pytają:

— Kto to?

— To ja, Adolf S. — odpowiada figura — czekam na moje ostatnie słowa, proszę zaczynać.

Inspicyent strwożony daje znać reżyserowi, reżyser przybiega i żąda zrzucenia pudła.

— Jak będzie czas, to je zrzucę — odpowiada. — Niech pan każe zacząć sztukę.

Zaczynają. Po kilku scenach ma wejść hrabia Zbicki... i wchodzi rzeczywisty hrabia Zbicki.

Tej chwili, póki żyję, nie zapomnę. Była to postać, godna uwiecznienia w kamieniu. Korzeniowski za ledwie mógł zamarzyć o takiej figurze. Publika i aktorowie zdumieli, ujrawszy tę mistrzowską charakterystykę, pod którą człowiek gdzieś się schował. Lavateur wziąłby go do swoich studyów, a frenolog zdumiał nad tą czaszką. Głowa to była męska, łysa, długa — czoło pełne rozumu, figura garbatego przepyszna, najmniejszy szczegół ubrania nieprzepomniany. Ręce długie, mowa, gest złożyły się na tak harmonijną i oryginalną całość, że stanowiły typ, jakiego się nigdy nie zapomina.

Pan Adolf S. grał do końca przepysznie, z akcentem prawdy niezmiernej i z tym szlachetnym realizmem, jakiego jeszcze dotąd na scenie warszawskiej nie widziano. Wzruszał i roztkliwiał.

I publiczność i krytyka były zachwycone.

Pan Adolf wypłatał sztukę *a la* Chełchowski — nie nadarmo u niego terminował.

Był to więc jedyny jego tryumf w poważnej roli. Wszystkie ujemności natury zamieniły się w tej sztuce na dodatnie. Zdaje się, że takie zmierzenie swoich sił powinno mu dać naukę już na resztę życia. Tak się nie stało. Nieprzeparty jego upór począł mu podszeptwać myśli złowrogie.

— Skoro te wszystkie braki, jakimi mnie uposażyła natura, tak doskonale się nadały do tej roli, to czemużbym nie miał znaleźć drugiej i trzeciej, gdziebym mógł wyjść zwycięsko? Spróbujmy! oto »Ryszard III« Szekspira. Garbaty, potworny, kuternoga. Wybornie. Trzeba zagrać »Ryszarda«.

I zagrał. Zapomniał tylko o jednej rzeczy, że Ryszard był demoniczny, ale nigdy śmieszny.

Tak później było z Mefistofelem, z Wojewodą Słowackiego, z Miecznikiem i wielu innymi, których tu nie będę wyliczał.

Publiczność nie sykała, przebaczała mu te wybryki dla jego świetnych kreacyi w komedyi, ale chłód jej zamroził już na zawsze aspiracye pana Adolfa.

Począł pić straszliwie.

Nie widywano go w domu, ani w teatrze po kilka tygodni, ale zato nocą, na ulicach spotkać można było małą figurkę, zataczającą się od ściany do ściany, mrużącą jakieś przekleństwo.

Gdy żona wreszcie zamknęła go w domu, wypił jej wodę kolońską, a potem po sznurze uciekł z trzeciego piętra.

I tak bywało przez lat kilka.

Z wiekiem, gdy już sił zaczęło braknąć, zginął humor i pamięć znikła.

Pan Adolf patrzył smutny na rywala, młodego M., który pomału obejmował jego rolę, grał je dobrze i werwy komicznej miał wiele; ale ten pan M. nie kochał sztuki, nie była ona, jak jemu, całym światem. Pan M. przepędzał czas w wesołych towarzystwach, które bawił. Przychodził na próbę, podcięty nieraz dobrze, a roli nigdy nie umiał.

Zabiło serce mocniej w starym orle, który sobie opalał skrzydła wprawdzie, ale w słońcu. Poczul jeszcze siły i dalejże z niemi na scenę.



Grał jak za czasów młodości. Publiczność, wdzięczając się za to, darzyła obojętnością jego rywala, który już tylko w knajpie kuł niesmaczne koncepta i drwił z pana Adolfa.

Doczekał wreszcie jubileuszu, uczczono go uroczyscie, ale nie mógł doczekać emerytury.

Umierając, wyrzekł bolesną skargę:

— Dlaczego mnie los tak pokrzywdził?

Nie emerytury żałował z pewnością, bo ukochał tylko sztukę, ale tych zawodów wszystkich i nie ziszczonych nigdy pragnień.





KAPELMISTRZ

Muzyka bierze człowieka całego tak, że zwykle bywa stracony dla praktycznego, powiedziałbym, życia, a staje się jej sługą, jej kapłanem, jej czcicielem aż do fanatyzmu, aż do obłądu. Myśli tonami, mówi tonami, żyje tonami, śni o tonach.

Poza światem muzyki nic dla niego nie istnieje. Mówię tu o organizacjach wyjątkowych, obdarzonych talentem. Zdarzają się wprawdzie muzycy, którzy umieją się znaleźć trzeźwo w życiowych warunkach, ale ci należą do wyjątków.

Mieliśmy takiego muzyka-fanatyka w naszym teatrze. Nazywaliśmy go kapelmistrzem albo kapelmajstrem. Dyrektorami zowią ich w większych teatrach. U nas był dyrektorem tylko ten, kto nam płacił gażę. Ten tedy kapelmistrz był sobie młodzieńcem dość powabnym o długich blond włosach i takieje brodzie. Jego jasne niebieskie oczy patrzyły mile i słodko, ale gdzie, tego nie mógłbyś nigdy zgadnąć. Rozmawia z tobą, zdaje się słuchać z wielką uwagą, a przecież te oczy kłam zadają. Gdyś skończył albo tylko zawiesił swoją mowę i czekasz odpowiedzi, potwierdzenia lub jakiegoś słówka z jego strony, usłyszysz zamiast tego jakiś fragment, jakiś urywek melodyi albo tryl.

— O czym pan myśli, panie Stanisławie?

— Co? A tak, tak! Słucham uważnie. Masz pan słuszność.

Cóż z takim gadać?

Na ulicy nie widział nigdy nikogo. Dopókiś go nie wziął za rękę i nie powitał, przeszedłby z dziesięć razy obok ciebie.

Trzeba go było widzieć, jak pędził po bruku wśród błota i kałuży, nie zważając na ruch miejski i kręcące się wozy i dorożki.

Twarz uśmiechnięta, na ustach jakaś melodia. Ru-szał czasem głową do taktu.

Gdy go raz spytano żartem, jak daleko z Krakowa na Bielany, odpowiedział:

— Dwa akty »Hugenotów«.

Tak długo trwał jego spacer do tego miejsca, jak długo huczała mu w głowie Mejerberowska partytura.

A cóż się to działo z jego garderobą? Wiecznie coś niezapięte lub rozprute. Kapelusz coraz to inny na jego głowie, bo je ciągle zamieniał, równie jak palta lub kalosze. Gdy się ktoś znalazł w nieswojem ubraniu, odrazu był pewnym, że mu je zabrał kapelmistrz.

Niezapomnianą nigdy pozostanie scena, gdy pan Stanisław wszedł do mieszkania sąsiada i położył się do jego łóżka.

Podczas upałów widziano go w futrze, a w czasie mrozów w tużurku.

Tylko co skończył konserwatorium w Brukselli, gdzie kolegował z Adeliną Patti.

Był dosyć zamożnym, bo odziedziczył po ojcu fortunę, ale to gdzieś topniało w jego rękę.

Raz go okradziono. Złodzieja schwytano. Był nim jego służący.

— Co z nim robić? — pytają go.

— Co, z kim?

— Z tym złodziejem.

— A z tym złodziejem? Janie!

Policyant go wprowadza.

— Przebacz mi — mówi pan Stanisław — że ci sprawiono taką przykrość. To nie ja, Bóg świadkiem, ale usłudźni przyjaciele moi tak cię urządzili. Podaj mi palto, mój kochany i zajmij się swoją robotą.

Wyleciał z domu, aby więcej tego nie widzieć i nie słyszeć.

Odrywać go z jego świata ideałów do ziemskich marności, było to sprawiać mu ból.

— Czego ci ludzie chcą odemnie? Czego oni mnie dręczą! Ia, la, la!

Było to gołębie serce. Nigdy żadnej złości, żadnej zółci, zawiści. Gdy się pojawił jaki nowy utwór muzyczny, cieszył się jak dziecko. Siedział cały dzień, albo noc przed partyturą, zachwycając się lub żałując błędów, jakie w niej odkrył, tak jak gdyby to on je popełnił.

Zabiegał u literatów o libretto do opery.

Każdy mu obiecał, bo i jakże tu nie obiecać, ale coś kiedy te obietnice odkładano do skończenia świata.

Postanowił sam sobie skleić libretto.

Pamiętam, z jaką radością pochwycił świeżo odbite tomiki dzieł Słowackiego.

Napisał zaraz piękną muzykę do »Balladyny« i do »Księcia niezłomnego«.

*

*

*

Wiadomo, że w orkiestrze daleko lepiej się stroją instrumenty, niż ludzie. Instrumenty to pocziwe stworzenia, karne i posłuszne, ale z ludźmi bywa bieda. Kapelmistrz musi być *nad*-człowiekiem, żeby wszyscy jak jeden uwierzyli w jego pałeczkę niby w ewangelię. Pan Stanisław, niestety, był tylko *pół*-człowiekiem, a nawet nie całym *pół*, bo reszta jego istoty zawsze była gdzie-

indziej, niż na ziemi. Wynikały też komiczne sceny, które często kończyły się smutno dla biednego kapelmistrza - marzyciela.

Miał bardzo krótki wzrok i gdy się wtulił w partyturę, głowa gdzieś się schowała, tylko ręka bujała w powietrzu.

— Panie kapelmajster — mówi trąbka — niech też pan podniesie trochę nosa z partytury, i na nas popatrzy.

— Ja znam pana bardzo dobrze.

— Ale my pana chcieliśmy bliżej poznać.

— Tak, my pana całkiem nie znamy — powiada fagot — przecież plecy pańskie to nie wszystko.

— To niepotrzebne. Niech każdy zna swoje nuty, które leżą przed nim na pulpicie — powiada pierwszy skrzypek, przyjaciel kapelmistrza.

— No, nie każdy wie tyle, co pan, bo pan nietylko w nuty patrzysz — odciął trąbka.

— Cóż oni się tu będą kłócili, a ja mam się temu przysłuchiwać? — krzyczy nasza *diva*. — Kończyć próbę, albo zejść ze sceny.

Gdy się coraz więcej zaogniało, wchodził zwykle dyrektor teatru, i wszystko wracało do porządku, tylko pan Stanisław każde takie zajście odchorować musiał.

Goiliśmy wtenczas jego rany.

A płeć biała?

Ta ostrzyła zęby na pana Stanisława. Cóż to za nieoszaczowany człowiek na męża! Wszelkie jednak pociski odbijały się o niego, jak o forteczne mury, bo pan Stanisław szukał... ideału w kobiecie. Byliśmy więc spokojni o niego.

Kochaliśmy tego artystę-poetę i otaczali, jak mogli, opiekuńczymi skrzydłami.

— Wydamy go za żonę — mówiliśmy trochę żartem, a trochę na seryo... — ale to musi być kobieta... no!

Repertuar muzyczny naszego teatru składał się wówczas z utworów lekkich, jak; »Zaślubiny Joasi«, »Handel na żony«, »Wesele przy latarniach«, »Skrzypki czarodziejskie«. Muza trykotowa nie śmiała jeszcze wyjść przed światło kinkietów, choć już pojawiać się zaczęły: »Dziesięć córeczek«, »Piękne kobiety« i t. p. Tym jednak mimo nalegań dyrektora pan Stanisław wzbroniał wstępu do naszego teatru. Rozpoczęła się walka, w której naturalnie biedny kapelmistrz padł ofiarą.

— Jakto? Na całym świecie to grają, publiczność się tego domaga, a pan przez swoje »ja«, jakieś głupie skrupuły, chcecz mnie zrujnować?

Więc na początek ukazało się owe »Dziesięć córeczek«, dalej poszły »Bursze«, »Wesołe kobiety«, »Piękna Helena« i całe trykotowe zastępy.

Z wprowadzeniem takiego repertuaru, trzeba było powiększyć chóry. Stąrano się jednak nie tyle o głosy, ile o kształty.

Z początku nasz kapelmistrz był bardzo nieszczęśliwy. On marzył o Mozarcie, Weberze, Haroldzie, Moniuszce, bujał w czystej atmosferze harmonii i piękna, aż tu naraz sztuka plastyczna à la Rubens wjechała tryumfalnie na scenę.

Pan Stanisław teraz zaczął więcej patrzeć, niż słuchać. Patrzył nawet z takim zajęciem, że zatargi z orkiestrą znów się zaczęły. Nie pomogła nawet nasza interwencja.

— Panowie od dramatu — odezwiała się zuchwała trąbka — pilnujcie swojej sztuki, którą znacie bardzo dobrze, ale do naszej się nie mieszaćcie.

Poparł go energiczny fagot tak gorąco i dosadnie, żeśmy ze sceny chcieli już skoczyć do orkiestry, gdyby nas nie wstrzymał pierwszy skrzypek.

— Panowie! Boska Euterpe zajęła wrogie stanowisko względem Melpomeny (był erudyta) i chciały sto-

czyć bój krwawy, ale Apollo, władca, bierze w obronę najszlachetniejszego syna Muz (tu wskazał nam pana Stanisława), bo mu to nakazuje jego siostrzyca Wenus, której pan Stanisław kadzidła pali.

Śmiech w orkiestrze.

Jakim on sposobem spokrewnił Wenus z Apollem, tegośmy nie ciekawi byli, ale że pan Stanisław jej kadzidła pali, to nas zaintrygowało niezmiernie.

— Jakto? co? komu?

— I myśmy o tem nie wiedzieli?

— Któraż jest tą »idealną« kobietą?

— Tego się palcem nie pokazuje — odrzekł filuternie skrzypek.

Pan Stanisław bladł i czerwienił się naprzemian, wreszcie uderzył pałeczką w pulpit tak silnie, że się na drobne kawałki rozprysła.

— Jesteście głupcy wszyscy i niech was najjaśniejsze pioruny zatrzasną.

Wyleciał z sali jak oparzony.

Stali wszyscy osłupiali. Takim go nikt nie widział, ani widzieć nie spodziewał.

— A co, tom mu dojechał — rzekł skrzypek tryumfująco. — Może to będzie orzeźwiającym prysznicem.

Po nitce doszliśmy do kłębka. Oto pokazało się, że najprozaiczniejsza z kobiet, w którą za często wpatrywał się, pochwyliła w swoje szpony tego naszego poetę-muzyka i była potem dla niego najlepszą żoną i matką jego dzieci.

I stało się za jej sprawą to, czego by nikt nie dokazał. Oto pan Stanisław częściej zaczął chodzić po ziemi, a mniej przebywać w obłokach... i było mu z tem bardzo dobrze.





REKWIZYTOR

Ważna to osobistość w gospodarce scenicznej. Wszystkie przedmioty używane na scenie, prócz garderoby i peruk, należą do rekwizytora.

On ma obowiązek wszystkiego dostarczyć, czyli, że niema na świecie rzeczy ruchomej, którejby on nie dostał i nie dostawił.

Cóż to za olbrzymie zadanie!

Teatra stołeczne mają swoje własne rekwizyta i to nie wszystkie. Są takie, które można i trzeba wypożyczyć. W teatrach drugorzędnych rekwizytor jest właścicielem i dostawcą. Dyrekcyje się zmieniają, on pozostaje na swoim stanowisku. Wyrobiło się też przedsiębiorstwo niezmiernie skomplikowane, w niektórych razach trudne, a czasem i niebezpieczne.

*

*

*

Nazywał się Szremski.

Był to stary ćwik, którego lat nikt obliczyćby nie potrafił. Ośm dyrekcyi z ich trupami przeszło przez jego ręce. Nizki, zwiędły, kulejący na jedną nogę. Twarz chuda, ściągła, z ogromnymi zwisłymi węsami. Przypominał Maćka nad Maćkami, i nie tylko powierzchownością, ale całem obejściem, był tak lakonicznym i tak sentencyonalnym jak Maciek.

Kto wie, czy nie bywał w straszniejszych opałach od tamtego. Przez lat kilkadziesiąt staczać boje z aktorstwem, czyli z ludźmi niepoczytalnymi, bo aktor w czasie gry nigdy nie jest w warunkach normalnych, narażać się na obelgi, nieraz kułaki, a czasem być bliskim kalectwa albo śmierci, bo i to się zdarzało, toż życie nie do pozazdroszczenia.

Pewny jestem, że mnie posądzicie o przesadę. Poczekajcie — postaram się was przekonać, że mówię tylko rzeczywistą prawdę.

Nie przypuszczajcie, żeby taki człowiek miał wytrzasnąć z rękawa to wszystko, co nieodbicie do akcji potrzebne, to jest niemożliwe. On dawał tylko pozór, podobieństwo do tego, co być powinno... i to dosyć; a trzeba znowu tak lekkomyślnych ludzi jak aktorzy, wreszcie tak zapracowanych i nie mających czasu, aby przed przedstawieniem nie sprawdzić rekwizytu, którym się ma posługiwać. Zresztą stary ćwik, nie chcąc znosić grymasów i mitręgi, nigdy na próbach nie bywał, a dawał wszystko na ostatnią chwilę.

Scena pierwsza.

Gramy »Narcyza« Brachvogla.

Jest sławna scena z porcelanową pagodą, która kiwa głową, wreszcie, rzucona o ziemię, rozbija się w drobne kawałki. Aktor, zajęty silnie swą rolą, której nawet dobrze nie opracował, zapomniął się zabezpieczyć co do owej figurki. Gra, jak może, swoją rolę, a gdy przychodzi kolej na ową pagodę, spostrzega coś nieforemnego z *papier maché* z główką nieruchomą. Efekt dyabli wzięli, publiczność się podśmiechuje. Rzuca wreszcie z wściekłością o ziemię przedmiot, który ma się rozbić w kawałki, ale się nie rozbija, tylko podskakuje na scenie. Śmiech ogólny.

Można sobie przedstawić wściekłość aktora. Cała jego praca zniszczona.

W antrakcie :

— Ty zbójcu przeklęty! to taka powinna być figurka? Ty zbrodniarzu! ty niegodziwcze! Ja cię uduszę!

— Skądże ja panu wezmę innej?

— To mało w sklepach takich pagód?

— To pan kup — odpowiada z flegmą.

— Boże, Boże! Cóż to za męczarnia! Weźcie mi z przed oczu tego człowieka.

A on spokojnie przegląda swoją książkę i sprawdza resztę rekwizytów.

Aktor, zziąjany, zmęczony odchodzi do garderoby.

Scena druga.

Odbywa się uczta, gdzie krąży moc niezliczona puharów, roztruhanów, kielichów olbrzymiej wielkości, boć rzecz odbywa się na zamku burgrafa średniowiecznego. Pozbierał wszystkie naczynia, jakie miał. Nieszczęście chciało, że aktor, pijący jakąś zafarbowaną wodę, która ma udawać wino reńskie, i śpiewający piosnkę hulaszczą, dostaje blaszany kubek po nafcie. Nie wolno mu skrzywić się, bo on gra hulakę, którego humor wszystkich porywa, bo on pieśnią ich rozpłomienia.

Wychodzi za kulisy z wymiotami, krzycząc :

— Gdzie ten pies! Dajcie mi go! Zabiję! Zabiję!

Wówczas nasz rekwizytor »buchnął w konopie« gdzieby go sam dyabeł nie znalazł. Wsuwał się dopiero po cichutku, kiedy już burza przeszła.

Scena trzecia.

Gramy »Zbójców«.

W roli Karola występuje młody, zapalony aktor, przybyły z Warszawy. W ostatniej scenie wydobywa

kordelas i przebija kochankę. Ta pada z przeraźliwym krzykiem i mdleje. Krzyk w teatrze: Zabił ją! Zabił rzeczywiście! Wołają lekarza, rozpinają nieszczęśliwą. Krew się broczy strumieniem. Szczęściem rana niezbyt głęboka. Ocalił ją gorset.

Rekwizytor nie ruszył się z miejsca, stał przy swoim pulpicie.

— Jak mogłeś dać temu panu taką broń?

— Takiej żądał.

— Pan żądałeś takiego kordelasa?

— Prosiłem o ładny sztylet — nic więcej.

— Czemuś nie dał sztyletu?

— Daję już od lat sześćdziesięciu broń taką, jaką ma w swoim sklepie nożowniczym Hefelmayer ¹⁾.

— Od dziś dnia sprowadzisz sztuczny sztylet z Wiednia, albo won w tej chwili z teatru! — zawyrokował komisarz policyi.

I Szremski, klnąc po cichu, na czem świat stoi, aktorów i teatr, sprowadził z Wiednia sztylet ze sprężyną, która za dotknięciem dawała złudzenie, że ostrze wchodzi w ciało.

Zapłacił zań dziesięć reńskich, czyli cały tygodniowy swój zarobek.

* * *

Nikt nigdy nie widział uśmiechu na jego twarzy. Nie uklonił się na ulicy żadnemu aktorowi. Na powitanie odpowiadał mrukiem jakimś niezrozumiałym. Należał do bractwa różańcowego. W czasie Bożego Ciała, albo innych kościelnych uroczystości, nosił z powagą chorągiew bractwa.

Jego rekwizytornia była to obszerna izba, pełna szaf, szafek i skrzyń, zawieszona od sufitu do ziemi najrozmaitszymi przedmiotami.

¹⁾ Hefelmayer słynął z ostrej stali angielskiej.

Nad tem wszystkiem Szremski czuwał, niby cerber mitologiczny. Do pomocy miał dziewczę tęgą, roslą, ponurą jak jej pan.

Jeżeliśmy tu przytoczyli kilka niefortunnych scen, które mimo to były kroplą w morzu w jego długoletnim zawodzie, bo się trafiały gęsto i często, przecież nie wynika z tego, żeby Szremski nie miał pięknych i jasnych chwil, które nas olśniewały.

Gdyśmy wystawiali sztukę z czasów Cesarstwa albo i wcześniejszych, sięgając nawet epoki saskiej lub Sobieskiego, Szremski dawał koncert.

Nie znajdzie już na świecie owych pectoralików, szpinetów, kozetek *rococo*, owych wytwornych zegarów kominkowych *à la Louis XV*, gobelinów i makat. Nie ma nigdzie takich pasów słuckich. Karabełę miał autentyczną po Sieniawskim z pod Wiednia, misiurkę po Jabłonowskim. Hełmy szwedzkie z pod Częstochowy. Prawdziwe skrzydła husarskie, których strzegł, jak oka w głowie i trzymał je poobwijane jakimś szczególnem zielem od moli. Miał szachy hebanowe, toczone podobno własną ręką króla Leszczyńskiego w Lunevillu, kilka autentycznych portretów pastelowych, mężczyzn i kobiet. A owe biureczka, szkatułki, ekrany, puzderka drogocenne i bombonierki z masy perłowej. Olbrzymi miecz krzyżacki, dzidy i tarcze, których rodowodu nie można było odczytać. Najpiękniejszą zaś ozdobą był relikwiarz królowej Cecylii Renaty.

Zresztą nie zliczę tych wszystkich drogocennych przedmiotów, których nawet znaczenia i użytku nie mogliśmy zrozumieć.

Szremski skupował to wszystko na licytacyach albo z wolnej ręki, gdy się dało, w czasach kiedy nie znano wartości tych przedmiotów.

Za wolnego miasta Krakowa miał swój gabinet antykwarski. Wpakował w to cały swój, dosyć spory,

kapitał. Pamiętali go na ulicy Mikołajskiej, stojącego zwykle we drzwiach swojego sklepu z antykami, do którego nikt nigdy nie zajrzał. Mówili, że on w tym sklepie tak spochmurniał i osowiał. Gdy już nie miał kawałka chleba, a ze zbiorami rozstać się nie mógł, został rekwizytorem teatralnym, aby na tych skarbach nie umrzeć z głodu.

Zabytków swoich udzielał chętnie na scenę, nawet sprawiało mu to pewną przyjemność. Wydobywał przedmiot, okurzał go, czyścił starannie i oddawał aktorowi z tem lakonicznem słówkiem:

— Autentyk!

Miano poszanowanie wielkie dla tych relikwii i właśnie dlatego wybaczano mu wiele. Żaden nie poważiłby się podnieść ręki na tego starca, pomimo, że burzył żółć w komedyantach.

Zdarzyło się, że jeden z grających stłukł mu drogocenną szklanicę z herbem Wazów. Szremski smutnie pokiwał głową i rzekł:

— Jaki ja dureń!

*

*

*

Za pojawieniem się na scenie sztuk francuskiego repertuaru nowej szkoły, zwłaszcza Sardou, zaczął się szereg utrapień dla Szremskiego.

Skąd tu wziąć lisa do »Naszych najserdeczniejszych?« Skąd olbrzymiego kaktusa? Dostawał się więc jakiś wypchany zajac, pofarbowany na brązowo, a zamiast kaktusa — głowa kapusty.

Graliśmy dramat Szujskiego pod tytułem »Twardowski«. Do pracowni czarodzieja potrzebną była trupia głowa. Dzisiaj robią się takie rzeczy z masy papierowej, wówczas trzeba było dać rzecz w naturze.

Szremski był w rozpacz.

Skąd dostać takiego rekwizytu?

Prosił reżysera, dyrektora, autora nawet, czyby nie można tego usunąć. Czaszka być musi, bo do niej mówi dużą tyradę dyabeł, trzymając ją w ręku, zresztą cała scena na niej głównie zależy.

Zawłókł się na cmentarz i wyżebrał od grabarza, że mu jej pożyczyl na dni kilka.

To świętokradztwo przejęło starego taką zgrozą i przestachem, że chodził, jak struty. Zamówił mszę żałobną, a pocichu szeptał pacierze, drząc cały.

Po drugim przedstawieniu czaszka znikła ze sceny.

Szremski wybuchnął taką rozpaczą i wściekłością, żeśmy byli w obawie o jego życie.

— Poganie! — ryczał — Wy, przekłete plemię, dla którego niema nic świętego. Bogdaj was Pan Bóg skarał! Oddajcie mi ją, albo ten wasz cały teatr wysadzę w powietrze! O, ja nieszczęśliwy! I poco ja na to przystałem? Trzeba mi było raczej rzucić tę przeklętą Sodomę. O, mój Boże! mój Boże!

Wzruszeni straszną rozpaczą starego, zarządziliśmy najsurowsze śledztwo i udało nam się odnaleźć czaszkę. Sprawcą kradzieży był młody student medycyny, który statystował często w teatrze.

— Zawsze miałem go za farmazona — rzekł Szremski, odbierając odszukany przedmiot. — Zapowiadam panu reżyserowi i dyrektorowi, że już raz ostatni takiego rekwizytu dostarczam.

Znalazł się nareszcie rzeźbiarz, który mu czaszkę z gliny ulepił, a która do dziś spełnia swoją funkcję.

Stało się, że owa ponura dziewczka okradła go. Zabrała mu naturalnie tylko to, co ją nęciło: świecące, a więc łańcuszki, pierścionki i złotą tabakierkę. Ta tabakierka miała być po hetmanie Rzewuskim. Co on się jej nie naszukał, nie napłakał. Jak kamień w wodę. Ani dziewczki, ani tabakierki.

W kilka lat po tem zdarzeniu śmierć zabrała starego antykwaryusza.

Zbiory jego rozdrapali krewni, którzy niewiadomo skąd się znaleźli, bo nigdy o nich słyhać nie było.

Z biegiem czasu rekwizytorstwo przekształciło się. Znaleźli się sztukatorowie, którzy przewybornie umieją naśladować wszystkie przedmioty dla użytku scenicznego, niema więc potrzeby dostarczania ich w naturze kosztem tylu ofiar.





JEDNA SUKIENKA

Gdzie to te czasy!

Panna Jadwiga M., ukończywszy pensję u pani Krakowowej z chlubnem świadectwem, a potem przebywszy rok tylko w szkole dramatycznej u Jasińskiego, wystąpiła na scenie.

Jasiński jako informator sceniczny był niezrównany. Z materyału podatnego potrafił wytwarzać aktorów i aktorki. Rozgrzewał ich swoim temperamentem, grał z nimi. Rola przez niego opracowana zdawała się nie pozostawiać nic do zarzucenia, dopiero gdy aspirantka miała iść o własnych siłach, stawała się miernością.

Tu dostał mu się materyał bardzo podatny.

Było to niezwykle zjawisko.

Szlachetnych i nadzwyczaj regularnych rysów twarzy, podobna była do posągu Dyany w tem nawet, że przypominała jej surowy wyraz. Ślicznych kształtów i majestatycznej postawy, z dziwnie miękkim i czystym organem, o skali bardzo rozległej, piękną dykcją i nareszcie oczyma, w których głębinie, zdawało się, że przebłyskują wszystkie ognie poetycznego marzenia. Jakież to bogate dary!

Pierwsze ukazanie się jej na scenie obudziło ogromny podziw. Patrzono i patrzono, nie dowierzając własnym oczom, ani lornetkom Pika.

Wystąpiła w komedyi Ścribego »Walerya«.

Dzierżył wówczas prym niepodzielnie w repertuarze teatrów warszawskich ten »Szekspir chińskich cieni«, jak go nazwał jeden z krytyków francuskich wcale niewłaściwie, bo jeżeli u Szekspira roi się od postaci drgających prawdą i życiem, to zato u Scribego ubóstwo tych cieni, które mają przeciwstawiać się tamtym z krwi i ciała. Szablon i szablon. Figury ciągle te same z innymi tylko nazwami, szufladki i moralność zdawkowa.

A jednak żyło się tem wszystkiem. Tak nam mało było wówczas potrzeba.

Kiedy sobie wspomnę te jego sztuki, wystawiane w jednym saloniku o dwóch oknach po obu stronach sceny, z drzwiami w głębi i po bokach, które koniecznie być musiały o dwóch skrzydłach i otwierać się obydwojma, bo aktor nie wszedłby nigdy jedną połową; z dwoma stolikami na przodzie i temi nieodstępniemi krzeselkami, ustawionemi na tylnej dekoracyi, na których nigdy nikt nie siadał; widzę dopiero, jaki to olbrzymi krok w ciągu tych lat pięćdziesięciu zrobił teatr. Prawda, że sztuka aktorska pokrywała całe to ubóstwo, jak dziś ją pokrywa właśnie przepych szczegółów i szczegółików.

Nowa wystawa należała do zdarzeń epokowych. I poco było robić nowe wystawy, kiedy współcześni autorowie jej nie żądali?

Panna Jadwiga zjawiała się na scenie w czarnej atłasowej sukni, zapiętej pod szyję, i odegrała całą rolę nadzwyczaj poprawnie. Zarzucano jej wprawdzie zbyt chłód, za małe przejęcie się rolą, ale tłumaczono to sobie obawą, tak nieuniknioną u debiutantek, brakiem pewności siebie i wreszcie rolą nie bardzo trafnie wybraną — ale zato mówiono: Cóż to za piękna postać! jaki organ! jaki gest królewski!

Po tym dość udanym pierwszym występie została zaangażowana.

Była w owych czasach posucha na amantki i bohaterki. Halpertowa tylko co zeszyła ze sceny i nie było nikogo, ktoby ją mógł zastąpić.

Repertuar ówczesny składał się prawie z samych jednoaktówek, bo sztuk o poważniejszym zakresie nie miał kto grać.

Panna Jadwiga zajmie miejsce Halpertowej. Tak zawyrokował Lesznowski, jedyny podówczas krytyk.

Na drugi występ wybrała »Więzy«.

W czasie prób przyszło do niezwykłych zatargów z amantem. Nie pozwoliła mu podchodzić do siebie bliżej, jak o dwa kroki, nie pozwoliła objąć swej kibici, a o pocałunku nawet mówić sobie nie dała.

— Ależ my tu nie jesteśmy w pensyonacie, proszę pani. My tu przedstawiamy ludzi z ich występami i cnotami, z ich namiętnościami i uczuciami. To nie teatr amatorski.

— Wiem, czem jest teatr, a chciałabym, aby był tem, czem być powinien. Urodził się z misteryów religijnych, a więc wzniosły ma początek. Ideałowi służyć trzeba, nie poziomym celom.

Reżyser i współgrający popatrzeni na siebie zdumieni. Panna Jadwiga wygłosiła to z taką pewnością siebie i powagą, że uznali za stosowne nie sprzeczać się z nią wcale, zwłaszcza, że były to wówczas hasła głoszone przez krytykę. Ruszono tylko ramionami i próbowano dalej.

Na przedstawieniu jednak amant nie pytał o pozwolenie, całował i ścisnął więcej nawet, niż mu rola kazała; dopiero płacz gwałtowny w gaderobie i groźba, rzucona reżyserowi, że nie dokończy sztuki, gdy się podobny atak powtórzy, sprawiła, że się zastosowano do jej woli.

— Niech ją szatan porwie! — rzekł reżyser. — Grajże pan tak, aby jej nie urazić.

— Ależ to lala woskowa, ja z nią więcej grać nie będę. I po co taka wstępuje na scenę?

— Cierpliwości! my ją uchodzimy.

Panna Jadwiga grała w »Wieżach« w tej samej sukni zapiętej pod szyję, z tym samym spokojnym chłodem, miała tylko więcej pewności siebie.

— Wspaniała postać — głoszą. — Niech się tylko cokolwiek rozgrzeje. Cóż to będzie za artystka!

Przyszła z kolei rola trzecia i czwarta — ta sama gra w tej samej sukni.

Dziś wydaje się to anachronizmem nie do uwierzenia — dawniej niewiele na to zważano, bo i reszta współgrających nie grzeszyła różnaitością strojów. Dyrekcyja dawała tylko kostiumy — tak zwana garderoba »cywilna« należała do aktorów. Nie można było ze skromnej gaży sprawiać sobie często ubrania. Damy radziły sobie jak mogły, ale mężczyźni poprzestawali na fraku i tużurku. Charakterystykę zaś stanowiły wąsy i bródki, niekiedy i faworyty. Koroną bywała pełna broda. Dla autora »Cieni chińskich« to wystarczało.

*

*

*

I tak nasza Dyana, bo jej już inaczej nie nazywano, grywała dalej. Podziwiano ją zawsze, nie wzruszono się nigdy. Przyzwyczajono się, bo do czegoż się u nas człowiek nie przyzwyczai?

Gdy raz któraś z koleżanek zrobiła jej uwagę, że do tej roli wypadałoby zmienić sukienkę.

— Jam nie aktorka - modniarka — odrzekła sucho panna Jadwiga, spoglądając z politowaniem na naszą »kokietkę«, panią Amelię, której toalety powszechnie chwalono i podziwiano.

*

*

*

Pomimo, że ta czysta i surowa Dyana miała mocno opancerzone serce, znalazło się jednak mnóstwo wielbicieli i w teatrze, i poza teatrem, którzy szturm do niej przypuszczali. Poprzestawano jednak na słodkich bilecikach, których naturalnie nie przyjmowano, na kwiatach, które wyrzucano, na czułych spojrzeniach i westchnieniach, które wyśmiewano.

Gdy wychodziła z teatru, stał już podwójny rząd wielbicieli, przez który przejść trzeba było. To ją oburzało, wychodziła więc tylnymi schodkami, któremi zwykle chadzała służba teatralna.

Poza tą surową godnością, którą nosiła na sobie, niby płaszcz z gronostajów, czysta Dyana bywała dobrą koleżanką, miała szlachetne serce, była usłużną, przez co zniewalała dla siebie najzawziętszych. Górując wykształceniem i wzorowem wychowaniem, udzielała chętnie rad i wskazówek, gdy o nie proszono, bo narzucać się komuś nie było w jej naturze.

Zyskiwała przez to niekłamany szacunek.

Bywało, że na jej sąd zdawano się w najzawilszych kwestiach towarzyskich, gdzie szło o godność lub poczucie obowiązku; i, dziwna rzecz, te języki aktorskie, które tak się lubują w jaskrawych i dosadnych wyrazach, wobec niej starały się o dobór i poprawność.

Nieraz panna Jadwiga prowadziła estetyczne dysputy z reżyserem i naszym panem Janem K., a zawsze wychodziła z nich obronną ręką, bo wiedza jej była bogata — a nietylko z francuskich i niemieckich książek ją czerpała, ale kierowała się własnym rozsądkiem i dziwnie subtelnem poczuciem smaku.

— I taka kobieta dla sztuki stracona! Czyż nie znajdzie się nikt, coby zbudził to drzemiące serce?

— Albo ona je ma?

— Och, że ma, to się przecie widzi. Ha! dziwne natura lepi dziwolągi! powiada Szekspir — zakończył

sentencyonalnie pan K., który jedyny w całym teatrze czytywać go zaczął.

*

*

— Patrzcie! patrzcie, jak ona gra dzisiaj.

— Prawda, to niebywałe rzeczy, nie do uwierzenia. Ileż tu uczucia!

— Patrzaj: wzięła szmizetkę i stanik wycięty.

— Jakoś powoli się rozpina — rzekł zjadliwie pierwszy amant.

— Oho! jakiż to wykrzyk wspaniały! Ależ ona płacze naprawdę.

Ogromny oklask rozległ się po sali.

— Bravo! bravo! No, no, czyżby tu Dyana znalazła swego Endymiona — rzucił pan K.

»Czemuż nie byłam sierotą?« — rozległo się po sali rozdzierającym głosem. Kurtyna zapadła przy grzmących oklaskach. Panna Jadwiga rozgrzana uczuciem zeszła ze sceny, piękna, zachwycająca. Oczy lśniły iskrami dyamentów. Reżyser i artyści winszowali jej powodzenia ze wzruszeniem.

— Teraz dopiero widzę »cud« rzeczywisty — rzekł nasz amant.

— Mój narzeczony, pan Kazimierz W. — rzekła, przedstawiając młodego mężczyznę, który dopiero co wszedł za kulisy.

— Bodaj cię dyabli wzięli? — szepnął i wleciał do garderoby. — Macie Endymiona. Znalazł się jakiś dureń i zabierze ją.

*

*

*

I zabrał.

Czysta Dyana przeszła przez scenę w swojej jedynej skromnej sukience i zostawiła po sobie miłe wspomnienie, darząc na ostatku serdeczną nutą.

To wspomnienie utrzymało się długo. Pamiętał je zwłaszcza dyrektor teatru, kiedy mawiał do artystek, upominających się o zbyt kosztowne suknie, gdy garderobę cywilną dyrekcyja dawać zaczęła:

— Pamiętajcie, że panna M. miała jedyną suknię, a przecież była znakomitą artystką.

— Inne to były czasy, dyrektorze.

— Rzeczywiście!





B R A C I A

Bywają jednostki, które teatr znieprawia, a bywają znów takie, które ucznia i podnosi.

W roku 1856 zjechał do Płocka ze swoją trupą Pfeifer z Krakowa. Było to zdarzenie pamiętne w dziejach miasta, bo ani przedtem, ani potem nigdy nie widziano takiego zamiłowania, takiego zapалу dla sztuki. Powodzenie było niesłychane.

Pewnego dnia zgłosiło się do dyrektora dwóch żydków wyrostków z prośbą, aby im ofiarował u siebie jakie zajęcie.

— Cóż wy umiecie?

— Ja jestem lampiarz — rzekł młodszy.

— A ty?

— Ja jestem jeszcze niczem, ale mogę być afiszerm teatralnym.

Pfeifer popatrzył na nich dobrodusznie.

— Ty, lampiarz, musisz być kanalia!

— Przekona się pan dyrektor.

— A ty, przyszły afiszerze, wydajesz mi się chorowity. Co to? utykasz na nogę?

— To nic, to już tak mam od urodzenia, że ona trochę krótsza, ale zobaczy pan dyrektor, jak ja umiem biegać. Tak, jakbym miał cztery nogi.

— Fe! toby cię w osła zamieniało, a ty na osła nie wyglądasz. No, zostańcie! Zobaczymy! Panie Sta-

churski, daj tam Adamowi tego lampiarza, niech mu pomaga. A temu jutro dać afisze do rozlepiania, niech stary Michałowski odpocznie. Jak się nazywacie?

— Ja — Dawid, mój brat — Elias, a z nazwiska Sieradzer.

— Sami królowie i prorocy. I to wy bracia?

— Jednego ojca, ale nie jednej matki — dorzucił rezolutnie Elias.

— No tak, boście nic do siebie nie podobni. No, zobaczymy. Do roboty! Jak się będziecie dobrze sprawowali, wyznaczę wam gażę, a jak źle, wyrzucę.

I nasi dwaj żydkowie znaleźli się w teatrze krakowskim.

Pierwszą czynnością lampiarza było wcisnąć się do garderoby damskiej, odczyścić najpiękniej lampy, a na stoliku pierwszorzędnej artystki, panny W..., ustawić dwa piękne bukiety.

Od afiszów Eliasa zabielało całe miasto. Przylepiał je na parkanach, na studniach, w parku na drzewach i gdzie się tylko dało. Gdy ukończył swe czynności, wchodził za kulisy podczas próby i słuchał sztuki.

W czasie przedstawienia uprosił brata, aby mu pozwolił głowę wsunąć między lampy w kanale¹⁾ i przyglądać się.

— Oj ty głupi, i co tobie po tem? — wyśmiewał go Dawid. — Czy ty masz z tego jaki zysk?

— Mam!

— Jaki?

— Uczę się.

— Czego ty się uczysz, idyoto?

— Jak być człowiekiem.

— Niech cię dyabeł porwie!

¹⁾ Kanałem zwano rzędy lamp, ustawione na dole sceny. Gdy miało być ciemno na scenie, opuszczano ów kanał pod scenę.



Między tymi braćmi trwała ciągła walka i kłótnia. Tylko, kiedy Eliasz spokojnie i jakby z politowaniem odpowiadał na zarzuty Dawida, tamten wściekał się i burzył.

— Patrz, ilem dzisiaj zarobił — rzekł Dawid, pokazując bratu garść pieniędzy.

— Aj waj! i zaco?

— Za małą rzecz. Zaniósłem pannie W. list i buket od jednego pana.

— Za taką małą rzecz tyle pieniędzy? — to musiało być niedobre?

— Ty, cymbale, to było dobre dla nas trojga. Oni się potem spotkali w ogrodzie dominikańskim, a ja pilnowałem, żeby ich kto nie zeszedł... i zato dostałem całego rubla.

— To naco ty masz być lampiarzem teatralnym? Ty jesteś faktor od...

— *Sztıl! szwarcjur!*

Ten mały Dawid odrazu znalazł się w swoim żywiole. Był to pająk, który węszył owad, aby z niego ciągnąć dla siebie soki pożywne. Kiedy Eliasz był oddany cały kultowi sztuki, wchłaniał w siebie obrazy i myśli, Dawid węszył zło i zarobek. Nic go nie obchodził teatr, on widział w nim tylko ludzi podatnych do szelmostwa. Wkradł się odrazu w łaski wszystkich aktorek. Każdej załatwiał jakieś interesa. Widziano go zawsze krążącego koło teatru w czasie przedstawienia i prowadzącego jakieś *geszefty* z rozmaitymi ludźmi. Nie pilnował lamp, przekupiwszy starego Adama, że całą robotę odrabiał za niego.

Eliasz starał się poprawnie mówić po polsku. Nosił afisze do drukarni. Odczytywał skrzętnie i notował sobie tytuły sztuk, jakie kiedykolwiek były grane w teatrze plockim, a gdy mu sufler wypożyczył jaki egzemplarz do przeczytania, to nie posiadał się z radości.

Zmienił się też do niepoznania. Ten biedny, kulawy żydek, umyty i ubrany czysto w przenoszone suknie, którymi go darzyli artyści, pociągnięci ku niemu sympatją, wyglądał na *szajgeca*.

Gdy się zbliżyła chwila wyjazdu, dyrektor przyrzekł, że ich weźmie do Krakowa, wyrobiwszy paszporty.

W wigilię wyjazdu stawił się Dawid przed Pfeiferem z pokorną prośbą:

— Niech pan dyrektor nie bierze Eliasza.

— Dlaczego?

— On jest potrzebny przy starym ojcu.

— Kiedy właśnie ojciec wczoraj prosił tu za nim.

Ej, z ciebie wielki kanalia, kiedy przeciw rodzonemu bratu intrygujesz. To ja ciebie nie wezmę. Mało z ciebie pożytku. Latasz, gonisz za *geszeftami*, a roboty nie pilnujesz. Poszedł precz!

Losy Dawida zawieszone były na włosku i gdyby nie interwencya artystek, a zwłaszcza pani W., nie mielibyśmy w Krakowie tego hultaja.

Pocciwy Pfeifer odgadł go odrazu. Ale jeżeli dał tylko słabe próbki swego sprytu w Płocku, zato w Krakowie talent jego rozwinął się tak potężnie, że umiał zakłócić całe miasto.

Po kilku dniach swego pobytu w Krakowie zorientował się odrazu w obcem mieście i nowym zupełnie stroju społecznym. Dowiedział się o wszystkim, czego chciał tylko wiedzieć.

Najprzód założył klakę. Dotychczas nie słyszano u nas o czemś podobnem. On to organizował bandy i łupił ze skóry nasze aktorki, żądne oklasków. Każda mu się opłacała grubo. Dawid brał i narzekał, że z tego nic mu się nie okroi, bo musi *im* wszystko oddać, *oni* zaś byli szczęśliwi, gdy ich darmo wpuszczono do teatru.

Uchodziło mu to nadzwyczaj gładko, bo wyłgać i wykpić się umiał.

Wiadomo, że aktorowie szwankują zawsze na punkcie gotówki i że z rąk lichwiarzy nigdy się chyba nie wydobędą: otóż Dawidek dawał w tych razach koncerty, brał 20, a czasem i 25 procent na miesiąc, podstawiając zawsze jakiegoś żyda i dzieląc się z nim zyskiem, a poznał wkrótce to wszystko, co Kazimierz miał najwstrętniejszego.

— Jezus Marya! — krzyczał Pfeifer. — Pocom ja wziął tego łajdaka? Ale odprawić go nie mógł, choć się często odgrażał. Czuł do niego słabość, ten najpocziwszy z dyrektorów, jakich w życiu poznałem.

Eliasz znów szedł w swoim kierunku. Przebywał ciągle u antykwaryuszów, trudniąc się kolporterką i nabywając znajomości literatury. Jak tamtym wszyscy pogardzaliśmy, tak znów dla tego byliśmy z całą sympatią, szczególnie ja, jako kawałek literata, niezmiernie polubiłem tego ciekawego żydka. Dopełnialiśmy się wzajemnie. Jam go uczył historii teatru i literatury dramatycznej, której wówczas z książek nabyć było trudno; a on mi znosił najstarsze druki polskie, którymi wówczas księgarnie antykwarskie były przepełnione, a tak szybko nabył znajomości bibliograficznych, że znał już cenę każdego białego kruka.

Sławny Igel lwowski, król antykwaryuszów, który ledwo czytać umiał, a znał wartość i cenę każdej książki polskiej, był zachwycony naszym afiszem. Chciał go zabrać do Lwowa, ofiarując dobrą pensję, ale Eliasz nie mógł się rozstać z bratem.

— I co ci po takim gałganie?

— Ja wiem, że on gałgan, ale właśnie dlatego potrzebuję być przy nim. Przysięgłem staremu ojcu, że się nie rozłączymy.

— Wszak on cię nienawidzi i przeciw tobie ciągle intryguje.

— Bo głupi.

Jak tu było nie lubić naszego Eliasza? Wszystko, co dobrego usłyszał ze sceny, umiał sobie przywłaszczyć i przetopić w swoim mózgu i sercu. Przypatrywaliśmy się temu żydkowi, jak dziwnemu zjawisku. Stanowili oni obaj żywą ilustrację do przysłowia Andrzeja Maksymiliana Fredry: »Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu«.

* * *

Od kilku dni rozeszły się po mieście wieści o licznych kradzieżach w wielu domach zamożnych. U hrabiego S. zginęło srebro stołowe, u pani Z. skradziono biżuterię, u pani W. poginęło mnóstwo rozmaitych przedmiotów. Tam skradziono pugilares z pieniędzmi i papierami, wyłamawszy biurko, ówdzie dobrano się aż do piwnic, słowem, kradzieży bez liku. Zdawało się, że więzienia pootwierano i wypuszczono z nich całe zastępy hultajów. Policja rozwinęła śledztwo energiczne. Pociągnięto najprzód służbę. Pokazało się, że służba stanowisko swoje opuszczała, aby uczęszczać do teatru za biletami bezpłatnymi, których im dostarczał afiszier.

Uwięziono Eliasza, który zeznał przy śledztwie, że bilety do teatru dostawał od dyrektora i rozdawał służbie, aby klaskała artystkom. Co zaś do brata, to ten nie mieszał się do tego wcale. Tymczasem wykryto, że bilety posyłał przez niego Dawid, nakazując mu, aby oświadczył obdarowanemu, że je posyła ten i ów jego znajomy. Nawet aktorów wciągnął w tę sprawę. Eliaz chciał wziąć na siebie winę, aby brata ocalić, ale mu się to nie udało.

Postanowiono uwięzić Dawida, ale umknął. Rozesłano pogoń na wszystkie strony, ani śladu; zato wykryto jego współników. Była to banda opryszków, którą ten hultaj umiał zorganizować.

Zarządzono rewizję w teatrze. — Poczciwy Pfeiferomal nie padł rażony apopleksją.

Gdy odbito komórkę lampiarza Dawida pod sceną, znaleziono w niej prawdziwy sklep jubilerski.

— To moje kolczyki! — zawołała panna W.

— A to moja bransoletka.

— A to mój zegarek! Ha łotr! wszystkich nas potrosze ograbił.

Była to jednak drobniutka częśćka kradzieży, spełnionych w mieście.

Badani rzezimieszkowie ujawnili cały pomysł piekielny hultaja.

Służba dostawała bilety do teatru, kiedy państwa nie było w domu. Rzezimieszkowie otwierali z ręcznie drzwi wytrychami i zamykali tak, że śladu po nich nie zostawało. Dawid spieniężał przedmioty i płacił im formalną gażę.

Policja się zdumiewała nad zręcznością i pomysłem łotra, który w tak krótkim czasie, bo w rok niepełna, umiał zbadać wszystko. Dziwiono się jego wiekowi młodemu. Cóż to będzie z niego dalej? Tymczasem śledztwo wlokło się bez dalszych skutków dodatnich, bo skradzionych rzeczy nie odnaleziono, a po Dawidzie nie zostało śladu.

Mówiono, że uciekł do Ameryki.

A Eliasz?

Eliasa uwolniono dla braku dowodów, ale odstawiono do granicy.

Wreszcie po jakimś czasie pył zapomnienia pokrył całą tę sprawę.

*

*

*

Ile razy odwiedzam Poznań, doznaję przygnębiającego wrażenia, jako artysta. Dla nich sztuka mogłaby nie istnieć wcale. Chodzą do teatru, bo im tak każe obowiązek i w imię tego obowiązku domagają się, aby im grano ramoty, byle upstrzone frazesami. Sztuka

zaś, prawdziwa sztuka o wartości artystycznej i literackiej, pada zabita obojętnością, niemal pogardą. Prawda, że nigdzie nie doznaje się takiej gościnności, tyle serdecznego ciepła w przyjęciu, ale gdy przyjdzie omawiać sprawy sztuki, dają mi wrażenie obskurantów. Zato z drugiej strony czuję w tym Poznaniu, że to jest gniazdo myśli polskiej. Tu się urodziła filozofia, tu się rozwijała poważna literatura i historia. Ci ludzie jeszcze za mało mieli czasu, aby hołdować muzom lekkoskrzydłym. Oni musieli prowadzić walkę i oświecać naród, a nie bawić.

Zwykle też w Poznaniu meblowałem sobie głowę. Po całych dniach przesiadywałem w księgarni Żupańskiego, a z pocziwym jego dysponentem Lewandowskim zawarłem przyjaźń serdeczną.

Zdarzyło się właśnie, że gdy tak siedzę u Żupańskiego i przeglądam nowe książki, wchodzi jakiś pan kulejący; rzuciłem na niego okiem i poznałem Eliasza. On mnie także poznał, ale szybko się odwrócił, zagadał coś do Lewandowskiego i wyszedł.

— Kto to jest?

— Nie znasz go? Kleingold. Znakomity antykwaryusz, księgarz, kolporter. Nasz odbiorca i dostawca. Najpocziwszy z żydów, jakiego znam. Nie jest bogaty, a ile on dobrego robi. Ot założył czytelnię w Kościanie. Niedawno tu jest, a ile to on już zrobił dla oświaty.

— To Eliasz! mój kochany Eliasz! Gdzież ta jego księgarnia?

— W rynku na rogu, zaraz przy Wartskim.

— Pędzę do niego.

— Cóż to takiego?

— Nie pytaj mnie, mój kochany.

— Ale teraz go nie zastaniesz, tylko zrana. On ciągle biega i wyjeżdża często.

— Dobrze, pójdę jutro.

— To ty go znasz?

— Czy ja go znam?...

I tu chciałem już opowiedzieć wszystko, ale przypomniawszy sobie jego zakłopotanie na mój widok i tak nagłe zniknięcie, wstrzymałem się.

Na drugi dzień zrana pobiegłem do Eliasza. Zastałem go zajętego. Gdy mnie ujrzał, przystąpił szybko, ujął za rękę i wyprowadził do drugiej izby, starannie drzwi zamknawszy.

— Ach, panie! daruj mi te ostrożności. Poznałem cię odrazu, alem się bał, że lada słowem zdradzisz tajemnicę mego nieszczęścia, którą tak starannie ukrywam przed ludźmi.

— A cóżeś to pan zawinił? Czyż to wszyscy nie wiemy, czym byłeś? Tamten niegodziwiec sprawcą. Czyż na tobie ma ciążyć jego zbrodnia?

— Ja mu pomagałem, nie wiedząc o tem. Ludzie mi tego darować nie mogą. Panie, co ja przecierpiałem. Jestem dezterterem, bom nie chciał wracać z taką plamą w strony rodzinne. Tułałem się długo, wreszcie tu, pod obcem nazwiskiem, znalazłem przystań. Pracuję i dobrze mi się powodzi. Musiał panu już Lewandowski o mnie napisać duby smalone, bo to mój wielki przyjaciel. Nie wierz pan temu, co on plecie... Ot robię, co mogę.

Patrzyłem jak senny na tę pocziwą twarz biednego żydka płockiego. Przesunęły mi się w duszy wszystkie obrazy młodości.

Zamyśliłem się głęboko nad temi dziwnemi drogami, jakie Opatrzność ludziom kreśli. On, jak gdyby odgadując moje myśli, patrzył we mnie okiem zażawionem, wreszcie wybuchnął płaczem.

— Och, panie drogi!... I powiedz pan, czemu to tak na świecie, że z jednego pnia takie wychodzą dziwactwa? Dobrze, że mój stary nie doczekał tej hańby. Umarł jeszcze przed katastrofą. Chciałem do niego le-

cieć, aby choć grudkę ziemi rzucić na jego mogiłę, ale ten niegodziwiec mi nie dał.

— Poczciwy panie Eliaszu. Niech Bóg dalej zsyła dla ciebie pomyślność w twojej pracy.

— Dziękuję panu. Ale pan mi daruje i dotrzyma danego słowa.

— Bądź spokojny.

*

*

*

I dotrzymałem mu wiernie, bo dziś, gdy piszę o nim, już on nie na tym świecie.

Przedtem spotykaliśmy się często w różnych stronach kraju i witali z radością, a ja byłem dumny, że takiego człowieka wychował... teatr.





A M A N T

Ach! jak on musi umieć kochać! — szeptały aspirantki. — Jaka to subtelność, ile męskiego wdzięku, dystynkcyi i pewności siebie! Ach, cóż to za kochanek!

Rzeczywiście pan Alfred C. umiał kochać, ale przede wszystkim umiał się podobać kobietom. Cała jego myśl wyteżona była tylko w tym kierunku. O jakimś głębszem wniknięciu w rolę, o oddaniu uczuć wzniosłych, bohaterskich, nie było mowy. Kostyumu żadnego nosić nie umiał, tylko frak. We fraku, w salonie, to było pole jego działalności, a ponieważ scena krakowska podążając w ślad za warszawską, dawała repertuar li tylko sztuk tego rodzaju, więc pan Alfred znalazł właściwe dla siebie pole i był nadzwyczaj wziętym i pożądanym. Nie trzeba jednak go posadzać, aby w tym swoim kierunku dawał rzeczy doskonałe, pomysłowe, oryginalne; nie, był to szablon. Kto go raz tylko widział w jednej roli, mógł go więcej nie widzieć i powiedzieć śmiało, że go widział we wszystkich. Czy to Gucio w »Ślubach panieńskich«, czy margrabia, czy Franck w »Fortepianie Berty«, lub Maurycy w »Adryanie Lecouvreur«, był tylko sobą, zawsze tylko panem Alfredem. Te same ruchy w każdej roli, z chusteczką w rękę, która właśnie znalazła się w chwili, gdy mu jej potrzeba było, podrygując, z głową rzuconą naprzód i wypukłemi trochę plecami, ostryc. rysów twa-

rzy, ze zbyt dużym nosem a ustami krokodyla, które pokrywał dużym wąsem.

I w kim się tu było kochać?

A jednak pan Alfred miał w sobie żywiołową siłę, która jak magnes przyciągała kobiety. Było w nim coś z Sinobrodego lub Don Juana.

Gdy wchodził na scenę, powstawał szmer, panie brały do rąk lornetki a dla panów poczynaly się nudy. Ziewano nawet dosyć głośno, co płeć piękna brała za zazdrość i tem więcej go podziwiała.

Wszedł do teatru *fuchsem*, jak się mówić zwykło. Mógł sobie tak być dobrze inżynierem lub rolnikiem, czy też prawnikiem, wreszcie czemkolwiek, a zawsze byłby tem, czem był.

Syn zrujnowanego szlachcica, skończywszy szkoły, nie mógł się zająć gospodarstwem, bo go nie było. Wieształ się więc po ciotkach, wujach, szwagrach. Objeżdżał ich, goszcząc po kilka miesięcy nieraz w jednym domu, prowadząc życie tężyzny ówczesnej. Aż naraz z krewniaków któryś rzucił od niechcenia:

— Wiesz co, Fredziu, wstąp do teatru. Coby to z ciebie był za aktor, niech mnie kule biją. Kobiety będą szalały za tobą. Prawda, panowie?

— Ba, ba! Fredzio na aktora jakby urodzony. Moja baba powiada, że on ma takiego wabia na kobiety, iż żadna mu się nie oprze. Karyera gotowa, jak Boga Kocham! Ożenisz się z jaką księżniczką.

Pan Alfred zamyślił się głęboko. Uśmiechał mu się stan aktora, gdzie według wyobrażeń ówczesnych całe życie bawić się można, a że teatr krakowski kompletował się zwykle z takich rekrutów, byle pokaźnych i z rezonem, został przyjęty z otwartemi rękami. Grał na pierwszym przedstawieniu, jak gdyby już zżyty ze sceną od kilku. Cóż to za olbrzymi talent! krzyczano. To, co inni zdobywają usilną pracą lat całych, ten po-

siadł odrazu. Cóż to będzie dalej? To Talma nowożytny! król wszystkich amantów, jacy kiedykolwiek byli na świecie. Tymczasem pan Alfred, kreowany odrazu na geniusza, nie doszedł do niczego i został całe życie takim, jakim był od pierwszej chwili. Ale u nas, jak się powie, żeś wielki, to już wielkim zostaniesz — więc pan Alfred był wielkim aktorem.

Kolega jego, pan Paweł M., bardziej utalentowany, o wiele większej inteligencji i w szlachetniejszym stylu, bywał pomijany przez reżyserję i tylko kiedy niekiedy, gdy tamten skaprysił, dostawał role. Mawiał też nadzwyczaj rozgoryczony:

— Ha, trzeba się umieć damom podobać. — Pan Alfred kokietował, pan Paweł grał. Pierwszy był konwencyonalnym, salonowym bawidamkiem, drugi czującym głęboko artystą. Powtarzaliśmy mu też często powiastkę o wróblu i słowiku, co go trochę uspokajało.

Ten biedny słowik śpiewał słodko i dźwięcznie. Organ o szlachetnem brzmieniu, dykcya czystości przedziwnej, piękne, męskie rysy twarzy, na których odbijało się każde drgnienie uczucia. Pamiętną jego rolą był Roswein w »Dalili«, którym czarował publiczność inteligentną. Mimo to wróbel zawsze był górą, bo gdy na widowiska pierwszego sala tylko do połowy zapełniała się, drugi miewał ją pełną.

Dla słowika też biły młode, nieskażone serca, wróbel podobał się gawiedzi, z której składa się większa publiczność.

Dziwnież bo i były ich życia.

Gdy słowik po pracy wracał do swojego gniazdka, gdzie go czekała stęskniona żona i dziecko; na wróbla czekały karetki, aby go zawieźć do przybytku rozkoszy.

W teatrze kochały się w nim wszystkie, ale każda chciała go mieć tylko dla siebie. Można sobie wyobrazić, jakie to było piekło.

— Cóż to za nieszczęśliwy człowiek! — mawiał pan Paweł z podziwem — ani dnia, ani godziny. Ależ to psie życie!

— Ale gdzież tam! Nie widzisz, jak on sobie radzi wybornie. Obraca się w tem wszystkim z rutyną wytrawnego myśliwca.

Już nie pamiętam, jaką dawano wówczas sztukę, w której główne role grane były przez dwie rywalki; gdy powstał za kulisami krzyk, wymysły, spazmy. Co takiego? Oto dwie rywalki porwały się za włosy i jedna drugiej chce oczy wydrapać.

Podobne sceny zdarzały się dosyć często nietylko w teatrze. Oto pani K. na jakiejś prelekcji nawymyślała pani J., tak, że ta porwała parasolkę i wygrzmocić chciała rywalkę. Pani D. znów zrobiła impertynencję pani Z., nie przyjmując jej, zaco ta nawymyślała jej przez służącą. Słowem piękne działały się rzeczy.

Należało temu zaradzić.

Kobiety, gdy chodzi o przedsięwzięcie czegoś, potrafią się łączyć solidarnie, zapominając na czas jakiś swoich krzywd, byle wspólnie rzecz do celu doprowadzić. Postanowiły więc ożenić pana Alfreda. — Ja go nie mam, ale niechże nie będzie go miała i ona! — powiedziały sobie. — Trzeba go ożenić! — i tak się koło tego zakrzętnęły energicznie, tak potrafiły wmówić potrzebę małżeństwa, że pan Alfred ani się spostrzegł, gdy klęknąć musiał na ślubnym kobiercu.

Była to młoda wdówka po zmarłym bezdzietnie profesorze G. z trochę grosza. Skromna, nieśmiała, ale wdychająca skrycie za swym przyszłym małżonkiem.

Podziwialiśmy tę komedię.

Biedna ofiara, otoczona całą pieczołowitością swych przyjaciółek tak dalece, że się nawet zajęły jej ślubną wyprawą i usłały dla nich puchowe gniazdeczko, czuła się nadzwyczaj szczęśliwą. Przyjaciółki odwiedzały ją

codzień prawie, badając najmniejszy szczegół ich życia i troszcząc się o wszystkie ich potrzeby.

Pan Alfred, zda się, odmłodził, a nawet przytył trochę w tym raju małżeńskim, co mu złośliwi poczęli wyrzucać, osobiście panie nasze nie szczędziły mu ostrych przycinków, zowiąc go poprostu wstrętnym karyerowiczem.

Nie chciały z nim grywać i zwróciły się wszystkie do pana Pawła, który temi czasy dawał coraz piękniej opracowane role w nowym repertuarze. Były to postacie głęboko pomyślane przez autorów, dla których już nie wystarczał szablon pana Alfreda.

Trzeba było nad nimi odbywać studia.

Pojawił się wreszcie i Hamlet. Pan Paweł, chcąc go dobrze odtworzyć, pojechał do Wiednia wraz z koleżanką swoją, która miała z nim grać Ofelię.

W wiedeńskim burgu królował wówczas Wagner, aktor starej szkoły, grający jednak świetnie królewicza duńskiego.

Gdyśmy pytali naszego bohatera, jak znalazł niemiecką scenę, odrzekł:

— Może nie uwierzycie w to, co powiem. Oto odnalazłem tam wszystkie swoje wady, których nie widziałem dotąd, a z których teraz się otrząsnę.

Dziwnem się wydało to, tak wiele o sobie mówiące i wielkiem zarozumieniem trącające zdanie, ale rzeczywiście pan Paweł stanął nam nagle jak gdyby nowy, dotąd niewidziany aktor.

»Hamlet« był odegrany świetnie.

Po »Hamlecie« pojawiły się: »Romeo i Julia« dalej »Otello«.

A publiczność jednym chórem powitała nareszcie w panu Pawle znakomitego aktora. O panu Alfredzie, zdaje się, zapomniano. Przypomniął go skandal, którym drgnęło całe miasto.

Oto złapany na umizgach do żony pana K., został przez niego tak niemiłosiernie obity, że musiał się położyć do łóżka.

Gdy się wylizał, trzebaż było pomyśleć o roli, któraby rywalowi przecie przypomniała, że lew żyje jeszcze i nie da się zjeść tak łatwo.

Za namową swoich przyjaciółek wybrał sobie na benefis »Don Carlosa«, w którym objął rolę markiza Pozy, Don Carlosem zaś był pan Paweł.

Skandal!

Margrabia Poza podrygujący, z chusteczką w ręce, był wstrętną karykaturą. Publiczność w połowie sztuki zaczęła wychodzić z teatru tak, że gdy ją dociągnięto do końca, nie było już nikogo.

I oto ludziom myślącym dane było ciekawe zjawisko do zbadania.

Sztuka — mówiono — to długa i cierniowa praca, trzeba do niej dochodzić w ciężkim trudzie, raniąc sobie stopy, trzeba wciąż walczyć z obojętnością i obskurantyzmem publiki a nie zrażać się niczem i wciąż tworzyć; trzeba porzucić dla niej wszystkie ziemskie pasye i uciechy, a przystępować czystym, z modlitwą w sercu. Powodzenie bez zasługi to mara zwodnicza, która prędzej czy później pierzchnie, zostawiając biednego rozbitka bezradnego na pastwę męczarni.

Pocciwy pan Paweł nie puszył się powodzeniem swoim, ale krzepił kolegę i zachęcał do pracy, otwierając przed nim nowe horyzonty. Pan Alfred słuchał, ale nie rozumiał, jak gdyby ślepemu o kolorach prawiono, zeszedł też na to, czem był zawsze: na nędznego rutynistę, a że mająteczek żony zapewniał mu egzystencję niezależną, więc grywał rzadko, ale zato kochał się coraz częściej.

Było w tym szlachcicu dużo animuszu rycerskiego. — To dobra rasa — mawiano o nim. — On wcale

na aktora nie wygląda. Ubierał się elegancko bez pretensyi, czego o innych powiedzieć nie można, nawet nasz sympatyczny pan Paweł lubił się odróżniać jaskrawością ubrania. Zestawiając ich obu, można było powiedzieć, iż jeden z nich chce zapomnieć, że jest aktorem, drugi jak gdyby pragnął szczycić się swym stanem.

Pan Paweł był wnukiem aktora, żyjącego jeszcze za czasów Bogusławskiego, ojciec zaś jego porzucił zawód, aby wstąpić do wojska i zginął w bitwie pod Grochowem, osierociwszy wdowę z kilkorgiem dzieci. Tradycja dobrej szkoły przechodziła z ojca na syna. Żenili się wszyscy z aktorkami i byli licznie rozrodzeni. Zebrawszy stryjów, wujów, ciotki i siostrzenice, tworzyli familijną trupe, która przez długi czas jeździła po Litwie. Zwano ich zwykle »Gniazdem« i mawiano: Tam, gdzie gniazdo się zjawi, trawa nie porasta. Takich to gniazd mieliśmy w owe czasy kilka. Były gniazda Nowińskich, Stobińskich, Ratajewiczów, Okońskich. Dyrektor teatralny Chełchowski nazywał ich wszystkich pogardliwie cyganami.

— Nie chodź do gniazda, bo tam ci każą drwa rąbać i wodę nosić, a patrzeć musisz, jak grają mamy, ciocie i wujcie.

Że było w tym żarcie nieco prawdy, to nie ulega wątpliwości. Kamarylla pochłaniała wszystko, nie dając obcym zbliżyć się do poświęconego stołu.

Czas stał to wszystko na miazgę. Dziś mówi się o tem, jak o dawno minionych a niepowrotnych dziejach.

*

*

*

Było to zimą. Mróz dziesięciostopniowy szczypał w uszy. Pan Alfred w futrze, dużych kaloszach i... słomianym kapeluszu przyszedł na próbę. Cóż to takiego? W roztargnieniu zapewne chwycił za ten, zamiast zwykłego cylindra, który nosił.

— Patrzcie — powiada, zdejmując kapelusz — to przepyszne ubranie na głowę w czasie mrozu. Tu w całym cieple przyjemne a głowie chłodno. Ach, jak jeszcze chłodno!

Patrzmy. Czy pijany? Ale jeszcze za rano. Zresztą pan Alfred nigdy się nie upijał.

— Cóż patrzycie na mnie, jak na waryata? Powiadam wam, że to pyszne.

— Ależ tak. To zasada rzymska — powiada jeden z kolegów. — A ja znowu wolę zasadę smorgońską: w głowę ciepło, w nogi zimno. Doskonała kuracya na reumatyzmy. Znałem takiego, który chodził w futrzanej czapie i kozuchu, a boso.

— Gdzież to było? — zapytał skwapliwie zaciekawiony pan Alfred.

— Na Litwie, pasał bydło.

— Wiecie, że to może być wyborne. A Schiller, pisząc »Don Carlosa«, nogi trzymał w lodzie i szampana popijał.

Tego Don Carlosa lubił pan Alfred przytaczać, bo utrzymywał, że nad żadną rolą w życiu tyle się nie napracował i żadnej nie grał tak dobrze. Tylko głupia publiczność nie umiała go ocenić.

Zaczęliśmy próbować »Ćwiartkę papieru«, w której pan Alfred grał Prospera. Nauczył się roli i próbował bardzo dobrze, ale ciągle miał do czynienia z kapeluszem swym, to go brał naprzód, to wtył, to na prawo, to na lewo, uśmiechając się do nas trochę głupkowato.

Poznaliśmy, że się z nim coś złego dzieje.

Zwykle mało mówiący, bo ożywiał się tylko przy kobietach, naraz zjawił się nam w dobrym humorze i wesołym. Opowiadał anegdotki ze swojej młodości.

— Wiecie, miałem wyżł, który się nazywał Pierrot, bo był bestya nadzwyczaj zręczny i zwinny. Do polowania jedyny. Gdym się za długo zasiedział w domu

i nie chciało mi się wyruszyć, zdejmował dubeltówkę ze ściany, przynosił mi ją, kładł na kolanach i póty skomlił, póty prosił, żem nareszcie, zwyciężony, wyruszał w pole. Zdarzyło się, że pokojówka pani Z., u których bawiłem na wsi, (ładna była dziewczyna), gdzieś się zapodziała. Wołam na Pierrota: »Szukaj Kasi, Pierrot! Szukaj Kasi«, zupełnie jak tu w sztuce. Pierrot poleciał i przyprowadził Kasię, bardzo zażenowaną i zawstydzoną, bo jakieśmy się później dowiedzieli, była na *rendez-vous* z pisarzem prowentowym. Jedyny pies, wyświadczał on mi rozmaite usługi i nie tylko z Kasią.

— Cóż się stało z tym Pierrotem?

— Wiecie? wściekł mi się szelma. Gajowy mu palnął w łeb.

I przy tych słowach zrobił ruch laską ku pani R., grającej Zuzannę, jakby do niej chciał strzelić. Ta krzyknęła gwałtownie i zeszła ze sceny, oświadczywszy, że nie będzie próbować.

— Cóż ona myśli? — wybuchnął pan Alfred — że ja będę grał taką rolę o dwóch próbach?... Ja ją tu na powrót zaraz napędzę!

Chciał biedz za nią, aleśmy go powstrzymali.

— To tak z babami. Mówiłem panu zawsze — rzekł, zwracając się do reżysera — żeś za miękki, cybuchem od czasu do czasu wygrzmocić trzeba.

→ No, wiecie co, chodźmy na śniadanie. Ta szelma zerwała próbę, trzeba nam się na te smutki napić wódki. Proszę do Wencla.

Na to śniadanie nikt się nie kwapił, ale z warjatem żartów niema. Porwał nas za barki, ściskając jak kleszczami, i prowadził. Zaledwieśmy się na ulicy uwolnili od niego.

Wszyscy zatrzymywali się, patrząc na jego kapelusz słomiany. Jeden z przechodniów rzucił przysłowie: »Nosił wilk owce, ponieśli i wilka«.

— Teraz dopiero widzę, że w Krakowie waryaci chodzą po mieście. Że też policya na to pozwala.

Na owem śniadaniu sam pił potężnie i nas zmuszał. Trzeba było używać wykrętów, aby się od niego uwolnić. Wreszcie oświadczyliśmy stanowczo, że pić więcej nie będziemy, że pora iść do krawca, aby na pojutrze garderobę przygotował.

— Doskonale, pójdziecie ze mną do Wojdy, każe sobie zrobić biały kostyum. Ale to wino wyborne. Proszę mi dać kilka butelek, wezmę z sobą.

Zawinięto mu owo wino, które powkładał w kieszenie, i tak, pełen animuszu, powiódł nas z sobą przez miasto. Wsadziliśmy go fortelem do dorożki i odwieźli do domu. Na czem się to skończy?

Nadszedł dzień przedstawienia.

Pan Alfred przyszedł do garderoby bez butów, w skarpetkach i w ogromnej czapce futrzanej na głowie. Podobała mu się zasada »smorgońska«.

— Oj źle, będzie skandal! — mówiliśmy zaniepokojeni do reżysera.

— Eh, nic takiego, to mu przejdzie. Przecież próbował wyśmienicie, rolę umie doskonale. Sztuki odwoływać nie można. Wszystkie bilety sprzedane, przy kasie tłok niezmierny.

Całe miasto jakby dało sobie słowo, aby być na tem przedstawieniu.

Gruchnęła wieść, że pan Alfred zwaryował.

Chciał wejść boso na scenę, ale go nie puszczono.

Pierwszy akt poszedł dobrze.

W drugim akcie, Prosper, ubrany w futro, w owej olbrzymiej czapce bobrowej na głowie, jak każe rola, począł bredzić, nazywając kobiety innemi imionami niż w sztuce. Nareszcie w scenie z Zuzanną wziął sztylet ze stołu i zmierzył ku niej. Wybiegła za kulisy. Publiczność jeszcze siedziała, bo, nie znając sztuki, nie wie-

działa, co jest w niej. Za kulisami oburzenie, że nie kazano przerwać widowiska. Dopiero, gdy pan Alfred począł monolog z publicznością, nazywając każdego po imieniu lub nazwisku, a następnie zaśpiewał piosenkę z »Rigoletta«:

»Kobieta zmienną jest«...

Gdy ze sceny chciał przeleźć przez orkiestrę do krzeseł, powstał krzyk nie do opisania. Pochwycono go i ubrano w przygotowany kaftan.

— Głupi ludzie biorą mnie za waryata, a jam tylko co zrzucił maskę histryona i chcę zostać dawnym Fredziem... Fredziu, Fredziu, Fredziuńku!

Począł śpiewać jakąś piosenkę, którą mu zapewne niańka do snu nuciła.

Dreszcz nas przebiegł.

Kobiety płakały.

Czterech ludzi silnych wsadziło go do dorożki i świat się przed nim zamknął.

Nie miał jeszcze lat czterdziestu.

W zakładzie obłąkanych śpiewał ciągle piosneczki wiejskie, których umiał wiele, i tył niepomierne.

Gdyśmy go odwiedzali, nie poznawał nikogo i o teatrze nie wspomniał nigdy, rozmawiając tylko jedynie o swych latach dziecinnych, spędzonych na wsi.

Aktorstwo wraz z rozumem gdzieś od niego odpadło. Bo też było ono dla niego tylko suknią, którą przywdział przypadkiem.





PENSYONAT

Teatr nasz w swoim rozwoju przechodził rozmaite fazy. Zbyt późno urodzony, nie mógł podążyć z biegiem czasu; musiał, jako spóźniony, przyjmować to, co już u obcych zarzucono. Stąd to w czasach jeszcze niedawnych widzimy rzeczy takie, które średniowieczne przypominają cechy.

Mimo że Bogusławski tak świetnie wyprowadził dzieło swoje z nicości, pomimo że walczył z ciemnotą i obskurantyzmem, aby tych swoich aktorów przestano uważać za pajaców i komedyantów, którzy niegodni byli za życia obracać się w sferach ludzi uczciwych, a po śmierci spoczywać w poświęcanej ziemi; pomimo to przecież długo jeszcze, a kto wie, czy i dziś nawet nie żywi się dla nich coś w rodzaju pogardy czy niechęci, coś w rodzaju niedowierzania w ich ludzką naturę, darząc przewiskiem paryów.

Ci paryowie odpłacali społeczeństwu obojętnością, usuwając się od niego i zasklepiając w sobie. Tworzyli oni rodzaj wyspy na społecznym morzu, gdzie panował inny obyczaj, właściwy sposób mówienia, i gdzie kwitnął kult dla sztuki w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu.

Taką wyspą zamkniętą był w pierwszej połowie zeszłego stulecia teatr Chełchowski.

Ci, którzy z niej wyszli, zachowali dla niej przez całe życie najmiłsze wspomnienia, a do takich należał między innymi ś. p. Jan Królikowski.

Nie lada jakim musiał być człowiek, którego woli absolutnej poddawano się z taką ochotą.

Kto dziś z piszących o teatrze wie, czym był Chełchowski? Są starsi pisarze, którzy pamiętają to imię tak, jak się pamięta wiele innych, nic nie mówiących. Ci powiedzą o nim, że był to sprytny entrepreneur, prowadzący niezbyt czysto swoje interesa, hulaka, karciarz, sam lichy aktor, mający przytem dużo szczęścia do ludzi i t. d., i t. d. Tymczasem Chełchowski w tradycji świata aktorskiego to postać olbrzymia, legendowa prawie, to dyrektor ponad wszystkimi jacy byli kiedykolwiek, informator niezrównany; to człowiek, który odga-dywał talenta, kierował niemi, i wprowadzał na właściwe pole, jednym słowem stwarzał wielkich aktorów.

I niema w tem wcale przesady. Warszawa widziała go kilka razy na scenie w roku 1836 w rolach gościnnych, a nie zapomniała mu długi czas ostatniego jego występu w »Lucyi z Lammermooru« w roli Edgara Rewenswooda, kiedy to Werowski, olbrzymi wzrostem, grając Astona, rozwinął płaszcz z ramion i przykrył nim stojącego obok siebie niskiego współzawodnika, a po chwili, niby oglądał się po scenie, gdzie mu się zapodział. Po tem niefortunnem przykryciu już się nie pokazał na naszej scenie, ale zato, jakby się mszcząc doznanego upokorzenia, jakże ją bogato uposażył w talenta!

I czy wspomniał kto kiedykolwiek, że ten człowiek wywiódł Królikowskiego, Rychtera, Chomińskich, Komorowskiego, Tomaszewicza, Chomanowskiego, Linkowskiego, Trapszę, Radzyńską, Pigne, Ekerową, i tylu, tylu innych?!

To też ile razy gwarzyli o nim nasi teatralni weterani, tailem oddech, aby słówka nie stracić i z ich

opowiadań wyrobiłem sobie pojęcie o człowieku, a widziałem go tylko raz jeden, przy schyłku jego ciekawego żywota.

Takiej powagi w aktorskim świecie nie zażywał nigdy żaden z dyrektorów. Zdanie jego miało siłę dogmatu. Jeden z celujących uczniów Kudlicza, wykształcony jak na owe czasy dość pobieżnie, posiadał talent informatora, i jak gdyby był dyagnostą aktorskiego talentu.

Było w tej małej figurce coś, co nakazywało szacunek, połączony z obawą pewną. Gdy spojrzał swojemi, wielkimi oczyma, zdawało się, że zaglądał w głąb duszy. Są koledzy, którzy utrzymują, że siłą wzroku swego pętał najburzliwsze organizacje i poskramiał niby dzikie zwierzęta. Szerokie i myślące czoło jego dawało miarę zasobu bystrej inteligencji, a małe zaciśnięte usta znamionowały energię i dowcip cięty, z którego słynał, bo niema miasta polskiego, któreby nie przechowało o nim jakiegoś wiele mówiącego wspomnienia.

Taki to człowiek tworzył z trupy swojej istny klasztor albo pensjonat.

Gdy który z ciekawych młodzieńców chciał pobujać poza jego murami, Chełchowski mawiał:

— Co ci potem? tam tylko oparzysz się, albo upodlisz i wyśmieją cię w końcu. Tu masz świat szeroki sztuki. Pracuj i ucz się.

Gdy zjeżdżał do nowego gdzieś miasta, już tam wysłany był naprzód jego sekretarz, który wynajmował dla trupy dom cały, a zdarzało się zawsze tak, że dom ten był tuż przy teatrze albo stanowił z nim jeden budynek.

Bywały jednak wyjątki, gdy trupa zjeżdżała do jakiegoś małego miasteczka na jarmark, na parę przedstawień. Tam nie było mowy o dobrym umieszczeniu, bo nie tylko hotele, ale i domy prywatne były zajęte.

mieszczono się wtenczas w sali teatralnej, która była improwizowana najczęściej z zajazdu albo szopy. Opowiadał mi Rychter, jak z Królikowskim sypiali przez kilka nocy w nogawicach orbrzymich tureckich hajdawerów, które przewieszali przez drabinę stojącą. Byli obadwaj szczupli, niedużego wzrostu. »Nigdy tak dobrze nie spał, jak wisząc w tej nogawicy. Królikowski tylko grymasił i rzucał się jak ryba w sieci, przez co mnie budził«.

A cóż było z płcią białą?

Płeć biała dzieliła losy swoich mężów, bo nie było u Chełchowskiego wolnych. Tego on ściśle przestrzegał. Gdy jakaś oporna para nie chciała się związać, póty manewrował, zachodził sztuką, dopóki się nie pobrali.

— Mogłabyś też być trochę względniejsza dla tego chłopca. Toć on traci głowę dla ciebie.

— Co też dyrektor mówi? Ucieka odemnie jak od czarownicy!

— Jakże niema uciekać, kiedy nań patrzysz, jakbyś z Łysej góry wróciła!

A do niego rzekł:

— Dokądże to pozwolisz więdnąć tej kobiecie? Będziesz ją miał na sumieniu. Patrz, jak cię pożera oczyma! Żeńcie się. Dam w Piotrkowie benefis na waszą wyprawę.

Odtąd młodzi ludzie inaczej patrzali na siebie, aż się w końcu zbliżyli.

Ale ileż to razy zamiast tego błogosławieństwa odezwały się krzyki wściekłości i przekleństwa. I w tem Chełchowski znalazł się jako medyator.

Miał receptę na wszystko.

W tym pensyonacie nie potrzebowałeś troszczyć się o krawca, szewca, lekarza, aptekę: on zaspokajał wszystkie potrzeby. Byli i tacy, których stołował, a kucharki dobierał znakomite: dowodem pani Balbina,

która później zasłynęła jako znakomitość w rolach charakterystycznych.

Płacił wszystkim jednakową gażę. Podwyżka stanowiła wielką odznakę; był to rodzaj orderu. Trąbiono też o tem, jak o największym zaszczycie. Zawieść nie zgnieździła się tam nigdy, bo nie znano reklamy, która zatruwa życie aktorom. Starano się grać dobrze, bo dyrektor patrzy i pochwali niezawodnie... a nagany jego bano się strasznie.

Zdarzało się, że do jego pensjonatu, który stawał się głośnym, zbiegało się dużo młodzieży, mianowicie studentów. Takich Chełchowski nie przyjmował, dopóki mu nie pokazano listu od rodziców z pozwoleniem.

Pamiętano taką scenę.

W Radomiu zjawił się do niego szlachcic.

— Mospanie Chełchowski, mam syna jedynaka, któremu się zawróciła głowa teatrem, i niczem być nie chce tylko aktorem. Zmiłuj się, radź. Słyszałem, żeś człowiek uczciwy i mądry.

— A gdzie ten kawaler? Niech go zobaczę.

Szlachcic uchylił drzwi.

— Antoś! sam tu?

Do pokoju wleciał młody chłopiec. Ukłonił się ładnie Chełchowskiemu i zaraz z miejsca zaczął deklamować monolog Jaromira z »Matki rodu Dobratyńskich«.

Wyrecytował go jednym tchem bez zająknięcia.

— Pamięć wyborna — rzekł Chełchowski: — będzie doskonałym matematykiem. A przeczytajno kochaneczku ten kawałek.

Podał mu »Żydów« Korzeniowskiego.

Antoś czytał rolę Antosia, a Chełchowski mu odpowiadał w roli komornika. Z początku szło jakoś, ale gdy doszli do miejsca, gdzie ojciec oburzony na syna, z wykrzykiem strasznym rzuca się ku niemu, grożąc przekleństwem, Antoś tak się przestraszył, że książka

mu z ręki wypadła, potem zalał się łzami, i począł prosić o przebaczenie.

Ojciec pospieszył do chłopca, aby go utulić i uspokoić, a Chełchowski, wciąż jeszcze nie wychodząc z roli, grzmiał dalej strasznym głosem:

— I ty smarkaczu z zajęczem sercem, śmiesz marzyć o scenie, gdzie trzeba sił nadludzkich, gdzie należy mieć serce z kamienia, a nerwy jak postronki. Gdzie trzeba się wyrzec matki, ojca, brata, przyjaciół? Precz do matematyki, i niech cię oczy moje więcej nie zobaczą, bo inaczej biada ci!

Szlachcic sam się naprawdę przestraszył, zabrał chłopaka i wynieśli się obadwaj, a nie zatrzymali się aż na bryczce, która ich odwiozła do domu.

Tam dopiero głosili, co to za straszny człowiek ten Chełchowski!

Tak wielką powagę miał u swoich aktorów, że gdyby był laskę postawił na scenie, to ta laska oznaczałaby jego osobę, i wobec tej laski odczuwanoby jego obecność.

Zjawiał się też niespodziewanie na próbie, gdzieś w kąciку ciemnej sali, jak widmo niewyraźne, z którego wychodził głos potężny:

— Jeszcze raz powtórz! Nie trzep tak! Myśl, o czem masz mówić!

Albo:

— Kto ty jesteś?

Milczenie.

— Kto ty jesteś, pytam?

— No... jestem hrabią...

— Tyś hrabią? Tyś piernikarzem! Wejdz mi jeszcze raz. Nie rób tyle niepotrzebnych ruchów rękoma. Mówiłem wam zawsze: Ostrożnie z gestem! Lepiej go nierób wcale, aniżeli ma wyjść koszlawo. Gest powinna zawsze poprzedzać myśl.

Albo :

— Co to za jarmark? Co to za kakofonia? I to ma być salon? Wśród tego niby gwaru każde słowo ma być słyszane. Jeszcze raz. Powoli.

— Tak. Jeszcze raz... Teraz prędzej.

— Jeszcze raz... Teraz dobrze.

Zdarzało się, że przyczajony za kulisą wpadał nagle na scenę jak bomba, tak, że przestraszał wszystkich.

— No co? Zdumienie! Przestrach! Ot widzicie to tak prawda wygląda. Próbujecie tę scenę, jakbyście maślanek mieli w żyłach zamiast krwi. Tu na widok tego trupa oczy wam wyłażą z orbit ze zdumienia i przestachu... a potem żal, a potem wściekłość i zemsta.

— Próbuju ty pierwszy.

— Wielki Boże! — zadeklamował aktor.

— Fałsz! Co widzisz przed sobą?

— Trupa...

— Nie widzisz go. Powtarzasz słowa, jak nakręcona maryonетка. Obacz tę twarz drogą, którąś czcił i kochał. Obacz tę błądźć śmierci. Czy widzisz, jak się z tej rany krew czerwona sączy? »Wielki Boże! i to jest ten, któregośmy przed chwilą ze czcią podziwiali, jak nieustraszone pędził w tłum nieprzyjaciół, nasz wódz ukochany Rolla! Och! przekleństwo twoim mordercom! Dalej do broni! Za każdą kroplę krwi jego niech padają wrogi setkami. Niech to pole pokryją trupy, jak łany zżętego zboża. Do broni!«

I Chełchowski płakał jak bóbr, potem szalał, wściekał się z gniewu, tak, że porwał, rozpałił do czerwoności te młode dusze. Rzucono się do niego, aby go ścisnąć i całować.

— Tak, moje dzieci! Autor daje wam słowa, nic — tylko słowa, ale wy musicie w te słowa kłaść część swojej krwi i swojej duszy.

Miał żyłkę satyryczną. Gdy przyjeżdżano do miasta, rozpytywał się i rozpatrywał w stosunkach ludzkich i nicował wady i zdrożności w kupletach, które sam tworzył i śpiewał. Narażał się nieraz tak, że »nożyce« odzywały się z całą furią, zmuszając go poprostu do wyjazdu z miasta, albo grożąc zemstą doraźną.

Oto w Płocku żył w swoim czasie patron, który słynął z niemoralnego życia. Chełchowski grał »Chłopa milionowego« i umieścił go w kupiecie:

Cóż to za adwokat ten,
Co ma włosy, gdyby len?
Żonę wypędził w świat,
A ze służą za pan brat!
Dla takich stadeł mam
Miotły, miotełki!

Pokazał go prawie palcem. Patron się zemścił, pisząc na niego wierszyk niesmaczny, który po mieście rozrzucił.

Publiczka uradowana, czekała na replikę. Jakoż zjawiała się w kilka dni, w tym samym »Chłopie milionowym«, przy przepełnionym teatrze:

Dzieciaków tuzin ma,
Lecz o nich nic nie dba!
Bose i nagie są,
A i jeść codzień chcą.
Dla takich ojców mam
Miotły, miotełki!

Trzeba było wyjeżdżać z Płocka, bo grożono obiciem.

*

*

*

Gdy się postarzał, podagra odjęła mu nogi. Kazał się nosić do teatru w krześle. Nareszcie znękany, zniecierpliwiony, zdobył się na energię i chciał przełamać oporną chorobę. Zapowiedziano afiszem, że Chełchowski

wystąpi w »Gaḡanduchu«, w roli szewca. Publiczności zebrało się dużo, bo go dawno nie oglądała. Przywłókł się do garderoby, ubrano go, ale zaledwie postawił krok na scenie, padł, aby już nigdy nie powstać. Działo się to w Kownie, w roku 1860.

Po jego zgonie, potworzyło się dużo Chełchowskich. Chciano go naśladować, i jak to zwykle bywa, brano to, co było w nim ujemnego. Stąd to i urosła o nim fałszywa *fama*. Czas ją jednak zniweczył i podał pamięci to, co było w nim czystem złotem.

Cześć jego pamięci.





M Y S Z K A

Było to w maju.

Wieczór, powiadam panu, był wymarzony, akurat taki, jak w »Romeo i Julii«. Słowik za oknami nucił swoje trele, bośmy mieli mieszkanie od ogrodu. Tylko cośmy wrócili z teatru. Graliśmy »Żydów«. Ja byłam jeszcze wówczas księżniczką Zofią, a mój Ferdek grał Pazurkiewicza. Tylko cośmy się pobrali. Ładną byłam, powiadam panu.

— Ależ wiem, wiem.

Co pan wiesz, kiedyś mnie wtedy nie znał, boś sam koszulę nosił w zębach.

— Ale wiem, że pani Anna była prześliczną, a dziś jesteś bardzo przystojną kobietą.

— Oh, widzicie pochlebnika.

— I wyjść za takiego brzydala, jakiegoś tam Pazurkiewicza.

— Ferdek, słyszysz? Powiada, żeś ty brzydal.

— Puść go kantem...

— Gdzie on brzydal. Przystojny chłop. A jak my się kochali...

— Czy ty, stara, przestaniesz paplać. Wchodzisz zaraz na scenę.

— A bodaj dyabli wzięli... Co gadasz? mam czas. Otóż, co to ja chciałam mówić?

— Było to w maju, w ową noc księżycową...

— Aha! Po spektaklu, wracamy do domu. Siadamy do kolacyi, Ferdek wypił kielich gorzały, jak to ma we zwyczaju, i zjadamy sobie sardelki, piwem popijając. Bieda była, powiadam panu, że choć siekierą tnij. Pustki w kasie, bo w maju do teatru ich miotłą nie napędzisz, ten potwór nie płacił gaży, bo i z czego miał płacić? Nie wiemy, co jutro jeść będziemy, bo i kredyt już ustał. Ale było wesoło. Wie pan, jak to przyjemnie, kiedy się pracowało — i dobrze, uczciwie pracowało, zasiąść do skromnej wieczerzy i gawędzić o tem i o owem. Zwyczajnie, jak po spektaklu. Mówię: Ferdek! otwórz okno, taka cudna noc. Wpuść trochę powietrza i tych trelów słowicznych. Oj, ty, ty, nimfo poetyczna — powiada — zobaczysz, jakiego ty się nabawisz reumatyzmu tem swoim wiecznem otwieraniem.

— To już wtedy był taki brutal? Zwyczajnie Pazurkiewicz.

— Ano był taki, jednak zawsze zrobił to, com ja tylko chciała.

— Ba, ba, wiemy, pod jakim on pantoflem jęczy.

— Bodaj was z temi pantoflami! Każdemu dobrze jak w niebie pod takim pantoflem.

— No, no, do rzeczy, pani Anno.

— Otóż idzie on do okna i... zatrzymał się nagle. Cicho!... słyszysz? coś skrobie pode drzwiami i jakby kwili. Pewnie kot. Wyparowałem go, bestyę, wczoraj, a on powrócił. Nie lubi kotów strasznie. Lecę ja, otwieram, a tu... dzieciątko w powijaczkach, jedną rączkę wysunęło i skrobie nią we drzwi, jak psina, i skomli.

— To nasza Myszka.

— A pan skąd wie?

— Alboś mi to pani już nie opowiadała?

— Opowiadałam — a no, to słuchaj pan.

— Dalej, panie Jowialski.

— Ech, bodaj was.

— Czego to mama tak gniewa się?

— Nic, nic...

I tu pocziwa pani Anna urwała nagle, spojrzawszy na swoją wychowankę.

Było to śliczne dziewczę, z oczętami błękitu nieba, o złotych włoskach. Anioł i anioł z obrazka. A wdzięczne, a pocziwe. Kochaliśmy się też w niej wszyscy. To ozdoba trupy. Grywała wszystko, jak to bywa zwykle w naszych teatrach, od naiwnej, aż do królowej Barbary, dźwigając na swoich wątłych barkach wszystkie heroiny, w jakie ówczesny teatr był bogaty.

Małżeństwo D., otrzymawszy ją z nieba, jak zawsze mawiała pani Anna, choć bieda aż piszcziała, wychowali ją starannie. Była i na pensyi w Stanisławowie. Przybrana matka nauczyła ją pięknie mówić po francusku, bo choć z wiekiem zrobiła się rubaszną i gderliwą, ale sama odebrała wychowanie staranne w Warszawie, jako córka lekarza. Lekcyi muzyki udzielał jej nasz kapelmistrz, historyi i literatury — nasz sufler, a sztuki dramatycznej — pan Ferdynand, sam dobry aktor i uczeń Chełchowskiego.

Ten pan Ferdynand, człowiek z gruntu najpocziwszy, udawał sceptyka i pesymistę. Było to wówczas w modzie. Drwił ze wszystkich i ze wszystkiego, co jednak nie przeszkadzało, że dla wydrwionych rzeczy i ludzi żywił sympatyę i okazywał ukradkiem współczucie.

Gdy im podrzucono Myszkę, wziął dziecko na rękę, kapelusz na głowę z zamiarem wyjścia.

— Dokąd idziesz?

— Odniosę jej.

— Komu?

— Balbinie!

— Czyś oszalał?

— A cóż ty myślisz, że będę żywił jej bachora?

— Alboż to jej?

— Czego to mama tak gniewa się?

— Nic, nic...

I tu pocziwa pani Anna urwała nagle, spojrzawszy na swoją wychowankę.

Było to śliczne dziewczę, z oczętami błękitu nieba, o złotych włoskach. Anioł i anioł z obrazka. A wdzięczne, a pocziwe. Kochaliśmy się też w niej wszyscy. To ozdoba trupy. Grywała wszystko, jak to bywa zwykle w naszych teatrach, od naiwnej, aż do królowej Barbary, dźwigając na swoich wątych barkach wszystkie heroiny, w jakie ówczesny teatr był bogaty.

Małżeństwo D., otrzymawszy ją z nieba, jak zawsze mawiała pani Anna, choć bieda aż piszczała, wychowali ją starannie. Była i na pensyi w Stanisławowie. Przybrana matka nauczyła ją pięknie mówić po francusku, bo choć z wiekiem zrobiła się rubaszną i gderliwą, ale sama odebrała wychowanie staranne w Warszawie, jako córka lekarza. Lekcyi muzyki udzielał jej nasz kapelmistrz, historyi i literatury — nasz sufler, a sztuki dramatycznej — pan Ferdynand, sam dobry aktor i uczeń Chełchowskiego.

Ten pan Ferdynand, człowiek z gruntu najpocziwszy, udawał sceptyka i pesymistę. Było to wówczas w modzie. Drwił ze wszystkich i ze wszystkiego, co jednak nie przeszkadzało, że dla wydrwionych rzeczy i ludzi żywił sympatyę i okazywał ukradkiem współczucie.

Gdy im podrzucono Myszkę, wziął dziecko na rękę, kapelusz na głowę z zamiarem wyjścia.

— Dokąd idziesz?

— Odniosę jej.

— Komu?

— Balbinie!

— Czyś oszalał?

— A cóż ty myślisz, że będę żywił jej bachora?

— Alboż to jej?

— A któżby inny był tak śmiały? Ta kanalia udaje taką świętą i cnotliwą, a ot co wyrabia!

Pani Balbina była to nasza charakterystyczna, z którą pan Ferdynand wiecznie darł koty.

— Zwalasz na Balbinę, a mnie się zdaje, że to prędzej twoja sprawka.

Pan Ferdynand siadł na stołku i zaczął się śmiać tak mocno, że dziecko poczęło płakać.

— Patrz, jak się drze mój synek. Ale... zobacz no, Andziu, co to jest? Bo jeżeli jest córka, to ją wyrzucę za okno.

Pani Anna dobyła dziecku karteczkę z powijaka, na której wyczytała: »Natalia, urodzona dnia... roku... ochrzczona z wody«.

— Aha! Natalia,.. No, to idźże sobie z Bogiem.

— I powiadam panu, ten okrutnik otworzył okno naprawdę — kończyła pani Anna, po powrocie ze sceny, jaką odegrała przed chwilą na próbie. — A ja w płacz... Byłam taka głupia, bom go nie znała jeszcze tak dobrze. No, masz, masz swoją Natalię! — rzekł, oddając mi dziecko. — Moją! moją! niechże będzie moja, ale i twoja. Ferdek, prawda, żem tak powiedziała?

— O, dla Boga! A zamknijże, babo, gębę na kłódkę. Nie widzisz, jak te młokosy biorą cię na fundusz?

— Co mnie mają brać? Alboż oni jej nie kochają tak, jak wszyscy? A on, ten tyran, był i jest dla niej najczulszym ojcem. Bo cóż to było za dziecko! Sama ją wykarmiłam mleczkiem. Nigdy nie zapłakała, tylko, gdy jej głód dokuczył, poczyniała rączką skrobać po koszyku, w którym spała. Oho! — powiada Ferdek — Myszka już skrobie, trzeba jej dać mleczka. I tak została Myszka.

— No, ale przecie panna Natalia ochrzczona?

— Gdzież tam! Nie znasz pan tego poganina? Do kościoła prawie nie pójdzie za nic na świecie. Com ja

się go nabłagała zawsze, naprosiła. Idź sama — powiada. — Jakże pójdę? Przecie musimy ją przyjąć za swoją, dać jej nasze nazwisko. Nie i nie!... i to tak się wlokło, wlokło i wlecze.

Pani Anna była najszcześliwszą, gdy o Myszcze mogła rozmawiać. Zdaje się, że wszystkie skarby uczucia w niej złożyła, bo nie widziałem nigdy prawdziwej matki, któraby tak kochała swoje dziecko... prócz jednej, o której się kiedyś powie. Widywano ich tylko we dwoje, nigdy oddzielnie... i, o dziwna siła władzy duchowej, ta Myszką była tak podobna do swej przybranej matki, że niktby nigdy nie przypuścił, aby nią nie była rzeczywiście.

Myszka zaś dla swej ukochanej mamusi oddałaby życie. Budowano się taką miłością dwóch istot, tak obcych krwią, a przecież tak złączonych węzłami serca.

I właśnie bywa, że takiej miłości dyabeł zazdrości, jak bają ludzie, bo przyszedł czas, że ta matka zaczęła podupadać na zdrowiu. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Potknęła się tak na scenie w »Karpackich górach«, że ją zaniesiono do domu. Był to początek końca. Z tego łóżka już więcej nie powstała.

Po pogrzebie pan Ferdynand gdzieś znikł. Upłynął tydzień jeden, drugi... jak kamień w wodę. Posyłano... badano... nic.

Zrozpaczoną Myszkę przytuliła pani Balbina.

* * *

Było w tych dawnych ludziach coś, co im dawało siły do dźwigania życia. Była wiara w ideały. Byli tem i owem. Hulakami, sceptykami. Drwili nieraz z Boga i ludzi, ale przychodził czas, że w tych duszach budził się robak sumienia. Dokonywali potem olbrzymich rzeczy — i jak byli zapamiętali w życiu, tak się namiętnie oddawali potem pokucie i spełnianiu dobra. Były cha-

raktery. Ten nędzny komedyant przysiągł żonie na łożu śmierci, że się pojedna z Bogiem... i oto poszedł na-przód do pani Balbiny, z którą się żarł całe życie, pro-sząc ją na klęczkach o przebaczenie i opiekę nad swą przybraną córką... potem zdjął buty i włożył ubranie włóczęgi, i tak o kiju, żebrząc, powłókł się boso do Czę-stochowy. Tam się kajał, spowiadał, pościł i modlił... i dopiero po kilku miesiącach powrócił do naszego to-warzystwa właśnie w chwili, kiedyśmy opuszczali Stani-sławów, aby się przenieść do Czerniowiec.

Powrócił takim, jakim był przedtem — chudy, za-więdły; tylko zmarszczek mu przybyło i włosy posiwia-ły. Gdy go pytano, gdzie bawił tak długo, odpowiadał:
— W Warszawie się trochę hulało.

I znów rozpoczął komedję życia, z tym samym ironicznym uśmiechem na twarzy. I znów bawił na sce-nie, tylko, że teraz widywano go z Myszką w kościele.

— Patrzcie, co ta dziewczyna ze mną wyrabia! Do kościoła mnie wlecze. Ciężki mój żywot.

— I czego ojczulek udaje? Czyś nie ty pierwszy do kościoła mnie pociągnął?

— A no, boś przy tej dyablicy, Balbinie, pacierza zapomniała, a to dla panny w twoim wieku jest bardzo niebezpieczne.

— Ej, ojczulku, czasby już porzucić stare nałogi, bo to, jak ksiądz Karpiński powiada: grzeszymy nie-tylko uczynkami, ale myślą i mową.

— Dobryś!...

I tu pan Ferdynand posmutniał nagle, jakby go coś zabiło. Ale to nie na długo. Starej skóry nie rzucić człowiekowi. Tam wewnątrz odbywa się walka i przemiana, po wierzchu zostajemy takimi, jakimi nas urobiło życie.

A to życie dziwne historie wyprawiało z panem Ferdynandem.

Syn bogatego niegdyś szlachcica, został w ósmym roku życia sierotą bez dachu i przytułku. Szkół nie skończył, bo nikt na niego łożyć nie chciał. Był w terminie u szewca, potem u cukiernika, wreszcie chłopcem w domu zajezdnym. Tu się nauczył czytać i pisać ładnie, co go promowało na dependenta u komornika, potem u adwokata, aż nareszcie wszedł do teatru Chełchowskiego w Płocku. Nie odrazu jednak dano mu za-kosztować trunku z czary helikońskiej. Musiał być długi czas posługaczem scenicznym, zamiatać scenę, rozlepić afisze, być posłańcem i sługą wszystkich. Zbuntowała się krew szlachecka i pewnego poranku, gdy go chciano użyć do jakiejś niemiłej mu posługi, krzyknął do Chełchowskiego i aktorów:

— Cóż to myślicie, komedyanty, że ja nie potrafię tak samo zagrać roli na scenie? Proszę mi dać występ, albo porzucam waszą budę, i niech was tu wszyscy dyabli wezmą!

— Hm! hm! Krew Drozdów na Drozdowie — rzekł Chełchowski, patrząc bystro w młodego, zarumienionego chłopca. — A czegożeś dotąd siedział cicho, jak mysz pod miotłą?

— Bo nie jestem zarozumialcem. Ważę wprzód, zanim czegoś dokonam.

— Dobrze... Lubię cię zato. Będiesz grał i będziesz aktorem. Pójdź ze mną.

Chełchowski go wymustrował i na scenę wprowadził. W roli rotmistrza, w »Damach i huzarach«, okazał talent do ról charakterystyczno-komicznych.

*

*

*

Myszka grała benefis. Była to »Biedna dziewczyna z gór«, dramidło grane wówczas na wszystkich scenach.

Ileż to łez wylały nasze matki nad losami tej biedaczki, ale żadna nie potrafiła do tyła wzruszyć widzów

w tej roli, co nasza Myszka. To też zapal był niesłychany. Ofiarowano benefisantce, co było zjawiskiem niebywałem, wielki koszt kwiatów z upominkiem. Upominek pochodził od bogatego przedsiębiorcy i fabrykanta z poblizkiego miasteczka. Wówczas pytano: Co robić z tym fantem? Odesłać oczywiście. Ale, zanim przyszło do spełnienia tego bohaterskiego czynu, zjawił się w domu pana Ferdynanda sam bohater z prośbą o rękę panny Natalii.

— Jakto? tak z kopyta? Widziałeś ją pan na scenie może po raz pierwszy?...

— Przepraszam pana. Pannę Natalię znam już od dość dawna i ona mnie również.

— Aha, to panienska sobie romansik kleciła poza plecami ojca.

— Nie, ojczulku. Pana L. poznałam na wieczorku u państwa M., jeszcze za życia mamy. Potem widywałam go kilka razy u pani Balbiny, ale nigdy nie odkrył przedemną swoich zamiarów... i dziś po raz pierwszy...

— Tak jest... i mam niepłonną nadzieję, że pani i jej godny ojculek nie będziecie stawiali przeszkód memu szczęściu.

Mówił bardzo wzruszony. Natalcia spuściła oczki i zakręciła się po izbie, a pan Ferdynand, popatrzwszy na młodzieńca, rzekł po chwili:

— Cóż ja... To od niej zależy. Mysz... — ale w tej chwili się poprawił. — Natalciu, cóż ty na to?

— Jak każesz, ojczulku, tak będzie — rzekło dziewczę, rzucając mu się do nóg.

— Masz tobie... jak każę! Ja tu nic nie każę! Ty masz z nim żyć. Ty masz związać się na całe życie. Ja go nie znam, moje dziecko. Ja go pierwszy raz w życiu widzę. Jakże ja ciebie... ciebie mogę powierzyć obcemu człowiekowi... a tam matka... Matka!... i gwałtowne łkanie przerwało mu dalszą mowę.

— Mój drogi, ukochany ojczy... Ona mi tam błogosławi. Pobłogosław i ty.

— I chcesz mnie porzucić, Natalko?

— Nigdy, drogi ojczy. Będiesz ze mną, to jest warunek, od którego nie odstępę.

— Spełniam go z rozkoszą, panno Natalio — rzekł narzeczony. — Drogi panie, będziemy się starali oboje, aby ci u nas było dobrze, jak w raju.

— Ha, niechże się dzieje wola Boża!

*

*

*

Pan Ferdynand zaraz po ślubie wyjechał z młodymi, ale tylko trzy tygodnie zabawiał.

— Jakto, już z powrotem?

— A gdzieżbym ja tam wytrzymał? Pielęgnowali mnie, jak nieopierzonego kanarka w puchach. Spasłbym się tam na słoninę. Wyobraź sobie: zięć posyłał dla mnie po porter aż do Lwowa, bo powiada, że w Czeraniowcach niema tak wystęgu. Sam dla mnie skręcał papierosy. Zaprenumerował mi *Narodówkę* i *Dziennik literacki*. Ta głupia Natalka widać mu powiedziała, że lubię grywać czasem na gitarze. Jest i gitara, sprowadzona z Wiednia. No, powiadam wam: przepych wschodni. Gdzież to dla mnie?

Rzeczywiście. Bo pan Ferdynand począł żyć jak anachoreta. Zdawało się, że je dlatego tylko, aby nędzny żywot utrzymać. Znikł pewnego dnia i długo o nim nie słyszano, dopiero w kilka miesięcy w *Gazecie narodowej* czytaliśmy:

»Pan D..., jeden ze zdolnych artystów dramatycznych, umarł z nędzy w szpitalu w Stanisławowie. Taki to los biednych aktorów. Możeby wreszcie nasze władze krajowe pomyślały o jakimś zasiłku dla teatrów prowincjonalnych«.





EX - KOLEGA

Jechałem do Krynicy na wypoczynek. Była to wówczas bardzo uciążliwa droga. Jechało się wozem od Krakowa, nocowało w jakiejś mieścinie żydowskiej i dopiero na drugi dzień w nocy stawano na miejscu.

W jednej wiosce, której nazwiska już nie pamiętam, zatrzymał nas na drodze tłum ludzi. Wysiadłem z bryczki, podszedłem do gromady, która się przedemną rozstąpiła, i ujrzałem leżącą na ziemi kobietę, nad którą klęczał nachylony jakiś chłop, a przy nich stał wysoki, barczysty, opalony pan z dużą brodą i pięknymi czarnymi oczyma. Te oczy uderzyły mnie swym szklistym wyrazem, bom je gdzieś widział — i zanim się mogłem w sytuacji zorientować, spojrzałem w te oczy, a one na mnie. Gdy się tak wpatrujem, pan się uśmiechnął i, wyciągając ku mnie ręce, zawołał:

— No tak, tak! to ja!

— Bolesław! — krzyknąłem ucieszony, rzucając mu się w objęcia.

— Czym się tak bardzo zmienił?

— Nie... ależ...

— Pójdź no do mnie, to pogadamy — a odwracając się do schylonego nad kobietą chłopca, rzucił mu: — Po opatrunku niechno Gęba do mnie zajdzie na chwilę.

— Dobrze, proszę jaśnie pana.

Weszliśmy do dworu. Pan Bolesław otworzył drzwi i znaleźliśmy się sam na sam.

— Siadaj i gadaj teraz.

— Dochodziły mnie wprawdzie głuche wieści, żeś rzucił scenę, żeś wstąpił do zakonu bernardynów, potem został księdzem, alem ja owe wieści puszczał mimo uszu. On taki zapalony wielbiciel piękna i sztuki! Ten, który zasypiał z Szekspirem pod głową! On, który Słowackiego na pamięć umiał!... Czy to możebne?

— Widzisz, że możebne. Słyszałeś przecie o moim wuju, kanoniku we Lwowie?

— Jakto czy słyszałem? Nie pamiętasz, żeś był z tobą u niego? Czy żyje?

— Cieszy się najlepszem zdrowiem. Poznałeś go zatem dobrze. Nie jest to żaden obskurant, jakich wielu, ale człowiek wykształcony. Znajdziesz w jego bibliotece wszystkich poetów, a z Mickiewiczem zna się lepiej niż ze swoją rodzoną siostrą. Ze starymi artystami lwowskiej sceny: Nowakowskim, Smochowskim, Benzą, kolegował w szkołach i dochował im przyjaźni. Bywał w teatrze, dopóki grali, ale się postarzał. Po ich zejściu — powiada — teatr zeszedł na nędzną budę komedyantów, karyerowiczów, ładacznic. Niema tam już miejsca dla człowieka miłującego sztukę. Napróżno mu dowodziłem, że teatr nie z samych talentów się składa, że są w nim ludzie różnej wartości: nie mogłem go przekonać. »Pokaż mi choć jednego!« Wymieniłem mu tego i owego, wymieniłem Modrzejewską, a wreszcie ciebie. — »Co to dziś warte! Może to i utalentowane, ale tamto, to byli wielcy ludzie, wielcy obywatele. Przez sztukę swoją przemawiali do narodu, budząc w nim szlachetne uczucia. I jakie to sztuki wówczas grano; A dziś? fe! rozpusta, bezwstyd! Rzuć to wszystko! Za matki schedę i za to, co odemnie dostaniesz, kupuj wioskę, ożeń się i gospodaruj. Wszyscy S..wicze siedzieli na roli, bo

z roli powstało nasze gniazdo... A i wasz ród poszedł od pług. Ojciec twój jeden, co się bawił bibułą».

Takich zająć nie zliczę. Starzec gderał coraz bardziej. Nareszcie tak się zaciął, że mi wręcz zakazał bywać u siebie. Gryzło mnie to mocno, bo go kocham, bo był dla mnie najczulszym ojcem. Począłem rozważać jego zarzuty, które mimo zacofanych poglądów miały wiele słuszności. Wreszcie zacząłem krytyczniej patrzeć w swoje otoczenie i dostrzegłem w niem straszne, trujące plamy, dostrzegłem zwłaszcza to, o czem mnie wuj przekonać pragnął, że sztuka upada coraz niżej. Znałeś mnie, żem przekładał zwykle samotność nad gwarne, towarzyskie życie z kolegami i koleżankami; teraz się do nich zbliżyłem i... uciekłem.

— Nie blaguj! ileż to wesołych hulanek razem spędziliśmy z tymi kolegami i koleżankami!... A Wikcia? pamiętasz?

— Daj pokój! Bądź co bądź, postanowiłem porzucić teatr.

Przyszedłem do wuja, przyjął mnie groźnie.

— Czego chcesz?

— Chcę porzucić teatr, ale pod warunkiem.

— No?

— Chcę zostać księdzem.

Starzec otworzył szeroko oczy.

— Ty księdzem? po życiu spędzonym na hulance? Chcesz zostać księdzem, tak, jak gdybyś chciał zostać piekarzem, albo cyrulikiem! Kapłaństwo to powołanie, to natchnienie z Ducha świętego, przystępować do niego trzeba z czystym sercem.

— Wiem to i tak też do niego przystąpić pragnę.

— To nie powołanie, to chęćka, która prędzej, czy później uleci.

— Znał cię dobrze — wtrąciłem.

— Co? czym taki zmiennik?

— Nie... ale słomiany ogień.

— Naperorował mi jeszcze wiele wzniosłych rzeczy, których już nie pamiętam. Wreszcie zakończył:

— Ty się ożenisz i będziesz gospodarzem.

— Nie ożenię się nigdy. Ta, którą chciałem mieć, nie dla mnie. A gospodarować nie będę, bo nie chcę i nie umiem.

— Idź spać! pogadamy jutro.

Nazajutrz wujaszek powitał mnie jak najczulej.

— No, Bolku, wytrzeźwiałeś? Chcę ci kupić wioskę. Śliczna, niedaleko Nowego - Sącza, złote jabłko.

— Nie, wuju, postanowienie moje nieodwołalne.

— Dobrze. Ale do seminaryum pójść nie możesz: już za stary na to. Wstąpisz do zakonu Bernardynów, a po roku próby zobaczymy.

— Ha, jak inaczej nie można...

Dalsze opowiadanie pana Bolesława przerwało wejście chłopca, którego widział przy okaleczanej kobiecie.

— Przypatrz mu się — szepnął.

— Patrę.

— No i cóż z Jakóbową?

— Nic jej nie będzie, tylko poleży baba ze dwa tygodnie.

— Cóż jej jest właściwie? — pytam.

— Wóz z ciężarem przeszedł przez stopę i zranił mocno piszczel osi. Baba niedowidzi. Myślała, że wóz już przeszedł, a to tylko przednie koła przeszły, wpadła więc pod tylne. Gdyby tak na przodzie, byłoby gorzej. Kości całe, a reszta furda. Babka wyciągnie ogień.

— Czy niema gdzie blisko jakiego cyrulika?

Pan Bolesław uśmiechnął się i popatrzał znacząco na chłopca, który się skłonił i odszedł.

— Cóż przypatrzyłeś mu się?

— Patrzałem, alem nic szczególnego nie spostrzegł. Zwyczajnie sobie chłop. Oczy ma tylko sprytne.

— To geniusz.

— Co ty mówisz?

— Posłuchaj. Stąd o dwie mile mieszka obywatel, którego córka przed dwoma laty była skazana przez medyków na całe życie męczarni. Paraliż odjął jej obie ręce. Objechał z nią ojciec wszystkie *bady*, jakie tylko istnieją w Europie. Dziewczę młode lat ośmnastu. Zrozpaczony wrócił z nią do domu. A gdyby tak wezwać znachora Gębę? Wołają Gębę (który w żaden sposób nie chce się nazwać Gębarzewskim, choć chłopci niektórzy, chcąc mu pochlebić, tak go zowią — gniewa się zato na nich okrutnie).

Chłop nie *frajer*.

— Uzdrowicie mi córkę?

— Zobaczę.

Obejrzał pannę, wyszedł na ogród, po którym chodził z pół godziny...

— Uzdrowię, ale musicie zrobić to, co każe.

— Zgoda!

— Trzeba sprosić całe sąsiedztwo. Dzisiaj środa... na sobotę.

W dniu oznaczonym zjechali się zaproszeni. W salonie, w którym się zgromadzono, Gęba kazał ustawić podwyższenie z desek, na którym ustawił fotel, a na fotelu usadowił pannę. Patrzano na te przygotowania z ciekawością niezmierną.

Dziewczę, zapłonione wobec tak licznych gości płci obojej, siedziało jak na szafocie. Gęba zbliża się ku panie powoli, wszystkich uwaga skupiona jak w cudowny obraz, a tu chłop podnosi jej wszystkie spódnice. Panna się zrywa na równe nogi z krzykiem, i obiema martwemi dotąd rękoma chwyta za suknie, zapłoniona, zawstydzona. Uratował ją.

Dziś zdrowa dziewczyna jak rzepa. Niema dwóch tygodni, jak z nią tańczyłem.

— I to ma być takie genialne? Oj, ty entuzyasto!

— No, jak to? Więc to u ciebie niczem?

— Sprytny chłop, prawda, ale o tem wie każdy, że tak silne wstrząśnienie w młodym organizmie może wywołać wielką reakcję.

— Czemuż lekarze o tem nie wiedzieli i skazali ją na wieczne kalectwo?

— Dziśby już wiedzieli, bo elektryzacya dokonywała tych samych cudów.

— No, ale ten chłop przecie niema najmniejszego pojęcia o elektryzacyi. Czekaj, dowiesz się tu jeszcze wielu innych rzeczy.

Spostrzegłem, że na tym znachorze był pan Boleśław zwaryowany. Zawsze był taki. Gdy go co porwało swoją niezwykłością, oddawał się temu duszą i ciałem, dopóki się znowu coś takiego nie nasunęło, co warte było zbadania. Wówczas rzucał ulubiony przedmiot i już do niego nigdy nie wracał. Obok sztuki, którą kochał namiętnie, oddawał się fotografii, która właśnie niedawno się zjawiała. Fotografia doprowadziła go do chemii. Kupował książki, sprowadzał preparaty, smażył, gotował; dopiero poparzony jakimś płynem i przestraszony pożarem dał za wygraną. Oddał się potem mechanice i zbudował młynek, który się nakręcał jak zegarek. Ciekawy więc byłem, na co kolej dzisiaj przyszła.

— Nie dokończyłeś mi swego opowiadania... Więc byłeś rzeczywiście w klasztorze?

— A no byłem. Modliłem się przykładnie, zamiatłem korytarze, wyrabiając w sobie pokorę, ale jakem raz Ojcu Gwardyanowi wyprawił serenadę, wyrzucili mnie z klasztoru.

— Jakże to?

— Wiesz, że gram na cytrze i gram dobrze. Śliczny to instrument. Myślałem że mu tem zrobię wielką przyjemność, że go do marzeń ukołyszę. Zerwało się

to wszystko z łóżek, jak oparzeni. Nie! w takich ludziach zamarło poczucie piękna.

— Ha! ha! ha! Toś się wybrał!

— Pobiegłem do wujaszka i, jak widzisz gospodaruję... Szukam nafty!

— Aha, tu go mam! — pomyślałem. — I nie myślisz się żenić?

— A to naco? Żyję jak trapista, i dobrze mi z tem. Zadzwoił, wszedł służący.

— Poproś pani Korytowskiej.

Zjawiła się młoda, ładna kobietka.

— To mój przyjaciel, pragnę go ugościć. Niech pani będzie łaskawa pomyśleć o wieczery.

— Służę.

Ukloniła się zalotnie, szeleszcząc suknią, znikła.

— To mi trapista — pomyślałem sobie. — Mój drogi przyjacielu, radbym z duszy serca u ciebie zabawić, ale mi bardzo spieszo.

— No, przecież zanocujesz u mnie, a jutro w naszej parafii odpust. Poznasz całe moje sąsiedztwo.

— Tam mnie żona czeka.

— Ożeniłeś się?

— I jak! mam dwoje dzieci.

— Bój się Boga, w tym wieku! Poco tobie żona?

— Nie każdy może być trapistą.

Chrząknął mocno.

— No, ale przecie żona i dzieci nie uciekną. U mnie, jak widzisz, świeżego powietrza dosyć i takie samo jak w Krynicy. Musisz usłyszeć kazanie młodego księdza, którego uczyłem deklamacyi i dykcji. Pamiętasz nauki Chęłchowskiego, o których ci mówiłem zawsze: *To-nam-i mó-wię*. Dykcya! dykcya! mój drogi. Dlaczego większej części naszych księży zrozumieć nie można?... bo mówią niewyraźnie. Słuchacz nuży się i męczy, bo nie słyszy wyrazów, tylko mamrotanie monotonne. A potem,

to kiwanie w takt głową, albo sieczenie powietrza ręką! No, ale chodź obejrzeć trochę moje gospodarstwo.

Przed domem, w klombie różnokolorowych kwiatów, bawiło się dwoje pyzatyh dzieci.

— Jakież to ładne! Czyjeż to?

— To mojej gospodynie.

Chrząknął mocno.

— Młoda wdówka. Mąż był leśniczym, zastrzelił się... Patrzaj! widziałeś gdzie takie budynki dworskie? Z cegły wszystko. A gorzelnia? co? A tartak? Wiesz, że ja wyrabiam za 10.000 guldenów desek! Teraz chcę założyć fabrykę likierów. Sam preparuję, bo wiesz przecie, że ze mnie chemik.

— Wiem, aleś porzucił podobno.

— Chemię? nigdy! Toż to nauka, która świat dźwignie albo zniszczy. Hu ha! Piotrek!

Przybiegł zasmolony chłopak.

— Gotuje się?

— Ale jak.

— Dołożyłeś?

— Dołożyłem, ale jakoś zdaje mi się, że za dużo.

— Nie bój się nic. To mój pomocnik. Patrzaj: widziałeś gdzie takie merynosy?

I tak z przedmiotu na przedmiot wchodził.

Nagle wstrzymały nas głośnie śmiechy, połączone ze szlochaniem jednej z dziewczuch dworskich w czeladnym budynku.

— Co tam się stało?

Wysunął się Gęba.

— Ej nic, tylko odkrył złodziejkę.

— Kogo?

— A no Magda ukradła ekonomowej korale.

— Jakżeś się o tem dowiedział?

— A no sztuką ich wzionem.

— Ciekawym.

— Oto do ciemnej izby wpuściłem koguta pomażanego sadzą, o czym żadna z dziewczek nie wiedziała. Wprowadzałem do izby po jednej i powiedziałem: która dotknie koguta, a on zapieje, ta ukradła korale. Koguta wszystkie macały i uwalaly sobie ręce. Tylko jedna Magda wyszła z czystymi rękoma. Więc go nie dotknęła, bo się bała, że zapieje, a wiadomo przecie, że kogut nie pieje w taki sposób.

Pan Bolesław spojrział na mnie tryumfująco.

— A co!

— Prawda. Szkoda, że on nie został ajentem policyjnym.

Przy sutej wieczery zjawił się jakiś inżynier, jakiś technolog. Wino się lało obficie. Gospodarz podcięty począł deklamować i mnie wyzwał. Plotło się niestworzone rzeczy, śpiewało, tańczyło.

Obudziłem się nade dniem z mocnym bolem głowy. Ubrałem się szybko, zwlokłem furmana i tak cichaczem wymknęliśmy się z tej Kapui, zostawiwszy dwór cały w śnie głębokim.

*

*

*

W tydzień zjawił się pan Bolesław w Krynicy. Spotkałem go na deptaku w towarzystwie wesołych panów szlachty, sąsiadów i znajomych.

— Patrzcie! to jest przyjaciel, kolega, który po pięciu latach rozłąki, gdym go gościł u siebie, uciekł... uciekł jak złodziej!

Był już mocno podcięty.

— Przepraszam cię, musiałem. Zanadtoś mnie dobrze ugaszczął.

— No no, musisz tu mi dać *revanche*.

Usadowił się ten pan pod »Góralem« z całym swoim towarzystwem. Tam pili po całych dniach i nocach, grając w karty.

Węgierska granica pod nosem. Sprowadzano wino okseftami. Kryłem się po lasach, aby nie zdybać się z tym hulaką.

Gdy się dobrze popili, pan Bolesław ich trzeźwił wynalezionemi przez siebie kroplami.

Szczęściem, że i to przeszło.

W parę lat doszły mnie wieści, że pan Bolesław stracił na likworach, stracił na tartaku, a o nafcie ani słychu. Teraz zajmuje się tresowaniem gołębi, ale i to przejdzie. W jednym jest tylko wytrwały, że się dotychczas nie ożenił. Żyje jak trapista.





T Y P

Alfons Daudet, tworząc swego Delobela we »Fromont Risler et Comp.«, nie pomyślał pewnie, że jego aktor będzie podobny, jak dwie krople wody, do naszego pana Ludwika W.

Typ jest nieśmiertelny.

Te same rysy, które miał przed dwu tysiącami lat, ma i dzisiaj, i czy to na Południu, czy na Północy, we Francyi, lub u nas, albo w Niemczech, zawsze będzie tym samym.

Powiadają, że typy znikają; to niemożliwe. Czas tylko urabia na nich zewnętrzne formy, ale nie niszczy nigdy gatunku. Czy Tartuf zniknął? Nie, chodzi on dziś tylko w kostymie Ludwika XIV i nie przewraca tak jaskrawo oczyma, jak u Molièra, ale jest we fraku, i będzie do końca świata.

Pan Ludwik W. był typem, typem miernoty aktorskiej ze wszystkimi jej cechami. To, co u innych stanowi ujemność, dla niego było dogmatem. Wszystkie niesmaczne, niemiłe rysy aktorskiego rzemiosła w nim się odbiły. Nie wiedząc, pracował nad ukształtowaniem w sobie gatunku. Robił wszystko, co mu kazała robić rutyna, i gdyby powiedziano, że nosa kawałek obciąć trzeba, pan Ludwik poddałby się tej operacji z rozkoszą.

Grywał w młodości amantów. Ponieważ dawniej ściśle gatunkowano rodzaje, więc gdy już raz profesor

zadecydował, że jesteś przeznaczony na ojców, albo charakterzy czarne, toś już musiał w tym kierunku kształtować w sobie głos, ruchy i wyraz twarzy układać. Tu niema oczywiście mowy o talentach, które tak wówczas, jak i dzisiaj druzgocą wszystkie reguły i stwarzają coś takiego, o czem rutynistom nie śniło się.

Pana Ludwika kształtowano na amanta. Był to młodzian o bujnym wzroście, regularnych rysach, ale bez śladu inteligencji, z matowym głosem. W lot pojął to wszystko, czego chciała rutyna. Był kornym i posłusznym, dał się wymustrować, tak, jak koń w maneżu.

Wystawiono go w »Księżnie i Paziu«, komedyi Scribego. Gadał, chodził, ruszał się wedle reguł, ale matowy głos, przykryty tremą, czynił go nieznośnym. Tak było zawsze, ani głosu poprawić, ani tremy pozbyć się nie mógł.

Ale zato trzeba go było widzieć za sceną. Upozowany na jednego z pierwszorzędných artystów, cesał się tak, jak on, nosił takie samo ubranie, nawet płaszcz z kołnierzem bobrowym i sutą peleryną na ramionach zawiesił, a cylinder świecił zawsze lustrem nieskazitelnym. Zdaleka na ulicy brano go za pana Alojzego. Reżyserów i dyrektora całował w ramię, na niższych pa-trzał z góry.

Maniera jego tak się wreszcie sprzykrzyła, że parter śmiał się i przedrzeźniał głośno, a wykwinna publiczność odwracała się ze wstrętem. Przestano zupełnie dawać mu role. Nie stracił nic na humorze, tylko niżej jeszcze całował w ramię, a z niższymi przybierał ton protekcyjny.

Jakim był na scenie, takim samym pozostał w życiu.

Zmanierowana, tkliwa, pieszcząca mowa i wystudyowany gest, niby to elegancki, którym przyozdabiał każdy frazes. Ręce ubrane zawsze w rękawiczki. Całe zachowanie się *correct*.

Co z takim panem robić w teatrze, na którego publiczność nie chce patrzeć, a koledzy i służba doznają nudy i uciekają, jak od dyabła?

Usunął się w tych czasach stary aktor, który zajmował się rekwizytami i był inspicjentem.

Zaopiniowano, że pan W. może zająć obiedwie te posady, a jednocześnie w razie potrzeby wykonywać małe rolki na scenie.

Posada rekwizytora w naszym teatrze w owych czasach to bardzo korzystna synekura, to nie w Krakowie, Lwowie albo na innych drugorzędnych scenach. Każdy rekwizyt dawała dyrekcyja. On tylko pilnował wykonania go, a co się tyczy jadła i picia na scenie, te brano z pierwszorzędnej restauracyi; wreszcie innych użytych w naturze dostarczał kupiec.

Inaczej rzecz miała się z inspicjenturą.

Nie każdy wie, co ta wiele mówiąca nazwa w teatrze znaczy. Otóż powiem bez przesady, że znaczy ona tyle, co twórca, mistrz, artysta nie byle jakiej miary. Co on stwarza? Stwarza świat zakulisowy, który ma nie mniejsze znaczenie od świata na scenie.

W jaki sposób pierwszorzędne teatru w Europie, a zwłaszcza w Niemczech, zdobywają się na człowieka, który takie cuda działa za kulisami, tego sobie wytłumaczyć nie mogę. Bo też jest to skromny mistrz, niby ów średniowieczny twórca, co to nie kładł nigdzie i nie głosił swego nazwiska, służąc jedynie Bogu i sztuce.

Oto jestem na przedstawieniu w Burgu wiedeńskim dano »Henryka V«.

Scena przedstawia obóz angielski pod Azincourtem. Noc. Wszystko spi w namiotach, prócz króla, który rozmyśla nad jutrzejszą bitwą. On nie zmrużył oka, bo czeka z niespokojnością świtu, a potem wschodu słońca, aby swoje wojsko zlustrować i poprowadzić w bój. Cisza głęboka na scenie. Wtem, gdzieś bardzo daleko, w ja-

kiejs wiosce odzywa się pianie kogutów. Nastrój taki, że każdy oddech powstrzymuje w sobie. Po chwili zjawiają się światelka czuwających, bo już północ minęła. Król słucha i patrzy, aż tu zwolna i świtać zaczyna. Wraz ze świtem budzi się ptactwo, a dalej słońce wyrusza swoją głowę. W miarę tej budzącej się natury budzi się i obóz. Z początku słaby szmer, który rośnie w gwar coraz większy, a kończy się biciem w bębny i głośnem nawoływaniem haseł. Oto arcydzieło gry pokazulisowej.

Trzebaż więcej przykładów?

Oto skowronek w »Romeu i Julii«. Szalejąca burza w »Lirze«. Przeraźliwe odgłosy bitwy, w których odróżnić można jęki konających, groźby, przekleństwa. Gwar wielkiego miasta, dochodzący z ulicy. Rozmowy pojedynczych ludzi, szmer. Gra światła słonecznego, plusk deszczu z ogniem. Słowem świat cały dźwięków, tonów i światła.

Odtworzyć go ze złudą taką, aby nią porwać widza — cóż to za potężne zadanie. Takie dzieła należą do inspicienta.

Zobaczmy teraz, jak się z niego wywiązywał nasz pan Ludwik.

On przedewszystkiem był zawsze *correct*. Wykonywał sumiennie to, co robił jego poprzednik, a więc prowadził dalej szablon.

Do grzmotów była blacha parołokciowa, która, gdy się ją wzięło za jeden koniec i potrząsnęło, dawała odgłos jakiegoś trzaskania i łamania się.

Turkot powozu zajeżdżającego naśladował tupaniem obcasami w podłogę.

Odgłos rozmowy ludzkiej stanowiło jego: Hm, hm, tak, tak i t. p.

Pukanie do drzwi odtwarzał, uderzając młotkiem w ramę dekoracyi.

A te jego wschody i zachody słońca, urządzone za pomocą lampek olejnych!

Rzecz prosta, że to wszystko nigdy nie było na czas, bo on, chcąc to wykonać z precyzją, sadził się i namyślał, aż czas minął.

Kiedy mu wymyślano potężnie, wznosił oczy do góry, jak nieszczęśliwa ofiara, płacząc:

— Boże, co za poniżenie! Ile ja znosić muszę!...

Zdarzało się, że trzeba było »dać« szczekanie psa.

Pan W. nie mógł się z tem pogodzić. Na próbie było jakieś *ham, ham!* ale gdy przyszło przedstawienie, w gardle mu zaschło.

— Szczekajże, kanalio! — woła za kulisy wściekły artystka.

— Ham, ham! Boże, co za poniżenie...

— Będiesz ty szczekał, bo ci łeb oberwę.

— Jezu zlituj się! Ham! ham!

— Mocniej!

— Ham! ham! ham! ham! Zemdleję.

Te niefortunne zajścia inspicjenta wynagradzał sobie sowicie pan Ludwik w rekwizytach. Tam to właściwie odbił się cały jego talent. Był smakoszem.

Owe wykwintne kotleciki, pulardki, paszteciki, galaretki, brane z pierwszorzędnej restauracyi na rachunek dyrekcyi, zaledwie ukazały się na scenie, czasem nawet nie tknięte przez artystów, znikwały w brzuszku pana Ludwika. Nigdy z takim nabożeństwem nie pilnował ostatnich słów na scenie, aby zrobić hałas lub burzę, jak tej chwili, kiedy mógł zabrać jedzenie i picie, bo i winko dobre lubił pan Ludwik.

Brzuszek dobrze tuczony począł mu się zaokrąglać, na pogodnej zawsze twarzy igrał uśmieszek zadowolenia... aż tu nagle dały nam losy nowego dyrektora.

Był to pan nadzwyczaj sprężysty i czynny. Sam wglądał ściśle w gospodarkę sceniczną i surowo karmił

nadużycia, szczególną zaś odrazu uczuł niechęć do naszego rekwizytora. Z początku obcinał mu niemiłosierdzie rachunki, a w końcu przekonawszy się, że owe smakołyki zaledwie bywają dotknięte na scenie, niekiedy tylko pokosztowane, kazał mu je zastępować imitacją, a więc kotleciki, zastąpił doskonale chleb, stosownie pokrajany, pasztety — ciasto urabiane w cukierni, galaretki bywały z *papier-mâché*. Wino zastąpiła woda, zafarbowana czarną kawą.

Pan Ludwik próbował oponować. Utrzymywał, że artyści nie zgodzą się na taką zamianę, że to im kwasi humor na scenie, że kieliszek dobrego wina wpływa na ożywienie bardzo i t. p.

Wówczas dyrektor postanowił bywać na każdym przedstawieniu, i sprawdzać, czy wywody pana Ludwika mają słuszność.

Trzeba go było widzieć, jak prosił artystów, jak im tłumaczył, że to zniży sztukę, że tradycja tyloletnia uświęciła ten zwyczaj.

Gdy się dowiedział o tem dyrektor, zakipiał taką wściekłością, żeśmy byli w obawie o naszego rekwizytora. Skończyło się tylko na straszej reprimendzie, która się zamknęła taką groźbą:

— Poczekaj, kanalio! Ty schudniesz! Ty musisz schudnąć. Ja ci ten brzusek tak spłaszczę, tylko miejsce po nim zostanie.

I rzeczywiście, pan Ludwik chudł widocznie. Powoli z brzuszkiem znikał i humor. Chociaż wynagradzał sobie ten ubytek posiedzeniami nocnymi w piwiarni »Pod gwiazdą«, gdzie grywał rolę wielkiego artysty i gdzie go raczono sownicie. Nie było to jednak tak dobre, jak w teatrze.

Tego czynnego dyrektora wkrótce nam zabrakło. Zachorował ciężko i wkrótce umarł po kilku zaledwie latach swego urzędowania. Wówczas to pan Ludwik,

stojąc nad jego zwłokami wyrzekł swoim pieśczoneym gardłowym głosem z gestem właściwym:

— Widzisz, jam schudł, aleś ty umarł.

Zdumienie i oburzenie zapanowało zrazu wśród obecnych, ale gdy spojrzano na twarz kabotyńską, twarz tę tryumfującą głupim jakimś wyrazem, śmiech porwał widzów tak, że każdy z pięścią przy ustach wyniósł się czempredzej, aby nie profanować majestatu śmierci.

Pan Ludwik wyszedł spokojnie, rozmyślając o nowym dyrektorsze. Dobrze jednak czasy już nie wróciły.

Gdy mu odebrano obie te posady, pozostał tylko przy małych rólkach i statystowaniu.

W antraktach, ubrany we frak z gwiazdami orderowemi na piersiach (udawał jakiegoś ministra w »Odecie« Sardou), wychodził na wielką scenę i tam wobec Włoszek grał rolę rzeczywistego dygnitarza. Nawet jedna z nich za wielki honor sobie poczytała, gdy się jej przedstawił.





CZARNY CHARAKTER

Stara szkoła urabiała aktorów do tego rodzaju ról, uważając przedewszystkiem na zewnętrzne warunki. Taki pan, wszedłszy na scenę, odrazu dawał znać, kto on zacz. Był to zwykle chłop dużego wzrostu, mówiący basem, ostrych i wydatnych rysów twarzy, z oczyma koniecznie czarnemi i połyskliwemi. I co w tem zabawniejszego, że ówczesna naiwna publiczność brała na seryo te cechy zewnętrzne u aktora, darząc go pogardą i nienawiścią nie tylko na scenie ale i w życiu.

— Ten zbrodniarz — mawiano — nie może być uczciwym człowiekiem.

Warto było być aktorem w owych czasach.

To, co opowiadają pamiętniki współczesne, równa się legendom ze starożytnego teatru. Szkoda, że Bogusławski, pisząc swoje dzieje, pomijał tego rodzaju wydarzenia. Uważał je widocznie za mało znaczące, a przecie mają one dla nas ogromną doniosłość, bo malują ducha epoki.

Czy może być coś wyborniejszego, jak ów szlachcic w Dubnie, który przybiega za kulisy cały wzruszony i ofiaruje Owsińskiemu, grającemu Beverleya, kiesę dukatów, aby opłacił długi karciane i zbawił żonę i dzieci od śmierci głodowej; a pała wściekłością do aktora grającego Luzona i chce mu uszy obciąć, że go ledwie obraniają?

Niedawne to jeszcze czasy, gdy piszący te słowa, grając Warnera w »Życiu szulera«, usłyszał rzucone z pierwszego rzędu krzesła wyrazy: »Oj, ty łotrze niegodziwy!« Przestraszyłem się tak, że chciałem drapnąć ze sceny, zobaczywszy w dodatku twarz ogorzałą wąsatego szlachcica opartą na lasce, wpatzonego we mnie zajadłym wzrokiem. Dopiero śmiech publiczności oprzytomnił mnie i począłem się śmiać razem z nią, za co mnie zgromił dyrektor.

— Trzeba było dalej tak grać!...

— Ażby wyleciał na scenę i zaczął mnie okładać kijem! Dziękuję.

Nieśmiertelnym prototypem naiwności jest pan Pasek z towarzyszami, którzy zabili aktora grającego cesarza i naszyli z łuków całą kupę jego dworu.

Jedną z takich ofiar był pan Wilhelm T., aktor grywający czarne charaktery.

Syn zamożnego kolonisty i piekarza w Płocku, wszedłszy do bawiącej właśnie w mieście trupy Chełchowskiego, okazał w tego rodzaju rolach duży talent, tak, że stał się w krótkim czasie owej trupy ozdobą. Nie chciał jednakże peregrynować z teatrem po innych miastach, utrzymując, że żał mu opuszczać starego ojca, który w nim jednym tylko ma podporę. Gdy więc po wyjeździe Chełchowskiego zjechała na zimę inna trupa, pan T. znów w niej grał, i tak, nie opuszczając Płocka, bywał czynny na swej rodzinnej scenie w coraz nowem towarzystwie.

Stary jego ojciec nigdy nie widział teatru, a gdy mu opowiadano, czem to jego syn się zajmuje, ruszał ramionami i mawiał:

— Niech się bawi, jak chce, mój kochany Wiluś. Będzie miał majątek, nie potrzebuje pracować.

Nieprawdopodobnem się to dziś wyda, że ten ojciec nie był ciekawym zobaczyć syna, ale trzeba zwa-

żyć stan umysłu naszego rzemieślnika w takim mieście jak Płock, i w owych czasach, gdzie oprócz książki do nabożeństwa i psalmów, albo kantyczek, nic innego nie czytał a podpisać się nieraz nie umiał. Gdy w teatrze, o którym dochodziły go wieści, widział tylko zabawę, a spać chodził równo z kurami, aby wstać zaraz po północy do pracy, to nic dziwnego, że tej hecy, jak zwało zwykle teatr pospólstwo, zobaczyć nie miał ochoty. Wiluś też wcale go do tego nie namawiał, będąc przekonany, żeby go to nie zajęło, raczej znudziło.

Sława jednak tryumfów scenicznych pana T., którą rozbrzmiewało jego miasto rodzinne, wdarała się i do piekarni jego ojca. Szczególniej ciotka, stara panna, interesowała się nią ogromnie, tak, że namówiła piekarza, iż zdecydował się pójść do teatru.

Grano szylerowskich »Zbójców« pod. tyt. »Upadek wielkiego domu«, gdzie pan T. doskonale grał Franciszka, nie przeczuwając, że nań patrzy stary ojciec.

Gdy nazajutrz zrana przyszedł powiedzieć mu dzień dobry i pocałować w rękę, został z oburzeniem odtrącony. Starzec popatrzał na syna dziwnemi oczyma, jak gdyby go widział po raz pierwszy w życiu. Wreszcie wybuchnął:

— Precz, wyrodku! to jest to ten wasz teatr! To tam takich rzeczy się uczysz, jak mordować starego ojca. Tegom się doczekał od jedynego syna. Oh, bodajesz się był nie rodził! Precz z moich oczu!

Wrzało w nim wszystko z oburzenia.

Syn zrozpaczony rzucił mu się do nóg.

— Ojcie najukochańszy! wszak to tylko sztuka, udanie. Czy to nie znasz swego Wilusia?

— Sztuka! udanie! Niech przepadnie taka sztuka. I na to ludzie chodzą i hałasują. Myślałem, że się ten teatr zawali. I to mój syn. Kto cię uczył tego szelmostwa? Pocoś ty to zrobił? Mój Boże! mój Boże!

Stary zaczął płakać, a syn rzucił się na ziemię. Tak obaj biadali.

— Jakże ja go przekonam? Co ja mu mogę powiedzieć? — jęczy biedny artysta.

— Idź! odejź!... nie pokazuj mi się więcej!

Stara ciotka wyrozumialsza, ale nie mniej oburzona, opowiadała mu, jak ojciec całą noc rzucał się na łóżku, jak pomstował na teatr, jak płakał, jak w końcu wołał, że go wydziedziczy. Posłał zrana po swojego szwagra ślusarza, czyniąc mu wyrzuty, że, będąc na tej «hecy», nie ostrzegł go i nie powiedział, co tam Wiluś wyprawia.

Pan T. był w rozpacz, bo kochał tego biednego ojca, ale kochał i sztukę namiętnie. Był to umysł wykształcony. Skończył gimnazjum. Ojciec kazał go uczyć języków. Wysłał za granicę. Nie żałował na książki. Myślał, że Wiluś będzie urzędnikiem, bo to wówczas było ambicyą takich ojców... aż tu ten syn taką ohydną obrał sobie »zabawkę«.

Zanadto jednak kochał tego syna.

Gdy się powoli uspokoił, poszedł do swojego doradcy, adwokata Z., aby mu opowiedzieć swoje wielkie zmartwienie.

Pan Z. wyśmiał go i przyrzekł złe naprawić.

— Niech no tu przyjdzie pan Wilhelm, już my na to coś poradzimy.

• Wilhelm się stawiał.

— Jakże też można było starego zaprowadzić na »Zbójców?« Człowiekowi, który nigdy nie był w teatrze, kazać patrzeć na syna, grającego rolę Franciszka. Toż to okropne!

— Nic o tem nie wiedziałem.

— Słuchajże pan: aby starego uspokoić, trzeba, aby cię zobaczył w innej roli. Naprzykład szlachetnego ojca... albo coś podobnego... Ha, ha, ha! a to wyborne!

Jedyna to sprawa w swoim rodzaju... Jak jestem adwokatem, nic podobnego mi się nie zdarzyło. Ha, ha, ha!

I pan Z. śmiał się jak szalony.

Ale panu Wilhelmowi nie było do śmiechu.

— Nie wiem, panie adwokacie, czy pomysł pański się uda. Ojciec mój za nic w świecie nie pójdzie już po raz drugi do teatru.

— Zdaj to pan na mnie. Już ja go namówię. Wiesz co? zagraj mu »Starego skrzypka«, eh nie! Komornika w »Żydach«, co? A może »Wujaszka całego świata?«

I tu pan Z. zaczął wyciągać cały repertuar, śmiejąc się ciągle.

— A ja napiszę o tem obszerną korespondencję w *Gazecie warszawskiej*. Cóż to za obskurantyzm! Ale to paradne!

— Na Boga, nie czyń tego, panie mecenasie. Niech przycichnie cała ta sprawa.

— Dlaczego ma przycichnąć?

— Najpewniejszym środkiem wydaje mi się porzucić scenę i przebłagać biednego ojca... a przebłagać go trzeba, oświecając. Mój Boże! czemuż ja tego wcześniej nie zrobiłem?

— I ty porzuciłbyś scenę? Taki aktor! Do Warszawy jedź na występy. Zabijesz Królikowskiego.

— Wprzód mnie zabije rozpacz — rzekł zrozpaczony ze łzami aktor.

— Fe, mazgaj z ciebie! I to jest Franciszek Moor! Że stary dzieciak nie rozumie... to brać zaraz do serca.

— Ten stary dzieciak, to mój ukochany ojciec.

— Masz tobie, toż gdyby cię zobaczył teraz, uwierzyłby nareszcie w swojego Wilusia.

— Wyobrażam sobie, co się tam dziać musi w tej prostej a uczciwej duszy.

— A no, zapewne. Zabiłeś mu klina. Wiluś to, czy Franciszek? Ha, ha, ha! Amelciu! chodźno tu i posłuchaj.

Zawołał żonę, wielką amatorkę i protektorkę teatru, ale pan T. przerwał mu szybko.

— Daruj, panie mecenasie, ale ja odchodzę. Państwu śmiech, a mnie to boli.

— Ależ czekaj!

Ten czarny charakter był biały anielsko w duszy. Nie posłuchał rady mecenasu, ale pomimo, że mu serce biło dla sceny, nie powstał na niej więcej, a natomiast oddał się cały ojcu.

Stary wciąż podejrzliwie patrzył na syna, bo mu w oczach stały obrazy ohydy ludzkiej, które widział na scenie, i porównywał ciągle w myśli tego Wilusia z Franciszkiem Moorem. Jak on się tak przeistoczyć potrafił? To sztuka? A jużci sztuka. Boć to on, Wiluś, mój kochany Wiluś, który mnie zawsze kochał i kocha, a takiego szelmę udawać potrafi. I poco on *tego* udaje, a nie *innego*? Tamten, choć rozbójnik, przecie jest lepszy od tego.

Cała ta tragedia szylerowska chodziła mu wciąż po głowie.

— I kto to robi te rzeczy? — pyta raz znienacka swego syna.

— Jakie, kochany ojcze?

— Te historye o zbójcach.

— To napisał wielki poeta niemiecki, Schiller.

— I to wszystko jest prawda?

— Nie, kochany ojcze. To zmyślenie tylko, wykonane z wielkim talentem poetycznym tak, że wywołuje wrażenie prawdziwości.

— I naco to wszystko?

— Dla zbudowania ludzi, dla przypomnienia im, że złe zawsze musi odnieść karę na tym świecie.

— O tem słyszę co niedziela na kazaniu.

— Ale kazanie, to są słowa tylko, a tu się widzi czyny żywych ludzi, i czem więcej się im nada cech

prawdy, tem większy tryumf dla aktorów. Widzisz, kochany ojcie, że ja jednak musiałem dobrze zrobić tego złego syna, kiedy mnie tak wszyscy za to chwalili i gdyby nie to wielkie zmartwienie, którem ci sprawił, byłbym dumny z mojej pracy.

— A czemuś ty tamtego nie udawał?

— Bo zdawało mi się większą zasługą zohydzić ludziom takiego zbrodniarza, pokazać go im w całej nagiej szpetności.

Takie rozmowy od czasu do czasu prowadził ojciec z synem.

Stary piekarz zaczął powoli podziwiać jego rozum, bo mówił tak przekonywająco i doskonale wykladał mu historię powstania teatru i jego potrzebę. Nauczył go słuchać utworów literackich. Zajmowało to piekarza, jak dzieci, kiedy im się bajki prawi.

— Widzisz, ja wolę, jak ty mi czytasz, niż gdybym patrzył na to. Przeczytajno mi tę historię o zbójcach.

I pan Wilhelm odczytał ojcu tragedję Szyllera.

Stary się rozplakał nad losem nieszczęśliwego ojca.

— Dobrze, że ja nie mam dwóch synów, bo możeby tak samo za łby się brali.

— Ale ja nie byłbym Franciszkiem.

— Nie, Wilusiu, ty masz serce dobre, ale masz w sobie jakąś przekorę, jak nieboszczka twoja matka.

Tę matkę Wiluś uwielbiał, bo przed nią nie miał nigdy żadnych tajemnic, bo ona była powiernicą wszystkich jego młodzieńczych aspiracyi i rozumiała je dobrze. Po matkach też zwykle dzieci biorą to, co im przyświeca w życiu, a czego prostacze głowy takich ojców nie rozumieją, nazywając »przekorą«.

*

*

*

I tak ten syn niańczył starego ojca, płacząc skrycie nad pogrzebanemi na zawsze ideałami swojego życia.

Pamiętam, że całe miasto było wzburzone obskurantyzmem ciemnego piekarza, który zagroził synowi drogę do sławy. Gadano mu to wszędzie w oczy, ale te pociski odbijały się oń, jak o mur.

— No, Wilusiu — powiada doń. — Czasby już się zająć jakąś pracą. Nabawiłeś się już dosyć na tej hecy, czy tam na teatrze.

— Alboż ja nie pracuję? Pomagam ojcu w gospodarstwie, prowadzę rachunki. Utrzymuję wszystko w największym porządku.

— To nie dla ciebie. Ty będziesz urzędnikiem. Jużem był u naczelnika powiatu, wakuje posada kancelisty. Przyrzekł, że ci ją da.

— A mnie to na co? Chyba, że chciałbyś ojciec, abym zmarł na suchoty, siedząc przy biurku. Ja będę piekarzem, jak ty.

— Ty piekarzem? Na to żem tyle pieniędzy wydał na twoją edukację?

— Edukacya i piekarzowi przydać się może. Czas, kochany ojcie, abyś i ty mi coś ustąpił. Jam ci oddał wszystko, pozwól że mi teraz zostać sobą.

— Ha, niech się dzieje wola Boska. Bądź piekarzem. Jesteś dobrym synem i Bóg ci będzie błogosławił.

* * *

Długo ta historya zaprzętała ludziom głowy. Pan Wilhelm był przedmiotem podziwu i ogólnego szacunku. Wreszcie zapomniano o nim, a stary piekarz dawno umarł. Tylko szylerowscy »Zbójcy«, grani na scenie plockiej, budzą roje ciemnych puszczyków, zaszytych gdzieś w piwnicach, i straszą swą dziką muzyką widzów wracających z teatru.





VENUS VERTICORDIA

Nieśmiertelna legenda w *Tannhäuserze* poruszała mnie zawsze do głębi i gdziekolwiek potem spotykałem się z jej reminiscencją: czy w »Kobietach z kamienia« Bariera, czy w »Dalili« Feuilleta, dzwięczała ona w mózgu moim, niby owo *memento* mnicha średniowiecznego.

»Nie rzucaj skarbów twego serca pod nogi rozpustnicy! Patrz! te starannie uróżowane paznogie to są szpony, one wyrwą z ciebie duszę i serce i pociągną do piekieł« — powiada Desgenais w »Kobietach«.

Jeszcze piękniej mówi Carnioli w »Dalili«: »Mógłbym zapomnieć o tych czarodziejkach wszystkich czasów i ludzi? Czyż nie powinny mi dzwięczyć w uszach imiona: Circe, Omfalii, Fryne, Aspazyi, Mesaliny, gdy się rzucał w objęcia tej rozpustnicy?! Pamiętaj, że kobieta, która się nigdy nie modli, Wenerze ofiary pali«.

Och! wiele ona tych ofiar spaliła!

Była to sobie panna Bronisława L. Czy ona miała jakiś talent aktorski, na to nikt by nie umiał odpowiedzieć. Grała wszystko i udawała uczucie i namiętności na scenie tak dobrze, że zadowalała publiczność. Nie porywała ona wprawdzie grą swoją nikogo, ale też nie zepsuła roli nigdy. Ubierała się ładnie i ze smakiem, ale nie wkładała w to tyle pracy i starań, jak to czyniły jej koleżanki. Wiedziała, że siła jej w niej i tylko w niej cała. Takie się już rodzą. Gdziekolwiek by ją

postawiło przeznaczenie — w chacie, w pałacu, lub na tronie... będzie tem, czem jest... demonem.

Córka zamożnych rodziców, wychowywana w rozmaitych zakładach eleganckich za granicą, lecz żadnego nie skończyła i wkońcu uciekła z komiwojażerem, przygotowując matkę o śmierć przedwczesną. Ojca już nie miała. Majątkiem jej zawiadował pan B., bogaty obywatel ziemski, stary kawaler, światowiec, przywiązany ogromnie do swej pupilki i jej najuniżeńszy sługa.

Dla Broni gotów był przez obręcz skakać, a jednak, gdy mu oświadczyła, że chce wstąpić do teatru, krzyknął tak gwałtownie, że mu krew do głowy uderzyła i omal nie dostał ataku apoplektycznego. Drzwiami trzasnął i nie pokazał się... przez cały tydzień.

Przez ten czas radził się znajomych bywalców, czy Bronia nie zepsuje sobie życia, wstępując na scenę, czy to dla panny tak poważnego rodu nie będzie krokiem awanturnicy.

Różnie o tem radzono i mówiono, wreszcie, ze względu na jej upor, stanęło, że panna Bronisława może wstąpić do teatru, byleby zmieniła nazwisko.

I oto, po niedługich przygotowaniach u pani Anieli Z., znakomitej artystki teatru lwowskiego, będącej wówczas w Krakowie, panna Bronisława zaliczoną została do trupy teatru krakowskiego.

Nie mam wcale zamiaru mówić o jej występach na scenie. Grała na pierwszym przedstawieniu tak, jak później grała przez ciąg swego zawodu. Mówić będę o jej występach na scenie świata.

Przedewszystkiem wobec kolegów i otoczenia znalazła się odrazu jak obca, zmuszona do pewnego czasu znajdować się w ich towarzystwie. Do żadnej z koleżanek nie przemówiła nigdy słowa, a kolegom zaledwie głową kiwnąć raczyła na powitanie.

Robiła nam honor, wstępując do naszej »budy«.

Pierwszą ofiarą, którą sobie upatrzyła, był młodziutki amancik, przybyły z Warszawy: skromny, nieśmiały ale rozkochany w swoim zawodzie tak, że poza sztuką zdawał się dla niego nie istnieć świat cały. Patrzył z razu z oburzeniem wielkiem na aroganckie zachowanie się panny Bronisławy, on, co tak kochał sztukę i teatr, on, co widział w ich przedstawicielach półbogów, nie mógł pojąć, jak taka debutantka, licząca na scenie tyleż co i on miesięcy, mogła sobie tak lekceważyć współtowarzyszy pracy. Patrzył też na nią jak na coś nadludzkiego i bał się jak ognia.

Wprawdzie panna Bronisława poza swoim obojętnem i dumnym zachowaniem nie popełniła nigdy żadnego czynu, któryby uwłaczał dobremu wychowaniu młodej panny; od reżysera przyjmowała uwagi i starała się sumiennie do nich zastosować, kolegom i koleżankom robiła ustępstwa na scenie, jakich żądano, ale poza tem nic więcej.

Nasz młody amant wpadł jej w oko właśnie dlatego, że zbyt widocznie jej unikał.

Z początku żądano od niego grzeczności, które spełniał niechętnie i z przymusem, potem w nich zasmakował., a w końcu... oszalał.

Panna Bronisława miała swój dwór. Składał on się z podstarzałych birbantów, bulwarowych wyjadaczy, a na ich czele stał nieoszaczowany opiekun.

Tam to nasz amancik uczył się sztuki życia, a tak dobrze się uczył, że w niespełna pół roku stał się skończonym »zdechłaczkiem«.

Puszek młodości, który tak ładnie krasiał jego twarzyczkę młodą, zniknął bezpowrotnie; oczy, które świeciły takim zapalem, przygasły, jak przygasła jego miłość dla sztuki. Nie uczył się ról, przychodził na próby niewyspany, ziewający, a czasem nawet pijany, ale zawsze noszący ogon szaty p. Bronisławy i jej niewolnik.

W trakcie tego zawiązała romansik z jednym ze znanych adwokatów, panem S., człowiekiem bardzo poważnym.

Zahuczało w miasteczku, bo każdy uwierzyłby chętniej, że się wieża maryacka zawali, aniżeli, że pan S. nawiązał stosunki z aktorką. Dziś na takie sprawy patrzy się pobłażliwiej. Złośliwy uśmiech i wzgardliwe wzruszenie ramionami, a potem do porządku dziennego. Dawniej trzęsło się miasto w swoich posadach. Czyśmy zmądrzeli, czyśmy spodleli bardziej?

Pani S. kochała męża, więc po nieudanych próbach nawrócenia go, usiłowała otruć się, przypłaciła jednak te chęci ciężką chorobą, która ją przykuła do łóżka na długo. Pan S. tracił na szacunku i klienteli, a wreszcie topniał tak, jak nasz młody amancik.

Niezapomniany dotąd w pamięci krakowian był bal w sali hotelu Saskiego, na którym ukazała się Bronia. Weszła w gronie wesołych panów, dumna, błyszcząca, z rumieńcem zdrowia, z pogardliwym uśmiechem na wargach zmysłowych. Gdyby rzucono petardę między to rozbawione grono, nie wywołałaby takiego zamieszania strasznego. Wszystkie panie, jak gdyby na komendę, pochwyciły swoich mężów, panny narzeczonych i skierowały się ku wyjściu. Ona jednak, zbyt mądra, aby się narażać na śmieszność osamotnienia, przeszła salę tam i z powrotem i wyszła, śmiejąc się do rozpuku.

Czekała ją w pokojach pobliskich wieczerza królewska, zapłacona suto u restauratora, pod warunkiem, aby kropli napoju, ani kęsa jadła nie dał gościom tańczącym w sali balowej.

Był to jej najwyższy występ tryumfalny na scenie świata.

A w teatrze?

Bronia była wzorową artystką, rolę umiała zawsze doskonale i grała, jak zwykle, z »tupetem«.

Kiedy się uczyła — niewiadomo.

Teatr bywał przepełniony. Panie, które od wielu lat nie bywały w teatrze, zapełniały łóża i krzesła, aby ją zobaczyć. Sława jej brzmiała aż do krańców miasta.

Widywano ją na ulicach, powożącą kabrioletem, z cygarem w ustach, albo konno, jako amazonkę, pędzącą po błoniach w towarzystwie jej dworu i pokornych adonisów, gotowych na jej skinienie karki kręcić.

Gdy wybuchnął pojedynek pomiędzy panem B. a oficerem K., w którym ten ostatni odniósł ranę śmiertelną, gdy nasz amant umierał na suchoty, ona dawała uczty, w których uczestniczyło dwadzieścia dziewięć z cyrku, poprzebieranych za nimfy i bachantki.

Szalał za nią, rzucając złoto i brylanty pod nogi, młody hrabia R. Bronia odwracała się do niego plecami, bo upatrzyła sobie rzeźbiarza, który, jak Rafael w »Kobietach z kamienia«, rzucił jej coś lepszego, bo młodość i talent. Ten młody Fidyasz nie był jednak tak miłym, jak bohater Barière'a. Miał plecy szerokie i silne ramiona, o mięśniach Herkulesa, i starał się ujarzmić tę kobietę.

— Pamiętaj, że z chwilą, kiedy mnie zdradzisz, zdruzgotę cię, jak tę tu oto.

I rozbił w kawałki biust pięknej pani M.

Bronia po raz pierwszy w życiu zadrżała przed tą energią mężką.

— Ach, kocham cię stokroć więcej, mój bohaterze! Jakże ona szpetnie wygląda! Zdruzgotałeś jej nosek o rysunku nieskazitelnym, którym się umie tak szczycić.

— Twój biust będzie mojem arcydziełem. Będzie to Wenus, nie ta, która jest ideałem piękna, ale ta, którą rzymianie przezwali *verticordia*, Wenus szau.

— Zrób ze mnie coś oryginalnego, coś szczególnego, coby ludziom przypominało, że zrodzona z ognia, że z piekieł wzięłam początek.

Nasz młody Fidyasz był naturą równie gorącą jak i namiętną, ale krewkość swego temperamentu topił w sztuce, a władał nią po mistrzowsku. Zachwycaliśmy się w jego pracowni, pełnej wspaniałych pomysłów, których, niestety, nigdy wykonać nie miał, bo coraz inne wciąż stwarzał. — Nad biustem panny Bronisławy pracował usilnie, ciągle niszcząc rozpoczęty i tworząc na nowo z gorączkowym niepokojem.

Można go było widzieć wystającego całe godziny przed teatrem, czekającego na kochankę. Porywał ją jak huragan i znikał w zaułku ulicy.

Tego było za wiele dla niej. Ona przywykła widzieć u nóg swoich pokornych psiaków a nie takiego króla zwierząt, więc zdarzyło się, że pewnego wieczora napróżno czekał na nią nasz artysta, wymknęła mu się furteczką, aby podążyć na ucztę wesolą.

Miała za to drogo zapłacić.

Wśród białego dnia na rynku krakowskim spotkał ją rzeźbiarz i obił szpicrutą, a biust umieścił na osławionym domu, gdzie go widzieć mogli przechodnie, a z nimi całe miasto, podziwiając wielkie podobieństwo.

Rzeźbiarz się zemścił, ale pałacej koszuli Nessusa już rzucić z siebie nie mógł. Przeżarła mu ciało aż do kości. Rozpił się bardzo i marnie życie zakończył.

— Czy skończy się to nareszcie?! — wołało oburzone miasto.

— Bądźcie spokojni! nic nie trwa długo.

Pierwszą szczerbą w karierze panny Bronisławy, była śmierć jej opiekuna. Zmarł na apopleksję, nie zostawiwszy żadnego zapisu. Znalazło się mnóstwo krewnych, którzy rozszarpali spuściznę.

Drugą wieścią, która jak grom padła do gotowalni Broni, była ruina jej fortunki przez nieboszczyka. Pracował tak gorliwie, aby jej przysporzyć mienia, ale przegrał większą część na giełdzie.

Rozpoczął się proces ze spadkobiercami, którym zajmował się pan D., znany Don Juan krakowski. Prowadził go tak dobrze, że odzyskał część jakąś na sukcesorach, oświadczył się o rękę panny Bronisławy i został przyjęty.

Państwo młodzi wyjechali do Wiednia, aby się tam osiedlić na stałe. — Scena utraciła artystkę.

I koniec?

Och, nie! Dziś tak się kończą wprowadzie wszystkie naturalistyczne dramata i powieści, ale życie inaczej się urządza. Ono płaci z nawiązką za zdeptane i pohąbane uczucia.

Pan D., gdy stracił co do grosza majątek żony, począł ją bić, a w końcu wypędził.

Odarta z mienia i młodości i zrujnowana majątkowo próbowała zapukać do bram Melpomeny. Przyjęła ją, ale po to tylko, żeby na deskach wyszła cała jej nędra. Utraciwszy to, co dawało jej zuchwałość i samowolę, okazała się miernotą.

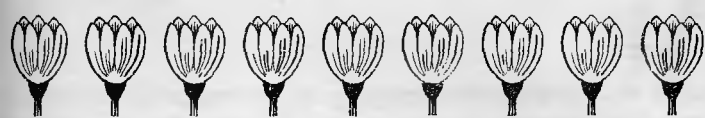
Wkońcu też o niej zapomniano.

Fortuna jednak, ta kapryśnica, która musi pochodzić z tego samego rodu co i nasza *Venus verticordia*, ulitowała się nad nią i obdarzyła spadkiem.

Żyła więc znowu dostatnio, ale już w lichszym towarzystwie i nie tak szumnie, starzała się zato prędko tą odrażającą starością, jaką dają lata niezbyt dobrze przeżyte. Kręciło się koło niej kilku wypłowiałych adonisów, ale i ci wkrótce odpadli. Pielęgnowała pieski.

Pewnego poranku dowiedziało się miasto o strasznej zbrodni, spełnionej na pani D. Zamordowano ją we własnem mieszkaniu, ograbiwszy z pieniędzy. Poszlaki wykryły sprawcę: był nim jakiś młodzieniec, za jej kuzyna uchodzący.





S U F L E R

Mały człowieczek, noszący zawsze pod pachą egzemplarz, gadający do siebie i od czasu do czasu potrząsający głową, jak gdyby odganiał muchy, w podszarzanem wiecznie ubraniu, wytartej czapczynie na głowie i z binoklami na nosie — oto nasz sufler.

Nazywaliśmy go Czyżykiem, bo nazwisko Czyżewski nie przypadło nam do smaku. Czasem tylko Czyżem, a wreszcie sycząc przez zęby cz... i to było wystarczające. Słuch miał taki nadzwyczajny, że to *czy* usłyszał choćby o pół mili.

Ruchy miał szybkie jak u wiewiórki. Mówił prędko, ale wyraźnie i, dziwna rzecz, kiedy inni suflerzy, po forsownem zgadaniu się w budzie, zwykle byli małołowni, ten trzepał bezustanku sam do siebie, gdy nie miał do kogo. Nadzwyczaj pracowity i energiczny, pisywał ładne wiersze, czytelnym bardzo charakterem, na pięknym papierze i, oprawne w czerwone płótno, ofiarowywał jakimś wpływowym osobom ze stosowną dedykacją, którą nazywał w skróceniu »dyką«.

Nim opuściliśmy jakie miasto, wydawał tak zwany »Rocznik teatralny«, w którym był spis sztuk, jakieśmy wygrali przez cały pobyt, śpiewki z ulubionych komedyo-oper i wodewilów, anegdotki teatralne i wreszcie ważniejsze wydarzenia zaszłe w towarzystwie. Roczniki te na podłej bibule tłoczyła zwykle drukarnia dla niego

gratis w pięćdziesięciu najwięcej egzemplarzach. Rozsyłał je po domach przez afiszera. Cenny to był materiał do historyi naszych teatrów prowincjonalnych, ale zaginiony na zawsze.

Gdyśmy wyjeżdżali, Czyżyk pakował naprzód bibliotekę, o którą dbał, jakby o własną głowę, potem swoje rzeczy do wozu, a sam puszczał się piechotą, jak ptak lekki, pogwizdując. Wyprzedzał nasze wozy o jakie dwie mile.

— Czyżyk! A przygotuj tam dla nas dobre jadło i nocleg.

— Dobrze, dobrze, a wy przygotujcie pieniądze.

— Czemu ten kanalia nie został *laufrem*? Patrzcie, już nam znikł z oczu.

Po drodze zbierał grzyby i jagody.

Zastawaliśmy zwykle Czyżyka na popasie przed nakrytym stołem. Uwijał się tu i owdzie, przygotowując dla nas śniadanie. Nie zapomniał nawet o kwiatkach, które nazbierał po drodze dla dam.

— Kwiatów moc, ale gdzież to jedzenie, któreś nam obiecał? — rzekła pani Balbina, główna nasza żywicielka w podróży.

— A o! mało tu tego? Jest serek wyborowy, maselko, jaja na twardo.

— I to się nazywa jedzenie? To dla twojego ptasiego żołądka, ale nie dla nas.

Zakrzętnęła się sama i wydobyła od baby jakieś parę kur i kaczek i, nim się rozgościliśmy na dobre, już one były w garnku.

— Gdzież te grzyby, któreś miał zbierać?

— Ciotko kochana, ani jednego nie znalazłem. Musiał tu przed nami przejeżdżać Łobojko ze swoją hołotą i wyżarli wszystko, bo oni tylko tem żyją.

Tymczasem zabrano się do tego, co stało na stole, i w kilka minut zmieciono na czysto.

Czyżyk biegał od jednego do drugiego i wyciskał po kilka centów, dopóki nie uzbierał kwoty odpowiedniej, aby za to wszystko zapłacić.

— A ty, Mikuła, nie dasz nic? Żresz za czterech.

— Zaprosiłeś mnie na śniadanie, więc jadłem. Zrobiłem ci zaszczyt. Czego chcesz więcej?

— Poczekaj, baryło, ja ci ten brzuch kiedy scyzorykiem rozpruję.

— Mikuło! płac mu, albo cię tu za nogi powiesimy na belce i będziesz musiał zwrócić mu to, coś pożarł.

— Bierzmy się do niego!

Panie w krzyk.

Wtedy komik, chcąc się od nas uwolnić, wydobył z kieszeni kilka centów i rzucił je Czyżykowi.

— Grosz z gardła wydobyty — rzekł Czyżyk, chwając pieniądze.

Wkrótce pojawiły się na stole kury i kaczki pani Balbiny. Zapraszała do nich tylko wybranych. Panie wzięły między siebie Czyżyka, który, dobrze podjadłszy, wydobywał skrzypce i dopieroż się rozpoczynały tany.

Dziewuchy, zwabione muzyką, powtykały w okna głowy, dopiero, gdy je chciano wziąć do tańca, uciekły. Tymczasem izba cała zaroїła się chłopstwem. Czyżyk grał i grał bez upamiętania, rzucając głową na wszystkie strony, podniecony zasłuchaną gromadą, która, rozdziawiwszy gęby, połykała chciwie tony, boć to wszystko rodzinne obertasy, kujawiaki, krakowiaki, mazurki.

— Wagujta się, chłopcy, w tany! — krzyczał zapierzony, wyrzucając ze skrzypiec wściekłe tempa, że, zdawało się, iskry z nich się posypią. W chłopstwie i babach krew zawrzała, tajały serca. Wreszcie ten i ów popatrzył na sąsiada, potem na babę, kiwnął głową i dalej obertasa.

Pousuwaliśmy się ku ścianie, aby im zrobić jak najwięcej miejsca.

— Ale też gra i gra, niechże go Pan Jezus ma w świętej opiece. Jak żyję, takiej muzyki jeszcze nie słyszałem. Hu, ha!

Postawili kwartę wódki, i kto wie, jak długo przeciągnęłaby się zabawa, gdyby żyd-furman nie pokazał głowy i nie przypomniał, że jechać pora.

Dopieroż dziękować Czyżykowi, a traktować go, a podziwiać.

— Wiedźcie, że te skrzypce są zaczarowane, tańcowaliście za pomocą złego ducha! — i buchnął we drzwi, i zakopał się w wozie.

Przyjechawszy do świeżego miasta, Czyżyk niewiele miał do roboty, bo grywaliśmy sztuki już ograne, jeden tylko Mikuła, komik z pod ciemnej gwiazdy, nie umiał nigdy roli i dokładał ciągle swoje: »Otwarcie, kompletnie«, to też, gdy przychodziła na niego kolej, Czyżyk nagle zniknął, ruszając głową i podśmiewając się.

— Chcesz mnie zgubić, gałganie?

— Ucz się roli lepiej, nie myśl tyle o brzuchu.

— Czyżyk poddaj, zmiłuj się!

— A kupisz kolację?

— Kupię, kupię.

— Pamiętaj!

Taki dyalog słyszeliśmy bardzo często w czasie gry na scenie.

Bywały chwile, że Czyżyk nagle zniknął z budy, zostawiając otwartą, ciemną paszczę, która nas zgrozą przejmowała. Wtem słyszynmy fatalny hałas za sceną, krzyk, przekleństwa, odgróзки, właśnie to, czego było potrzeba do gry, a dalej łuna pożaru błyska.

Cóż on robił?

Oto wyleciał z budy za kulisy między statystów, stojących spokojnie, gapiących się na scenę, i jednego za łeb targnął, drugiemu dał w papę, trzeciego potracił tak, że się zatoczył, innego palnął w brzuch, potem

poleciał, zapalił ogień bengalski i znów wrócił do budy, a wszystko to zrobił na czas i efekt wywołał doskonały.

Czyżyk spełniał wszystko.

Do swojej budki przeprowadził z za kulis sznurki od dzwonek, od grzmotów, od deszczu. Gdy miał powstać tumult na scenie, to sam hałasował w budzie za dziesięciu.

Mamy wystawić sztukę ze śpiewami, Czyżyk nas uczy przy swoich skrzypcach, jak kanarków. Sam dyryguje próbami w orkiestrze żydowskiej, wałąc smyczkiem po krymkach niemuzykalnych żydków.

Dorabia nam kuplety i jakie kuplety, pełne dowcipu i satyry!

Gdy się już wszystkie wyśpiewały, a publiczność żąda wciąż nowych, on w tej chwili komponuje. Aktor idzie za nim bezpieczny, bo wie, że się nie poszkapi.

Nieoceniony człowiek!

Graliśmy »Fałszywych pocziwców«, sztukę ruchliwą. Czyżyk pracował ogromnie, aby każdemu na czas rzucić słówko, aż tu naraz na scenie najbardziej ożywionej zamilkł, widzimy tylko, że się wije jak wąż.

— Co się stało?

— Buty mi ściga. — Pójdiesz ty złodzieju!

— Czyżyk, gadaj na miłość Boga!

— Buty mi ściga. Zmiłujcie się, nowe buty!

I w miarę tego rzuca słowa sztuki.

— Trzymajcież, gońcież tego łotra! Nowe buty mi zabrał!...

Ale gonić nie miał kto, bo wszyscy byli na scenie.

Biedny Czyżyk wylazł z budy boso, mocno zakata-rzony. Trzeba było zaraz posłać do szewca i złożyć się na nowe buty.

— A to przekłeta dziura, gdzie człowiek nawet butów niepewny! Przeczuwałem, że w tym Jarosławiu spotka mnie nieszczęście, bo to miasto złodziejów.

— Masz nowe, o co ci idzie?

— Masz nowe, ale za duże i... zobaczycie, że te jeszcze łatwiej mi ściągnie. Musiał łądak mieć małą nogę. Aha! już wiem który. To ten, com go tak w łeb grzmotnął. Czekaj, złodzieju, ja ciebie znajdę.

Jednak, buty przepadły; to też zawsze ze wstrętem przypominał Jarosław.

— Tam nic nie zarobiłem i buty dyabli wzięli.

* * *

Bawiliśmy w Przemyślu.

— Czyżyk, tak czynny zawsze, tu nam zniknął, że go po całych dniach nie było, dopiero zjawiał się na spektakl.

— Musi tu mieć zapewne dziewczynę, trzeba go wyszpiegować.

Rozlecieliśmy się po mieście, ale gdzie tam śladu Czyżyka szukać.

Na drugi dzień próbujemy nowej sztuki. Za kuliami zjawia się staruszka z młodą panienką. Ta staruszka dziwnie podobna do Czyżyka, a i panienka zdradza jakieś pokrewieństwo.

— Pani pewnie matka pana Czyżewskiego?

— A tak! Nie trudno to zgadnąć, bo mój Stefek do mnie podobny. A to jego najmłodsza siostra. Czy można się z nim zobaczyć?

— Zaraz się akt skończy, to wyjdzie. Proszę, niech panie siadają.

— Dziękujemy panu. Już dwa lata, jakeśmy go nie widziały. Przyleci do nas po kilka razy na dzień, ale na krótko, a my takie stęsknione, tak chciałybyśmy się nim nacieszyć. Ciężko musi on tu pracować?

— A no nie lekko, ale mu to służy i nie skarży się.

— Bo on się nigdy nie skarży. Co to za złote, poczciwe serce. Sam się nauczył wszystkiego. Nikt dla

nego nie łożył na szkoły, bo ojciec odumarł już temu lat ośmnaście, a i za życia jego bieda dokuczała. Zostałam biedna wdowa z trojgiem dzieci. Starsza poszła za mąż, więc nas dwoje żywił i żywi dotąd. Niech mu zato Pan Bóg zapłaci!

— Mamo, mamo! Czy można przy tych panach? — powściągała córka.

— Można, można moje dziecko, niech panowie wiedzą, z kim pracują. Dla matki jest to chluba mieć takiego syna.

Staruszka się rozgadała.

Czyżyk wyleciał z budy zaperzony.

— Co mama tu robi? Prosiłem przecie, będę po południu.

— Moje dziecko, chciałam też zobaczyć...

— Ale tu niema na co patrzeć. Niechże mama pójdzie, bo mam interes.

I wziął obie kobiety pod ręce i wyprowadził je na ulicę, kręcąc się jak w ukropie i trzepiąc językiem.

Wrócił oblany potem.

Dopieroż go ścisnąć i całować poczęliśmy.

— Oj ty, ty, Czyżyku pocziwy!

— A myśmy go posadzali o głupstwo.

— A bodajże ci nóżka spuchła!

— Wiwat Czyżyk!

— Czyście poszaleli?! czego oni chcą odemnie?

— Czyżyku! urosłeś w naszych oczach na orła — rzekła pani Balbina.

— Niechże ciotka nie zawraca głowy. Dalej do trzeciego aktu. Szambelan na scenie, za chwilę Helena.

— Niech zaczekają. Panowie, w górę Czyżyka!

— Idźcie do wszystkich dyabłów!...

Trzasnął egzemplarzem i wyleciał.

Musieliśmy bez niego odbyć próbę.

Odtąd Czyżyk chodził ponury i osowiakły.

Faworytną sztuką Czyżyka była »Krakowiacy i górale«. Grywaliśmy ją często i umieli tak, żeśmy się obywali bez suflera. Tu dopiero wyprawiał dziwowisko. Przebrany raz za krakowiaka, drugi raz za górala, śpiewał w obydwóch chórach. Grał pastucha. Urządzał pioruny i burze. Czasem stawał za kulisą ze skrzypcami i poddawał ton mniej muzykalnym.

Po każdym takim przedstawieniu dostawał od dyrekcyi gratyfikacyę, a my, zapraszaliśmy go na solenną kolacyę.

Lubiliśmy ogromnie tego pocziwca, nietyle jednak co nasze kobiety. Gdy się dowiedziały, że tu ma rodzinę, odbywały się formalne procesye do matki staruszki i nie z próżnemi rękami. Każda ją udarowała jakimś prezentem, wszystko to jednak bardzo dyskretnie, żeby się Czyżyk nie dowiedział.

W Stanisławowie dostał od dyrekcyi benefis. Przerobiłem wtenczas sławną powieść Wiktora Hugo »Nędznicy« na scenę. Wychodziła w przekładzie polskim, rozchwytywana z niesłychanym zapalem. Zabrałem się gorączkowo do pracy, a nie mogąc doczekać końca, »uśmierciłem« Jana Valjeana na barykadzie. Ofiarowałem ten dramat Czyżkowi na ów benefis. Rozciekawienie publiki doszło do szczytu. Panie nasze rozebrały bilety i obchodziły z niemi mecenasów sztuki, których Stanisławów w tej dobie liczył sporo, osobliwie bogatych ormian. Płacono za bilety poczwórnje. Teatr był nabity. Dowiedzieliśmy się później, że ów benefis cały przeznaczył Czyżyk dla swej siostry, która właśnie za mąż wychodziła.

Pojechał po przedstawieniu do Przemyśla na ślub siostry, a powrócił do nas z matką staruszką, aby się z nią już nigdy nie rozstać.

Ten mały Czyżyk zaczął powoli w naszych oczach rość na dużego. Dotąd widzieliśmy w nim tylko spryt

i psie figle, teraz spoważniał nagle i począł nam imponować rozsądkiem.

— Jak ty grasz tę rolę, alboż to taki ma być Wilczura? Tożby go baron wypędził ze swego domu. Że chłop, to już ma być wstrętny grubijanin? Niechże dyrektor sam powie.

— Masz rację. Jest rubasznym, ale tę rubasznność miarkować trzeba.

Czyżyk przestrzegał czystości mowy i poprawiał nieuków... a gdy przyszło grać sztukę wierszem nie pozwolił go kaleczyć.

Próbowaliśmy dramatu pod tytułem »Anna Oświecimówna«. Zjechał do Stanisławowa autor, Mikołaj Bołoz-Antoniewicz, zaproszony przez dyrektora na przedstawienie. Była to już ostatnia próba w dzień spektaklu. Czyżyk był ogromnie zirytowany i poprawiał ciągle zjadających albo dodających sylaby, nareszcie wybuchnął:

— Jezus Marya! toż gdyby tu był autor, ze skóry by wyskoczył.

— On też wyskakuje! — odzywa się potężny bas z krzeseł — i dziękuje ci, pocziwy suflerze. — Panie Adamie — zwraca się do dyrektora — trzeba sztukę odłożyć i opracować lepiej.

— Tak, widzę, że trzeba.

— Pójdź no tu aść, panie suflerze. Ty rozumiesz i czujesz wiersz doskonale. Ty musisz być także wierszokleta.

— Do usług pana dobrodzieja. Będę miał zaszczyt złożyć mu zbiorek moich wierszy.

Pocziwy Bołoz odczytał je i tak mu się podobały, że kazał własnym nakładem wydać we Lwowie.

Gdy, po kilku miesiącach, paka z książkami nadeszła, Czyżyk fruwał jak szalony, krzycząc:

— Patrz, pani Jowialska! Jestem wydrukowany.

Ofiarował każdemu z nas po egzemplarzu.

Mam go do dziś w mojej bibliotece.

Są to po większej części liryki, a niektóre z nich takie, że mógłby się pod nimi nielada poeta podpisać.

Czyżyk zaczął się teraz lepiej ubierać, było to staraniem matki.

— Nie pozwolę ci, mój synku, tak chodzić. Już się dosyć dla nas napracował, teraz już najwyższy czas o sobie pomyśleć.

— Alboż to ja źle się ubieram? Będę się stroił do budy? Gotowi jeszcze ubranie ze mnie ściągnąć, jak mi ściągnęli buty w Jarosławiu.

Nie dał sobie nawet mówić o tem.

Staruszka udała się do nas.

Wzięliśmy Czyżyka pod rękę i zaprowadzili do pierwszorzędnego krawca.

— Czego odemnie chcecie? Dokąd mnie wleciecie?

— Cicho, bo cię tu do Prutu wrzucimy! Słuchać i iść z nami!

Ów krawiec w Czerniowcach był to zamożny pan. Magazyn miał ogromny, urządzony na sposób wiedeński, był wielkim naszym wielbicielem i przyjacielem. Dawał na kredyt i nigdy się nie upominał. Gdyśmy mu wrzucili do sklepu tego cudaka, myślał z razu, że figiel jaki mu urządzamy, i począł się śmiać.

— Kogoż mi tu prowadzicie?

— Nasz sufler — zaczął któryś.

— Cicho! Ta nazwa nic panu Maczuskiemu nie wytłumaczy. To jest człowiek, przez którego usta przemawia poeta i do naszych uszu niesie poezyi dźwięki niebiańskie. To jest ten niewidzialny dla publiki, a słuchany przez nas chciwie, geniusz... och jak słuchany! Gdyby on zamilknął, zamienilibyśmy się w bałwanów, zdrętwielibyśmy...

Krawiec śmiał się, a Czyżyk kręcił się, wreszcie wybuchnął:

— Niech pan wyrzuci tych urwipołciów, bo to są kandydaci do szpitala waryatów! Proszę o garnitur!

— Brawo Czyżyk! zrozumiałeś wreszcie sytuację.

— Ale ja dla pana nie mam garnituru gotowego, trzeba wziąć miarę. Proszę sobie wybrać materyał.

— Co mam wybierać? Ciemny i basta.

— Zwaryowałeś! na takie gorąco. Prosimy o dwa garnitury. Ciemny i jasny.

— Proście, dla kogo?

— Dla ciebie.

— Ja dotąd zwykłem zawsze sam sobie sprawiać garderobę.

— No, no, zrobimy ciemny na chłodno, jasny na gorąco — rzekł Maczusi. — Panie Janie, proszę wziąć miarę. To nie może być inaczej.

Czyżyk zżymał się, ale stanęło na tem, że mu zrobiono dwa garnitury »na wypłat«.

Gdy się w nowy garnitur ubrał, dopiero wzięliśmy go na fundusz.

— Kto to jest ten pan?

— To jest pan Czyżewski, znakomity poeta i autor, tłumacz wielu komedyi i dramatów...

— Patrzcie! a ja go wzięłem za Czyżyka, taki do niego podobny.

— Co ty pleciesz? Był u nas wprawdzie Czyżyk sufler, wielki figlarz i świszczypała... ale to dawne czasy.

— A niech pan dobrodziej, włącząc do budy, raczy zdjąć te piękne suknie.

*

*

*

Oj ty, nasz Czyżyku pocziwy, co się też z tobą dzieje? Los nas rozgonił po świecie. Galicya dziś taka biedna, że się w niej nie utrzyma żaden teatr na prowincyi. Belferujesz pewnie gdzieś w małym miasteczku, przygrywając w wolnych chwilach na swoich skrzyp-

kach, które ci niosą wspomnienia naszych lat młodości. Ty byłeś perłą swego zawodu.

Wielu ich znałem, byli to ludzie wykolejeni, skwaszeni, przeklinający swój los, ty jeden zawsze pełen pogody ducha, oddany sumiennie swoim obowiązkom, miłujący sztukę. Oby nam takich nigdy nie zbrakło.

Sufler — to stróż aktora-człowieka, jego ułomnej natury ludzkiej, a nie posługacz próżniaków i nieuków. Jest on dlatego, aby spracowany umysł czuł, że w razie słabości ma przyjaciela. Usunięcie go ze sceny byłoby tem, co zgaszenie lampy bezpieczeństwa. Wszelkie gadki o scenach, które się bez niego odbywają, są baśniami. Niema już dla niego budki, bo budka zanadto przypomina »wielką budę«, ale jest z egzemplarzem za kulisami... i czuwa.





„PREZES DYREKCYI”

Któryś z publicystów nazwał ogródki »giełdą teatralną«. Rzeczywiście, ile to już na tej giełdzie stopniało fortun.

Pocziwy Rusanowski, który, dla uratowania swej dziatwy od śmierci głodowej, wpadł na rozpaczliwy pomysł dawania widowisk z poszarpanych kawałków sztuk na Czystem, czy mógł zamarzyć, że jego dzieło tak się rozwinie i takie zrodzi owoce?

Ha, takie to zwykle bywają początki wielkich rzeczy. A wózek Tespisa?

*

*

*

Pewnego lata, przyciśnięty potrzebą, dałem do *Kuryera* takie ogłoszenie:

— Jest do sprzedania biblioteka teatralna. Wiadomość i t. d.

Doszedłem do tej biblioteki w ten sposób:

Prowadząc dyrekcję teatrów w Czerniowcach, nabyłem mnóstwo książek i rękopisów od żyda, który je kupił na licytacji po zbankrutowanym dyrektorze Połiołku. Dyrekcji zrzekłem się wkrótce, chcąc uratować zdrowie i nie wyjść na żebraka, ale z książkami rozstać się nie miałem serca. Rozczytywałem się chętnie w tych starych manuskryptach, gdzie znalazłem mnóstwo ciekawych uwag na marginesie, gdzie przy personażu spoty-

kałem nazwiska aktorów i aktorek jeszcze z czasów Bogusławskiego, które mi wiele mówiły o losach ich życia tułaczego. Była to dla mnie, jak gdyby kronika mnicha średniowiecznego, jak gdyby kodeks jakiejś kapituły, z którego skąpych szczątków odtwarzałem sobie całe obrazy, i tak dalece umiłowałem to zajęcie, że postanowiłem moją bibliotekę powiększać. Więc w chwilach wolnych włóczyłem się po antykwaryuszach i skupowałem nie tylko stare, ale i nowe druki, a czasem manuskrypta, tak, że w szczupłej wówczas szafce bibliotecznej zabrakło niebawem miejsca.

Po każdym takim powrocie do domu z owego polowania, obładowany książkami, odbierałem od żony burę.

— I poco ty skupujesz te szpargały?

— Wolałabyś, żebym poszedł, jak inni do szynku? To jest mój szynk. Upajam się tam wonią literatury, która mi dobrze działa na zdrowie, a pieniędzy nie tak wiele kosztuje.

Odtąd, ile razy wychodziłem z domu, a żona rzucała mi zapytanie: »Dokąd idziesz?« — odpowiadałem: »Do szynku«.

Z tego to szynku wyniosłem wiedzę literacką tak dobrze, że i Estreichera mógłbym olśnić, ale że nigdy nie chciałem imponować nikomu, zacząłem sam pisać.

Wówczas to biblioteka teatralna straciła dla mnie już wartość, bom zacząłem używać innego, »trunku«, a używałem go tak namiętnie, że jeszcze częściej odwiedzałem szynki.

Żydzi już mnie wszyscy znali doskonale, bo gdym wchodził do sklepiku, mawiali:

— Dramatyczne? Zaraz panu służę.

Teraz odpowiadałem:

— Nie! historyczne.

— Historyczne? — wielkie zdziwienie i radość, bo, dramatyczne już przetrzebione, a historycznych moc.

I w takich to okolicznościach podałem owo ogłoszenie w *Kuryerze*.

Nie czekałem długo. Nazajutrz zjawił się u mnie młodzieniec, wyglądający z powierzchowności na panicza. Wysoki, elegancki, z binoklami na nosie.

— Jestem F., właściciel ziemski z Z.

— Bardzo mi miło.

— Czy to u pana jest biblioteka dramatyczna do sprzedania?

— Tak. Proszę siadać. Oto katalog.

— Niewiele mam czasu i daruje pan, że tylko pobieżnie rzucę okiem.

— Proszę się nie krępować.

To pobieżne rzucenie okiem trwało jednak tyle, że cały katalog pan F. doskonale wystudyował.

— Czy pan to wszystko sprzedaje?

— Oczywiście.

— A czy pan pozwoli mi zrobić wybór?

Ten wybór nie był mi na rękę, ale ciekaw byłem, jaki też ten panicz zrobi wybór.

Podałem mu ołówkę i ku zdziwieniu memu ujrzałem, że mi wyłowił najlepsze rzeczy.

— Doskonale! Widzę, że panu nie obca literatura.

— A naturalnie. Kto chce założyć teatr...

— Pan zakłada teatr?

— Tak.

— I gdzie? jeżeli spytać wolno?

— W Warszawie.

— W Warszawie? Gdzie? w którym miejscu?

— W miejscu, gdzie dotąd Bachus siedział na tronie. Otóż ja tam usadowię Melpomenę i Talię.

Spojrzałem zyzem na szlachcica, bo mi się wydał na pół waryatem.

— Pana to dziwi? A przecież nie miejsce człowieka, ale człowiek miejsce...

— Życzę szczęścia.

— Otóż, wracając do pańskiej biblioteki... czy pan zgadza się na moją propozycję?

— Nie mogę. Zebrałeś mi pan śmietankę i każesz wypić mleko, a ja mleka nie lubię.

— Mniejsza o to, zapłacę panu tak, jak gdybym wszystko nabył, ale ten balast panu zostawię.

Targ w targ, stanęła ugoda i wypłata zaraz.

— Przyślę tu po książki i pan będzie łaskaw wydać je posłańcowi.

— Bardzo dobrze.

-- Do widzenia!

— Do widzenia!

W niespełna dziesięć minut zjawił się posłaniec.

Za pieniądze szlachcica ubrałem świetnie szafkę w książki historyczne i dokupiłem drugą szafę.

* * *

Teraz przypatrzmy się jego teatrowi.

Kupiwszy za grube pieniądze od jednego z dyrektorów ogródkowych utensylia, ogłosił w dziennikach, że angażuje artystów i artystki, rozpoczynając sezon z dniem pierwszego czerwca.

W świątku teatralnym zagotowało się straszliwie, bo buchnęła wieść, że młody szlachcic z powiatu ostrołęckiego, pan piętnastu wiosek i miasteczek, zakłada teatr, jakiego jeszcze nie było, garnąc wszystkie talenty, a przez to grożąc ruiną współzawodnikom, jacy by obok niego stanąć śmieli do walki, a nawet wsadza »pikę« teatrowi rządowemu, bo i stamtąd zabiera aktorów. Grywać zaś będzie sztuki przeważnie oryginalne autorów jeszcze nieznanych.

Usadowił się ten nowy bożek w hotelu Rzymskim na pierwszym piętrze i patrzył z balkonu, jak formalne procesye aktorstwa wędrowały do jego... kasy.

We drzwiach postawił cerbera, który miał nakazane wpuszczać ich po jednym.

Gdy wpuszczono takiego pana lub panią, przyjmował ich sekretarz, który spisywał formalny protokół z danej osoby, gdzie były wyłuszczone nie tylko lata jego zawodu, ale i życia, rodzaj i ilość granych ról, w jakim teatrze, świadectwa prasy o jego talencie... a w końcu rysopis.

Gdy sekretarz ukończył swoje czynności, przesłuchawszy każdego, oświadczono wszystkim gromadnie, że proszeni są na pojutrze, na godzinę dziesiątą.

— Cóż to za szopę urządza z nas ten błazen? — rzekł basem szlachetny ojciec.

— Cierpliwości tylko, ojczulku, niech się bawi, a niech płaci — odpowiedział piskliwym głosem komik, zacierając ręce.

— Spisują protokół jak w cyrkule — a ten dureń siedzi na balkonie i śmieje się z nas. Eh, idźcie do wszystkich dyabłów z takim dyrektorem!

— A to fujara! Cierpliwości, spróbować warto.

W oznaczonym dniu i godzinie stawiło się wszystko punktualnie.

Pan F. z listą w ręce siedział w gabinecie przy biurku i kazał sekretarzowi wpuszczać wskazane przez siebie osoby. Począł, rzecz jasna, od płci nadobnej.

Wypadek, czy też *fatum*, sprawił, że pierwsza, która przestąpiła próg, miała wpłynąć tak przeważnie na osobę młodego dyrektora i młodej jego instytucji.

Była to fertyczna subretka, ulubienica teatrzyków ogródkowych. Sprytem swoim zbadała odrazu stan rzeczy. Poznała, że ten młody szlachcic chce się zabawić. Niech się bawi a dobrze. Trzeba mu w tem dopomódz. Wzięła też go odrazu tak, że cała ta rzesza biednych aktorów, zmuszona czekać kilka godzin w przedpokoju rozeszła się, klnąc i złorzeczając po cichu »dyablicę«.

Rozpoczęło się więc angażowanie w innej formie. Pan F. kazał przywoływać tych, których mu wskazywała subretka.

— Ha! my rządźmy światem, a nami...

Wszyscy protegowani pani dyrektorowej, których zaangażował pan F., byli to kabotyni i ostatniego gatunku cyganie, bo żaden z porządnych ludzi nie chciał wejść do trupy tak rządzonej. Przypatrywali się tylko z boku i śmiali do rozpuku.

Pierwszą sztuką, którą wystawił, była jego własna, nosiła ona tytuł: »Władca prasy«. Był to paszkwil, wymierzony przeciwko jednemu ze znanych publicystów. (Dobrze wziął się do rzeczy!) Na próbach sam objaśniał aktorów, żądając od nich niepodobnych rzeczy, kazał im się charakteryzować na znane figury w mieście, a domagał się tego tak mocno, że omal nie przychodziło do pięści. Obiecał, że sprowadzi ekonoma z kańczugiem i pachółkami. Nie brano tego na seryo i spełniano to, co kazał, śmiejąc się w kułak, bo płacił dobrze i dawał zaliczki.

Pochlebcy przewalili go prezesem, bo dyrektor wydał się im za małą dla niego figurą. To szlachcicowi tak się podobało, że mianował zaraz dwóch reżyserów i dyrektora — rozkazując już urzędownie nazywać siebie »prezesem dyrekcyi«.

Po owym »Władcy prasy«, który doznał hałaśliwego *fiaska*, bo w nim szczypty talentu nie było, przyszła kolej na sztuki oryginalne. Posypały się wypracowania studenckie i arcydzieła grafomanów, którzy u nas rosną jak grzyby. Wybierał, co mu się zdało lepszego, i wystawiał.

Ten szlachcic miał słabe przeczucie teatru Antoiné'a, tylko że się wziął do tego po szlachecku.

I tak jechał szaleniem... Aż gruchnęła wieść, że las sprzedał.

Śliczny las nad Bugiem kupili Niemcy. Echa ich zbroniczych siekier odbiły się aż o mury Warszawy, gdzie właśnie na jarmark Świętojański mnóstwo jego sąsiadów i przyjaciół zjechało.

Ich prośby i przekładania rozjątrzyły tylko bardziej prezesa.

Warszawa przypatrywała się, smutnie kiwając głowami, jak ten szalencie topił ojcowiznę, żeby sprawiać bogate stroje i wystawiać sztuki, na które nikt patrzeć nie chciał.

Jego współzawodnicy, których miał zabić, robili świetne interesa, mając najlepsze siły aktorskie, użył więc brzydkiego sposobu, praktykowanego u nas bardzo często, aby namawiać ludzi do zdrady. Płacił bajeczne sumy i wyławiał najlepsze siły, ale płacono mu pięknem za nadobne, bo brano pieniądze i zostawano na miejscu. Rozpoczęły się gorszące procesa.

Nie przeszkadzało to wcale bawić się panu prezesowi. Dawał huczne biesiady, na których królowała jego przyjaciółka w naszyjniku z prawdziwych pereł, a aktorzy, przystrojeni w kostiumy średniowieczne, spełniali obowiązki podczaszych, marszałków, paziów i arlekinów. Urządzał konkursy na dowcipy, wyznaczając dość wysokie premie. Słowem, dwór na wzór »Panie Kochanku«.

W tym szlachcicu zagadał widocznie jakiś atawizm praszczura, który w podobny sposób słodził sobie żywot. Inaczej nie można sobie było jego pasyi wytłómaczyć.

Zdarzyło się pewnego poranku, gdy pan prezes zajęty był mustrowaniem aktorów, że weszła do ogródka gromada chłopów, ze starym jakimś sługą na czele, prosić jasnego pana, aby nie sprzedawał majątku Niemcom.

Scena godna Szekspira.

Z jednej strony banda kabotynów płci obojej z cynicznym żartem na ustach, z drugiej biedni chłopci i czeładź, osiedli od wieków pod skrzydłem zacnej rodziny,

patrząc zdziwieni, przygnębieni, na zdziwaczałego potomka rodu i nie pojmując zgoła jego wścieklej pasyi.

I cóż się stało?

Serce panicza zamarło. Uczęstował ich sownie kawiozem i majonezem, i odprawił.

Dobra miały już innego pana.

* * *

I tak ten szlachcic dojechał.

Nie zostawił sobie na »owinięcie palca«, jak powiada prostota, bo za pożyczone pieniądze wyjechał za granicę, aby tam szukać pracy dla kawałka chleba. Pracować go nie nauczono. Umarł w nędzy i rozpacz.

* * *

I czy ten przykład podziałał odstraszająco? Broń Boże! ileż to mi jeszcze razy obijało się o uszy, że ten a ten pan utopił swój majątek... w teatrze ogródkowym.

Pieniądz jest na to, aby się toczył wiecznie, przechodząc z rąk do rąk, ale czy z tej pracy syzyfowej wyszła cząsteczka drobna na pożytek tego czarodziejskiego przybytku, który tak nęci i nęcić będzie zawsze zapalone głowy?...

Ha! może...





NASZ KRYTYK

Powiadają, że Francuzi mieli krytyka, którego aktorowie nazywali pieszczotliwie »Papa« i kochali jak ojca, otóż i my mieliśmy takiego Papę, a zwaliśmy go »Kłobukiem«.

To trywialne nieco przezwisko wcale nie uwłacza jego pamięci, bo nie było w Krakowie wówczas aktora, któryby mu czegoś nie zawdzięczał, a przeto nie szanował i nie miłował.

Był to stary kawaler o ruchach wykwinnych, jeden z tych typów galanteryi współczesnej, których się coraz rzadziej już dziś spotyka, ubierający się wytwornie, ale bez przesady, grzeczny i ujmujący w obejściu tak dalece, że zniewalał każdego. Ta ujmująca jego grzeczność, to nie nabytek dla maskowania innych uczuć, to wrodzony rys jego charakteru. Takim był, bo innym być nie potrafił. »Pocziwy z kośćcami« jak go nazywano.

Dorobek jego literacki składał się z tomika poezyi i przekładów dramatów niemieckich z doby romantyzmu. Więc był tam Grilparzer, Halm i Hebel, nie mówiąc już o Szylerze, którego był wielbicielem namiętnym.

Gdy, po utworzeniu teatru krakowskiego przez hrabiego Skorupkę, redakcyja *Czasu* powierzyła mu dział krytyki teatralnej, załamał ręce z rozpacz.

— Zmijcie się! gdzież to dla mnie?

— Tak, to dla pana. Trzeba nam podnieść scenę. Pan będziesz jednym z tych, co ją dźwigną — zawyro-
kował wówczas pan Sk., najwyższy władca organu kra-
kowskiego.

— Nigdy tego nie próbował.

— Ano to spróbujesz.

Pierwsza jego recenzja było to wypracowanie na temat dramaturgii lessingowskiej. Dużo deklamacyi o istocie sztuki dramatycznej, o powołaniu jej przedsta-
wicieli, o czystości języka na scenie i t. p., ale były tam także cenne wskazówki dla młodych aktorów, aby starali się mówić naturalnie, unikając niepotrzebnego patosu, aby przedstawiali ludzi żywych, nie lalki ma-
lowane, wreszcie ogólna pochwała dla wszystkich grają-
cych w sztuce. — Czytaliśmy chciwie ten artykuł i do-
znaliśmy rozczarowania.

— Poczekajcie to pierwsza recenzja, niechże się rozpatrzy w nas dobrze.

Po drugiej sztuce większe jeszcze pochwały.

— No, to safandula, możemy spać spokojnie.

Na trzecie przedstawienie graliśmy »Geldhaba« fre-
drowskiego. Nie miałem przekonania do tej roli, ale grać mi kazano, więc grałem. Postać wyszła blado, do-
wcip fredrowski gdzieś zniknął. Przemęczyłem tylko rolę do końca.

No, myślę sobie, ten mnie wreszcie »zerznie«.

Czytam. Pochwały dla wszystkich, ale o głównej roli ani słowa, a tak byłem spragniony jakiejs chłosty, jakiejs przestrogi, jakiejs wskazówki — a tu nic, głu-
che milczenie.

Wybrałem się na linię A—B o godzinie, w której go zwykle można było spotkać.

— Dobry wieczór redaktorowi!

— A, dobry wieczór panu, właśnie taką miałem chęć pana zobaczyć. Nie wspomniałem o panu we wczor-

rajszym numerze dlatego, że mi było bardzo przykro udzielić mu nagany, a chwalić nie mogłem.

— Od pana przyjmę wszystko z wdzięcznością.

— Dziękuję. Widzi pan dobrodziej, ja sobie Geldhaba inaczej wyobrażam, może to jest mylne, ale nie sądzę, bo nawet i widzowie w całej sali, zdaje się, że podzielali moje zdanie. Według mnie główną podstawą, że się tak wyrażę, nutą w całej tej figurze jest pycha arogancka. Fredro, już na czele komedyi kładąc motto z przysłów swego praszczura, ostrzega, że »Pyszny nądzka, kiedy spanoszeje«. Tę pychę tak dosadnie przeprowadził autor w roli, że wpada nawet w karykaturę Geldhab jest typem pysznego dorobkiewicza.

— O tem wszystkiem ja myślałem, ale mając tak krótki czas na wystudyowanie roli...

— Widzi pan, ja też to uwzględniam. Nie wymagam od was więcej, niżeli dać możecie. Wy jesteście bardzo przepracowani.

— Pozwoli pan, że jeszcze tu rzucę krótkie zapytanie, które mi się przyda w przyszłości, gdy będę grał Geldhaba. Mam to do siebie, że, wzięwszy jakąś rolę do nauki, rozglądam się po ludziach i z nich biorę rysy do swej figury. Gdym chciał szukać Geldhaba, nie znalazłem go. Czy ja się mylę, ale zdaje mi się, że to figura nie nasza, że u nas takich Geldhabów niema.

— Ah, broń Boże! Jakto nie mielibyśmy takiego Geldhaba? Ależ jest, jest z pewnością, poszukaj no go pan dobrze.

— Ale gdzie?

— W sferach naszej plutokracji naprzykład.

— Aha! dziękuję.

— Do widzenia.

Roli tej nie grałem już nigdy, ale gdym zobaczył w niej Żółkowskiego, przypomniały mi się słowa naszego pocziwego Kłobuka.

Mieliśmy grać »Kupca weneckiego«, dostała mi się rola, niezmiernie trudna, Szajloka. Miał to być mój pierwszy występ w Szekspirze. Przeraziłem się ogromnie trudnością zadania. Trzeba pokonferować trochę z naszym Kłobukiem.

— Panie szanowny, jestem w rozpacz.

— Co bo takiego?

— Mam grać Szajloka w »Kupcu weneckim«.

— To bardzo pięknie. Powinieneś się pan dobrze cieszyć, nie rozpaczać.

— Rozpaczam, bo się obawiam, że nie podołam tak trudnemu zadaniu.

— Dlaczego?

— Jakże tu stworzyć takiego żyda?

— Ten żyd jest żydem z krwi i kości, a zatem człowiekiem żywym, jak wszyscy w Szekspirze. Czytałem o tym żydzie dużo komentarzy szperaczy niemieckich, ale żaden mnie nie zadowolił. Oni Szekspirowi przypisują rozmaite intencje, o których mu się nie śniło. Naprzykład jeden powiada, że Szekspir chciał owego żyda wyśmiać tylko i zohydzić, że to figura karykaturalna, karnawałowa, dla ubawienia tłumów i że to, co jest w nim ludzkiego, wyszło u Szekspira mimowoli, wbrew jego założeniu. Co za nonsens! Drugi powiada, że Szajlok to karykatura lichwiarza tylko i tak go grać trzeba. Według mnie, Szajlok to żyd, żyd taki, jakim go urobiły wieki. Deptany, pogardzany, opluty, żywiący w piersi całą nienawiść dla ciemieńców, a gdy się zdarzy sposobność pochwycenia nad nimi zemsty, chwytający ją z żarłocznością dzikiego zwierza, tak dalece, że nie przeczuwa nawet niedorzeczności swego krwiożerczego żądania. I dlatego pada wyśmiany i zmiażdżony. Bądź pan żydem a będzie dobrze.

Bądź pan żydem! — krótko powiedziane. Ha! popracujmy.

Gdy tak, zatopiony w myślach nad owym Szajlokiem, chodzę jak obłąkany po Krakowie, anim się spostrzegł, kiedy m się znalazł na Kazimierzu przed bożnicą. Było jakies święto. Tłumy żydów w śmiertelnych koszulach szli do bożnicy, między niemi poważni starcy o długim siwych brodach, niby patryarchowie. Wszedłem do nich — co będzie, to będzie. Najwyżej wyrzucą mnie — to wielkie rzeczy: wyjdę, jakem wszedł. Stanałem przed rzycajony w kącie. Rozpoczęły się modlitwy i klęknięcia głowami, poczem nastąpiły śpiewy, te śpiewy, w których dźwięczał żal, smutek, rozpacz okrutna, żalowanie, biadanie. A to wszystko wychodziło gdzieś z serca, z głębi duszy. Ci starzy, tak poważni, tak spokojni przed chwilą, przeistoczeni nagle w piorunujących tytanów budzących niebo, aby się wraz z nimi do nieba zerwało. Potem płacz, ryk, jak gdyby zawiedzionych nadziei, które się nigdy nie spełniają.

Stałem oblany zimnym potem i jak gdyby wrosły w ziemię, ałem odnalazł nutę do mojego Szajloka.

Byłem żydem. Gdy przyszło wygłaszać skargi nad upadkiem i poniżeniem narodu, tak potężnie przez Szekspira odmalowaniem, pojąłem całą potęgę jego poetycznego natchnienia i rozpaczalem tak, jak owi żydzi w bożnicy kazimierzowskiej.

Pocciwy Kłobuk napisał w recenzyi, że stworzyłem Szajloka oryginalnie, po swojemu, i byłem żydem.

Spotkał mnie na plantach i zbliżył się zadowolony.

— Wniknąłeś pan dobrodziej w głąb rzeczy. Nie spodziewałem się czegoś podobnego. Winszuję.

— A kto mnie naprowadził?

— At, to marna zasługa. Dziękuję panu za taką piękną pracę.

Uścisnął mi rękę jak dżentelman, i pobiegł szybko.

* * *

Był ongi w teatrze krakowskim uwieczniony komik, pijak nałogowy. Co ten pocziwy krytyk się nie namartwił o niego, jakich ostróg, jakich uwag mu nie udzielał. Gryzł się on tak, jakby był jego rodzonym bratem. To pijaka gniewało. »Urznięty zajął się nań z kijem i wypadł znieścacka z furią, chcąc go ubić. Pan K. się nie przestraszył, ale, ujawszy się, pijaka obezwładnił go na miejscu. Dyrekcyja w tej chwili dała mu dymisyę. Nasz krytyk uprosił, aby go nie oddalano, i zaraz nazajutrz zrana wybrał się do niego, do domu. Komik, wytrzeźwawszy, rzucił mu się do nóg, prosząc o przebaczenie.

— Szanuję w panu wielki talent i boleję nad słabością. Czy pan nie masz przywiązania do swojej żony i dzieci, że ich chcesz unieszczęśliwić? Bóg dał ci talent, czy nie poczuwasz się do obowiązku, aby temu Bogu dziękować i nie obrażać go swem postępowaniem?

— Ach, panie, czuję ja to wszystko, ale nałóg, nałóg ten pozbawia mnie zmysłów.

— Jeżeli go przezwyciężyć nie potrafisz, to mu oddaj po spełnieniu obowiązku na scenie. To mi przyrzec musisz, bo pod tym warunkiem zgodził się dyrektor, że cię zatrzyma w towarzystwie.

Pijak przyrzekł, ale pan K. urządził formalną policyę, która go pilnowała i przez cały dzień nie pozwoliła mu wypić kropli trunku.

Mieliśmy pana H., bardzo zdolnego »ojca«, który miał nieszczególną pamięć; uczył się po całych dniach i nocach a rola w głowę nie szła. Gdy się wreszcie nauczył, grał wybornie. Nasz krytyk nigdy go zato nie zastraszał, bo mawiał: to nie jego, to wina jego pamięci. Należy do dyrekcyi, aby takiemu zdolnemu artyście zostawić więcej czasu, niż innym, i nie dyskredytować go.

Jakże mu był wdzięcznym, gdy dzięki jemu grał dobrze, wyuczywszy się i opracowawszy rolę.

Dobroć tego człowieka nie miała granic. Dla niego prawdziwą przyjemnością było stać się dla nas pożytecznym. Miał ładną bibliotekę i pożyczał nam książek, a gdy mu ich zabrakło, to się starał i szukał, aby nam dostarczyć.

Jakże był szczęśliwym, gdy który z młodszych aktorów się odznaczył. Nawoływał zaraz, aby te zdolności rozwijać, dawał wskazówki.

Ponieważ powołaniu swemu oddawał się z zamiłowaniem, więc wyrobił w sobie bystrego spostrzegacza. W ciągu kilku lat poznał się doskonale na robocie aktorskiej i był nam przewodnikiem.

Pamiętam jego krytykę o »Żydach« Korzeniowskiego. Pochwalił wszystkich jak zwykle — o pani zaś G..., grającej Szenionowę, powiedział bardzo krótko: grała dobrze?

— Co to za powiedzenie: dobrze? Cały teatr trząsł się od oklasków, a ten osieł mi powiada: Grała dobrze.

— Powiedz mu to pani.

— Naturalnie.

Pobiegła zirytowana do redakcyi.

— Proszę pana, stała mi się krzywda.

— Odemnie? Niechże Bóg broni.

— Czy to ja tylko dobrze grałam Szenionowę? Mnie się zdaje, że było doskonale, znakomicie.

— Tak by być powinno, ale nie było, z wielkim dla mnie żalem.

— Dlaczego?

— Szenionowa pani dobrodziejki była za mało »panią« Szenionową.

— Ona nie jest żadną »panią«, tylko po prostu Szenionową, tak przecie stoi na afiszu.

— Aha, to pomyłka w druku — przepraszam panią.

— Więc się pan poprawi na drugim przedstawieniu?

— Och! oczywiście.

Napisał więc:

»Pani G. była doskonałą Szenionową. Szkoda tylko że zapomniała zabrać na scenę akcentu »pani« Szenionowej: został za kulisami«.

Nie wiem, czy pani G. zrozumiała tę delikatną przymówkę, ale potem przycichła.

*

*

*

I tak nam było z nim dobrze, gdyby... gdyby nie nasze damy.

One chciały odeń hołdów i kadzideł, których dać nie mógł. Oddawał każdej sprawiedliwość, nigdy broń Boże żadnej uszczypliwej wzmianki, zawsze grzeczny, zawsze wytworny. Tego one znieść nie mogły. Próbowwały go wziąć z początku, ale ich zabiegi rozbiły się jak o skałę. Zaczęły się intrygi. Młodzi panowie od literatury, których temi czasy namnożyło się dosyć, podnieśli larum w imię »zapoznanej« płci pięknej. Każda miała swojego rycerza, który trąbił o jej geniuszu.

— Jakże można znieść, aby taki safandula dzierzył berło krytyki? Teatr krakowski, mając taką gwiazdę, powinien być głośny w całym świecie! — krzyczał pan J., rycerz pani K.

— Ja o pani napiszę, przecież to nie jest żadna krytyka. Czy można znieść, abyś pani, europejska artystka, była ignorowaną przez tego niedołęgę! — wrzeszczał pan D., kawaler pani R.

Nawet flecik mały, piszący w nowootworzonej gazecie dla kobiet, pisał w niebogłose, że nasza naiwna, panna L., któraby mogła błyszczeć na pierwszorzędných scenach europejskich (biedna Europa!) nie jest dostatecznie cenioną, bo pan K. nie poznał się na jej talencie.

Utworzyła się istna kabotynerya, która dla względów i łask płci pięknej plotła o niej duby smalone. Pi-

sano dytyramby wierszowane. Cała prasa »europejska« była zalana korespondencyami o naszych gwiazdach.

Poczęto wreszcie szturmować do redakcyi *Czasu* o zmianę recenzenta teatralnego. Potworzyły się stronnictwa z barwami J. R. L.

— No, to już dla mnie miejsca niema — rzekł ze smutkiem pan K. — Niechże ci dworacy prześcigają się w hołdach i galanteryi.

Gdy ustąpił z posady recenzenta, poszliśmy do niego gremialnie, aby mu wyrazić nasz żal i podziękować za dotychczasową jego opiekę i życzliwość — znalazła się między nami i pani G., wzburzona okrutnie pochwałami, jakie głosili jego następcy dla jej koleżanek.

— Co się to dzieje? — rzekła zaperzona. — Pan przynajmniej dawałeś nam nauki. Jam przez pana nauczyła się po francusku *expedite*, a ci błażni plotą niestworzone rzeczy. I to ma być krytyka? Tfu! Znam ja takie krytyki. Kiedym była młodą...

— Alboż pani nią być przestała? — rzekł z galanterią pan K.

— Naturalnie! Ot, to mi człowiek! Nikomu wody nie zamąci...

Baba plotła, pan K. się uśmiechał a my wyszliśmy ze ściśnionem sercem, bo czuliśmy, że tracimy prawdziwego przyjaciela.



T R E Ś Ć.

S e r y a I.

	Strony
Aktor-książę	7
Kwiatek z cmentarza	14
Lichwiarz teatralny	21
Dyrektor-obywatel	31
Naiwna	39
Nasza córka	46
Złota Amelka	53
Na ołtarzu sztuki (z własnych wspomnień)	60
Głupi tenor (fotografia)	62
Precyoza	70
Nemezys (z własnych wspomnień)	76
Złodziej (kartka z teatralnej kroniki)	81
Spóźnił się	87

S e r y a II.

Nasz doktorek	95
Charakterystyczna	102
Maszynista	111
Tragik	119
Kostyumer	126
Komik	133
Kapelmistrz	141
Rekwizytor	147
Jedna sukienka	155

	Strony
Bracia	162
Amant	172
Pensyonat	183
Myszka	192
Ex-kolega	201
Typ	211
Czarny charakter	218
Venus Verticordia	226
Sufler	233
»Prezes dyrekcyi«	245
Nasz krytyk	253



7.10
7.15
7.15

1. *Abgar-Sottan*. Widziane i odczute. — 2. *Dębicki*. Z dawnych wspomnień. — 3. *Klaczko*. Studya dyplomatyczne, tom II. (Całość: Sprawa duńska w roku 1865). — 4. *Lamy*. Kobieta i wiedza (tylko broszurowane). — 5. *Rydel*. Awanturnik XVIII wieku. — 6. *Stasiak*. Brandenburg. — 7. *Szarłowski*. Z dziejów Państwa Kościelnego (tylko broszurowane). — 8 do 9. *Tarnowski*. Literatura polska, tomy I i II.

10. Wybór nowel zagranicznych autorów.

Razem 10 tomów broszurowanych. koron 12.—

lub 8 „ oprawionych i 2 broszur. „ 20.—

Kto nie chce nabywać „Nowej Biblioteki Uniwersalnej“ seryami, lecz pragnąłby mieć specjalne działy, n. p. tylko dział powieściowy, lub dział historyczny, i t. p., płaci następujące ceny za objęte wszystkimi rocznikami:

Powieści, nowele, poezye i dramata:

Cena katalogowa

	brosz.	opr. w płótno
<i>Abgar-Sottan</i> . Nea	Kor. 4.—	5.—
<i>Abgar-Sottan</i> . Widziane i odczute	„ 4.—	5.—
<i>Batucki</i> . Mój pierwszy występ literacki (pow. humor.)	„ 2.40	3.20
<i>Bąkowski</i> . Posażna panna	„ 2.80	3.60
<i>Czajkowski</i> . Stefan Czarniecki (powieść histor.)	„ 3.—	4.—
<i>Dostojewski</i> T. Wspomnienia z katorgi	„ 3.20	4.20
<i>Echegaray</i> J. Galeotto (dramat)	„ 1.—	1.80
<i>Gawalewicz</i> . Majster do wszystkiego	„ 2.40	3.20
<i>Hamsun</i> K. Pan, powieść	„ 2.—	3.—
<i>Iry</i> . Pod rodzinnem niebem	„ 3.20	4.—
<i>Jirasek</i> . Raj świata	„ 2.80	3.60
<i>Kontrymowicz-Ogiński</i> . Książę Hołuba, 3 tomy	„ 8.—	11.—
— Z czeluści piekielnych	„ 5.—	6.—
<i>Korolenko</i> . Z Sybiru (nowele)	„ 4.—	5.—
— Niewidomy muzyk	„ 2.—	3.—
— Szkice powieściowe	„ 4.—	5.—
<i>Kostomarov</i> . Kudejar (powieść histor.)	„ 4.—	5.—
<i>Kowerska</i> . Podlotek, (powieść)	„ 4.—	5.—
— Powieści	„ 3.20	4.—
— Z pamiętnika ornitologa	„ 3.—	4.—
<i>Krzyżanowski</i> . Przełom i inne nowele	„ 2.40	3.20
<i>Lejkin</i> . Nasi za granicą (opow. humor.) 2 tomy	„ 5.—	7.—
— Pod hiszpańskim niebem (powieść humor.)	„ 4.—	5.—
<i>Morawski</i> K. Wiersze i proza	„ 3.—	4.—
<i>Neumanowa</i> . Baśnie i Legendy Wschodu	„ 1.20	2.—
<i>Sewer</i> . Na szerokim świecie	„ 3.60	4.40
— W kleszczach, Magdusia	„ 3.20	4.—
<i>Sigurd</i> . Sprzedany sierota	„ 1.60	2.40
<i>Stasiak</i> . Brandenburg	„ 5.—	6.—
<i>Tołstoj</i> . Anna Karenina, 3 tomy	„ 10.—	13.—
Upiory, powieść z roku 1863, 2 tomy	„ 6.—	8.—
Wybór nowel zagranicznych autorów	„ 4.—	5.—
<i>Zacharyasiewicz</i> . Po ślubie, powieść	„ 3.—	4.—
— Tajemnica Stefanii, 2 tomy	„ 5.—	7.—
<i>Zagórski</i> . Nowele, III serya	„ 3.60	4.40

Razem 42 tomy Kor. 128.40 | 168.—

Biorąc naraz wszystkie te powieści — płaci się tylko
za 42 tomy broszurowane. Koron 45.— } z opłatą portorya
za 42 tomy oprawne w płótno „ 85.— } o 2 Kor. więcej.

Proszę odwrócić!

Pamiętniki, opowiadania hist. i życiorysy:

Cena katalogowa

	broz.	opr. w półtmo
<i>Brodziński K.</i> Wspomnienia mej młodości . . .	Kor. 1-60	2-60
<i>Chotkowski ks.</i> Zniweczenie św. Unii . . .	" 3-20	4—
<i>Debicki.</i> Z dawnych wspomnień . . .	" 1-60	2-40
<i>Jęłowicki ks.</i> Moje wspomnienia . . .	" 3-60	4-60
<i>Kotaczkowski.</i> Pamiętniki (1797-1831) 5 tomów ilustr.	" 12—	16—
— Henryk Dąbrowski twórca legionów (z rycin.)	" 2—	3—
<i>Lichocki.</i> Pamiętniki prezydenta m. Krakowa z r. 1794	" 1—	2—
<i>Murawiew.</i> Pamiętniki (ilustrowane) . . .	" 3—	4—
<i>Rostworowski.</i> Wspomnienia z r. 1863. . .	" 2—	3—
<i>Rydel.</i> Awanturnik XVIII wieku . . .	" 2—	3—
<i>Rys</i> kampanii roku 1809 w Ks. Warszawskiem . .	" 3-60	4-60
<i>Szumski.</i> Wspomnienia o 3 pułku ułanów (ilustr.)	" 4—	5—
<i>Weżyk.</i> Powstanie Królestwa Polskiego w r. 1831	" 5—	6—
<i>Włast.</i> Opowiadania historyczne z dziejów okolicy Słuczy na Wołyniu . . .	" 2-80	4—
<i>Wodzicka.</i> Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna (ilustr.)	" —80	1-60
<i>Wodzicki.</i> Pamiętniki z czasów Rzeczyposp. Krakow.	" 3-60	4-60
<i>Wybranowski Aleks.</i> Ongi w dworach szlacheckich	" 1—	1-80
<i>Wysocki.</i> Pamiętnik z kampanii węgierskiej . .	" 2—	3—
<i>Ze</i> wspomnień szlacheckich . . .	" 1—	1-80
Razem 23 tomy . . .	Kor. 55-80	77—

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 23 tomy broszurowane	Kor. 32.—	} z opłatą portorya o 2 Kor. więcej.
za 23 tomy oprawne	„ 48.—	

Szkice z dziejów literatury:

Cena katalogowa

Szkice z dziejów literatury:		brosz.	opr. w piętno
<i>Bystrzycki.</i> O poezjach i mowach Ks. Kajsiewicza	Kor.	2—	3—
<i>Mickiewicz</i> A. Wybór listów, wydał J. Kallenbach	"	4—	5—
<i>Sarniecki</i> Z. Historia literatury francuskiej . . .	"	6—	7—
<i>Tarnowski.</i> Literatura polska, tomy I. i II. . .	"	8—	10—
— Studya do dziejów literatury polskiej tom I. .	"	4—	5—
— " " " " " " II. .	"	4—	5—
— " " " " " " III. .	"	4—	5—
— " " " " " " IV. .	"	4—	5—
<i>Tretiak</i> J. Dr. Szkice literackie, serya II. . .	"	6—	7—
Razem 10 tomów . . .		Kor.	42—
			52—

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 10 tomów broszurowanych. . .	Kor. 22.—	} z opłatą portorya o 1 Kor. więcej.
za 10 „ oprawnych	„ 28.—	

Historia polska i powszechna:

Cena katalogowa

Historia polska i powszechna :		brosz.	opr. w płótno
<i>Czermak. Szkice historyczne z XVIII wieku . . .</i>	Kor.	6—	7—
<i>Gadon L. Emigracja polska, 3 tomy . . .</i>	"	15—	18—
<i>Gloger. Geografia historyczna Polski (z ilustr.) . .</i>	"	5—	6—